

THRILLER TWÓRCY

TRUE DETECTIVE

NIC PIZZOLATTO
GALVESTON

BEZ PRZESZŁOŚCI, BEZ PRZYSZŁOŚCI

NIC DO STRACENIA



NIC PIZZOLATTO GALVESTON

PRZEŁOŻYŁ MARCIN WRÓBEL

WYDAWNICTWO MARGINESY

Dla Amy i dla Allegry

Jakże często wypadło mi leżeć pod deszczem padającym
na obcy dach i myśleć o domu.

WILLIAM FAULKNER

Lekarz prześwietlił mi płuca. Szalała w nich zamieć śnieżna.

Wyszedłem z gabinetu do poczekalni pełnej ludzi, na ich twarzach widziałem ulgę, że nie są mną.

Już parę dni temu wiedziałem, że coś nie gra, bo kiedy przez dwa piętra goniłem po schodach jednego gościa, czułem się, jakby ktoś położył mi na piersiach sztangę. Od paru tygodni nie przestawałem chlać, ale to było coś innego. Ostry ból sprawił, że z wściekłości złamałem koleśowi rękę. Później poszedł naskarżyć Stanowi, że jego zdaniem przesadziłem.

Ale to właśnie dlatego mam u niego robotę. Że przesadzam.

Powiedziałem Stanowi o tym kluciu, a on wysłał mnie do lekarza, który wisiał mu jakieś czterdzieści kawałków.

Przed przychodnią wyjąłem fajki z kieszeni i zacząłem zgniatać paczkę, ale uznałem, że to jeszcze nie pora na rzucanie. Zapaliłem, ale papieros zupełnie mi nie smakował, myślałem o bawełnianych kłębkach w moich płucach. Mijały mnie powoli samochody i autobusy, od ich szyb i karoserii odbijały się promienie słońca. W ciemnych okularach czułem się jak na dnie morza, pojazdy były rybami. Wyobraziłem sobie o wiele mroczniejsze, chłodniejsze miejsce, ryby zmieniły się w cienie.

Z rozmyślań wyrwał mnie dźwięk klaksonu. Podszedłem do krawężnika i wezwałem taksówkę.

Przypomniałem sobie Loraine, dziewczynę, z którą kiedyś chodziłem, i pewną noc na plaży w Galveston, gdzie rozmawialiśmy aż do świtu i gapiliśmy się na białe smugi dymu z kominów odległej rafinerii, snujące po niebie niczym droga na słońce. Musiało minąć jakieś dziesięć, jedenaście lat. Chyba zawsze była dla mnie za młoda.

Gotowałem się ze złości jeszcze przed prześwietleniem, bo Carmen, panienska, o której sądziłem, że jest ze mną, zaczęła sypiać z moim szefem, Stanem Ptitkiem. Jechałem właśnie się z nim zobaczyć w jego knajpie. W sumie bez sensu. Ale nie przestaniesz być sobą tylko dlatego, że masz w płucach chmurę płatków mydlanych.

Choć nie ma szans, żeby wyjść z tego cało, zawsze chce się odroczyć termin. Nie zamierałem mówić Stanowi, Angelowi ani Lou o swoich płucach. Żeby o tym nie gadali pod moją nieobecność, stojąc przy barze. Żeby się nie śmiali.

Usmarowana szyba taksówki, za nią zbliżające się centrum. Niektóre miejsca otwierają się przed ludźmi, ale nie Nowy Orlean. To miasto jest jak zatopione kowadło, otoczone własną atmosferą. Promienie słoneczne strzelały spomiędzy budynków i dębów, czułem na twarzy światło i cień, coś jak stroboskop. Pomyślałem o tyłku Carmen i o tym jej uśmiechu rzucanym przez ramię. Wciąż o niej myślałem, co nie miało sensu, wiedziałem, że to zdzira bez serca. Zanim zaczęliśmy, była z Angelem Medeirosem. Odbiłem mu ją, powiedzmy. A teraz jest ze Stanem. Angelo również dla niego pracuje. Poczucie zniewagi ukoła myśl, że Carmen za plecami Stana puka się pewnie z paroma innymi koleśkami.

Starałem się wykombinować, komu mógłbym powiedzieć o płucach. Chciałem z kimś pogadać. Sami przyznajcie, że to dość gówniana wiadomość, zwłaszcza jeśli ma się coś do załatwienia.

Miejscówka Stana – tak nazywała się knajpa, ceglany budynek z blaszanym dachem, kratami w oknach i poobijanymi stalowymi drzwiami.

W środku czekali już Lou Theriot i Jay Meires oraz paru gości, których nie znałem, jakieś stare dziady. Barman miał na imię George. Do lewego ucha napchał sobie waty. Kiedy zapytałem go o Stana, wskazał głową schody prowadzące wzdłuż ściany do biura. Drzwi były zamknięte, usiadłem więc przy barze i zamówiłem piwo. Potem sobie przypomniałem, że przecież umieram, i zmieniłem zamówienie na niebieskiego walkera. Lou i Jay gadali o kłopotach z jednym bukmacherem. Wiedziałem, o co chodzi, po dwudziestce sam kilka lat dorabiałem w tym interesie i znałem tę gadkę. Gdy się zorientowali, że słucham, zamilkli i spojrzeli na mnie. Nie uśmiechnąłem się ani nic. Ściszyli głosy i pochylili głowy, żebym nie mógł słyszeć. Zawsze mieli mnie w nosie. Wiedzieli, że Carmen pracowała tu jako kelnerka, zanim spiknęła się ze Stanem, i myślę, że mają o to do mnie jakieś pretensje.

Nie lubili mnie również dlatego, że niezbyt się wpasowałem do ekipy. Stan dostał mnie w spadku po Samie Ginie, swoim byłym szefie, a Sam dostał mnie w spadku po Harperze Robicheaux, i to głównie moja wina, że ci goście nie potrafili mnie tak do końca zaakceptować. Cechowało ich makaroniarskie wyczucie stylu – dresy lub koszule z podwiniętymi rękawami i przylizane fryzury – a ja zwykle nosiłem czarne koszulki, dżinsy i kowbojskie buty, nie miałem też zamiaru golić brody ani przycinać dłuższych z tyłu włosów. Nazywam się Roy Cady, ale Gino kazał innym mówić na mnie Heston, na cześć Charltona Hestona z filmu *Biały Kanion*, i nadal to robią, ale bez uczucia. Pochodzę ze Złotego Trójkąta na wschodzie Teksasu, a ci goście mają mnie za prostaka, co mi pasuje, bo dzięki temu się mnie boją.

Nigdy nie ciągnęło mnie do wspinaczki po szczeblach korporacyjnej drabiny.

Ale zawsze układało mi się z Angelem. Przynajmniej do akcji z Carmen.

Nagle stanęła w drzwiach biura, poprawiając ubranie i odgarniając włosy. Na mój widok zamarła, ale tuż za nią pojawił się Stan, ruszyli więc razem na dół. On szedł za nią i poprawiał sobie koszulę. Schody skrzypiały. Zanim Carmen dotarła na parter, zdążyła odpalić papierosa. Podeszła do drugiego końca baru i zamówiła greyhounda.

Zastanawiałem się nad jakąś błyskotliwą uwagą, ale musiałem ją zatrzymać dla siebie.

Najbardziej wkurzało mnie to, że rozwaliała moją samotność. Przez długi czas dawałem sobie radę bez nikogo.

Wiadomo, ruchałem, gdy zdarzyła się potrzeba, ale byłem całkiem sam.

A teraz jakby samotność przestała mi pasować.

Stan skinął głową Lou i Jayowi, a potem podszedł bliżej i powiedział, że ma dla mnie i Angela robotę na wieczór. Musiałem się mocno spiąć, żeby okazać entuzjazm. Stan miał typowo polskie grube brwi, coś jak klif rzucający długi cień na jego malutkie oczka. Podsunął mi skrawek papieru.

– Jefferson Heights – oznajmił. – Odwiedzicie Franka Sienkiewicza.

Pamiętałem to nazwisko. Przewodniczący, były przewodniczący albo prawnik związku pracowników portu.

Ponoć władze federalne chciały poddać dokerów gruntownej kontroli, mówiło się, że mają być pokazowym celem. Związki utrzymywały się z przemytu różnych rzeczy dla partnerów Stana, ale to wszystko, co wiedziałem na ten temat.

– Tylko nikogo nie pokaleczcie – ostrzegł Stan. – Nie potrzebuję teraz zadymy.

Stał za mną i oparł mi dłoń na ramieniu. Nigdy niczego nie umiałem wyczytać z tych małych oczu ukrytych pod potężnymi nawisami brwi, ale sekret jego sukcesu krył się w twarzy pozbawionej litości – w szerokich słowiańskich kościach policzkowych i wąskich zaciśniętych ustach kozackiego jeźdźca. Jeśli Ruscy faktycznie mieli ludzi zdolnych wepchnąć komuś rozżarzony pręt w kutasa, byli to bez wątpienia goście pokroju Stanisława Ptitki.

– Zależy mi na tym, żeby zrozumiał, co jest dobre – dodał. – Musi grać zespołowo. Tylko tyle.

– I nie poradzę sobie z tym bez Angela?

– Weźmiesz go ze sobą. Bo jestem ostrożny.

Wyjaśnił także, że zanim się spotkam z Angelem, mam odebrać kasę w Gretnie. Wskazał głową na szklanekę z walkerem w mojej dłoni.

– Więc trzymaj się planu.

Wychylił kieliszek wódki i pchnął barmanowi szkło po blacie. Wata w uchu George'a była poznaczona żółtymi plamami. Stan, nie patrząc na mnie, poprawił krawat.

– Bez spluw – powiedział.

– Słucham?

– Pamiętasz tego tirowca w zeszłym roku? Nie chcę, żeby ktoś zebrał kulkę, bo komuś puściły nerwy. Dlatego mówię tobie i mówię Angelowi: broń zostaje. Nie chciałbym się dowiedzieć, że mieliście gnaty.

– Gość tam będzie?

– Będzie. Wysłałem mu prezent.

Poszedł, a po drodze zatrzymał się przy Carmen i mocno ją pocałował, ugniatając jej cycek. W mojej głowie pojawiło się kilka barbarzyńskich pomysłów. Kiedy zniknął za tylnymi drzwiami, znudzona dziewczyna skupiła się na papierosie. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego Stan nie pozwolił nam zabrać broni.

To było naprawdę dziwne.

Siedząca po drugiej stronie baru Carmen spojrzała na mnie spode łba, a Lou i Jay mentalnie zaczęli gadkę o tym, że odkąd ona i Stan są razem, Stan zrobił się bardzo wyluzowany. Uświadomiłem sobie, że to prawda: wszystko zaczęło się składać i w głębi serca poczułem nagłe ukłucie wstydu. Wychyliłem resztę whisky i poprosiłem o następną.

Carmen miała długie jasnobrązowe włosy spięte z tyłu, a na ślicznej twarzy grubą warstwę pudru maskującą podniszczoną skórę, a także zmarszczki i bruzdy widoczne jedynie z bliska. Kojarzyła mi się z pustą szklaneką po drinku, w której pozostały resztki cytryny i kawałki lodu.

Wydaje mi się, że faceci do niej Ignęli, bo potrafiła epatować cielesnością. Wystarczyło

na nią spojrzeć, żeby mieć pewność: zgodzi się na wszystko. To seksowne, ale trudne do zniesienia.

Wiedziałem o niej takie rzeczy, o których Angelowi się nie śniło. Że lubiła wieloosobowe układy. Że pewnego razu zaproponowała zaproszenie do nas jeszcze jednej panienki dla podkreślenia atmosfery.

Nie do końca moja bajka. Dopiero teraz widzę, że mój romantyzm był trochę nie na miejscu.

Wydaje mi się, że zdrada dawała jej większego kopa niż seks. Tak jakby chciała sobie coś udowodnić.

Twierdziła, że kiedyś jej przyłożyłem, ale jej nie wierzę. Miała coś z aktorki i dramatyzowanie bywało ważniejsze od prawdy.

Chociaż muszę przyznać, że z tamtej nocy niewiele pamiętam.

Tymczasem siedzący przy barze Lou nawijał do niej:

– Doskonale wiesz, jak uszczęśliwić faceta.

– Nikt mi nie zarzuci, że się nie staram – przyznała Carmen.

Parsknęli śmiechem, a ja poczułem, że lufa gnata, którego noszę za paskiem spodni, zaczyna mnie parzyć. Ale nie miałbym z tego żadnej satysfakcji. Byłem po prostu wściekły i nie chciałem umierać tak, jak przepowiedział mi to lekarz.

Położyłem kilka banknotów na barze i wyszedłem. Parę dni temu zalałem się tu tequilą i musiałem zostawić samochód. Wciąż tam stał, nienaruszony, potężny ford F-150 z 1984 roku. Minęły już trzy lata, ale model z tamtego rocznika bardziej mi pasował: przysadzisty, kanciasty, potężna maszyna, nie jakaś zabawka. Nie włączyłem radia i jadąc ekspresówką Pontchartrain, pozwalałem myślom swobodnie buzować w głowie.

Gretna. Na Franklin Street zastanawiałem się, kiedy ostatnio zrobiłem coś jak należy. Każdy promień słońca na przedniej szybie domagał się, by go docenić, ale nie miałem do tego głowy. Próbowałem sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał stan nieistnienia, ale nie umiałem.

Dławiło mnie to samo poczucie beznadziei, które miewałem w wieku dwunastu, trzynastu lat, gdy patrzyłem na niekończące się pola bawełny. Sierpniowe poranki, jutowy worek na ramieniu i gwizdek pana Beidle'a, który siedząc na koniu, kierował dziećmi z rodzinnego domu dziecka. Przykre wrażenie niekończącego się mozołu. Świadomość, że nie możesz wygrać. Po tygodniu zbierania bawełny dorobiłem się takich odcisków, że nie potrafiłem utrzymać widelca i straciłem czucie w palcach. Spojrzałem na swoje stwardniałe opuszki i zacisnąłem dłonie na kierownicy, czując kolejną falę gniewu. Oszukano mnie. Potem pomyślałem o Mary-Anne, mojej matce. Była słabą, sprytną kobietą, która celowo zachowywała się jak głupia. Nie chciałem teraz o niej myśleć.

Dotarłem pod adres podany przez Stana: rudera blisko magazynów, poszarzałe cegły, graffiti, trawa i wysokie chaszczki ciągnące się aż do opuszczonej sąsiedniej działki. Rdzewiące graty na parkingu. Woń paliwa i nagranych śmieci, która spowija Nowy Orlean.

Mieszkanie numer dwanaście. Pierwsze piętro. Ned Skinner.

Minąłem jego drzwi i zajrzałem przez okno w korytarzu. Wewnątrz panowały ciemno-

ści, nie dostrzegłem żadnego ruchu. Wsunąłem dłoń do kieszeni, w której trzymałem kastet, i szedłem dalej zewnętrzną klatką schodową. Zszedłem na dół, okrążyłem budynek i spojrzełem w okna jego mieszkania. Wiatr kołysał wybujałymi chwastami.

Wróciłem pod drzwi i zapukałem. Cały dom sprawiał wrażenie opuszczonego: pozamykane okna, żadnych dźwięków z radia czy telewizorów. Poczekalem jeszcze chwilę, rozejrzałem się, a potem podważyłem zamek ostrzem scyzoryka. Cienkie drewno poddało się bez trudu.

Wśliznąłem się do środka i zamknąłem za sobą drzwi. Małe mieszkanie z kilkoma meblami, wszędzie stopy śmieci: gazety i programy gonitw, opakowania po żarciu na wynos, telewizor z pokrętłem i popękany ekranem. Butelki po drogiej wódce zagracały cały blat. Zawsze nienawidziłem flejtuchów.

Mieszkanie cuchnęło zastałym potem i ludzkimi wydzielinami. W łazience pleśń i brud, sztywne ciuchy na kafelkach. W sypialni materac na podłodze i skotłowane poźółkłe prześcieradła. Pogniecione kupony wyścigowe zaścielały wykładzinę niczym cięte kwiaty.

Tuż przy łóżku przewrócona ramka z fotografią. Podniosłem: kobieta o kasztanowych włosach i chłopiec, oboje nawet uroczy, uśmiechnięci i pełni entuzjazmu. Zdjęcie musiano zrobić parę lat temu – wskazywały na to ubiór kobiety oraz jej fryzura, a także niespotykana ostatnio grubość papieru fotograficznego i jego faktura. Kolory wyblakły z upływem czasu. Przeszedłem do salonu, zrzuciłem z krzesła pudełko po pizzy i usiadłem. Spojrzałem na zdjęcie, potem na mieszkanie. Mieszkałem w takich miejscach.

Analizowałem uśmiechnięte twarze na fotografii.

Coś mi wtedy zaświtało, przeczucie, strzępek wiedzy, ale nie potrafiłem tego uchwycić. Coś, co kiedyś znałem albo czułem, wspomnienie, które nie chciało wypłynąć na światło dzienne. Wciąż próbowałem je złapać, ale nic z tego.

Chociaż było blisko.

Światło wpadające przez żaluzje rzucało na mnie wzór w staromodne więzienne paski. Długo jeszcze czekałem na krześle, ale nikt się nie pojawił. Biorąc pod uwagę wszystko, co wydarzyło się później, jestem skłonny uważać, że oczekiwanie w jego mieszkaniu stanowiło punkt zwrotny zarówno dla mnie, jak i dla niego.

W tej chwili sprawy mogły się potoczyć inaczej.

Spotkałem się z Angelem o ósmej wieczorem w Błękitnej Szkapie przy Tchoupitoulas. Kręcili się tu głównie motocykliści i wolałem tę spelunę od lokalu Stana.

Najpierw zajrzałem do swojej przyczepy. Może to kwestia paranoi, ale ciągle myślałem o tym, dlaczego Stan zabronił brać spluwy. Po co o tym w ogóle wspominał, skoro jestem zawodowcem, nie cynglem? I do czego był mi potrzebny Angelo? Zaczynałem podejrzewać, że próbują mnie w coś wrobić. Może chcą mi odpłacić za coś, co zrobiłem Carmen. Jakby uwierzyli, że ją walnąłem. Albo po prostu zależy im, żebym się przy niej nie kręcił. Czy coś tam.

W każdym razie nie podobało mi się to. Postanowiłem słuchać instynktu. Zgarnąłem kastet, pałkę teleskopową, a do buta wsunąłem colta mustanga 380. Dodatkowo do przedramienia przymocowałem wysuwane ostrze. Nie używałem go od lat, naoliwiłem więc sprężynę WD-40, a kiedy włożyłem marynarkę i przekręciłem nadgarstek, ostrze wskoczyło mi w dłoń niczym lodowata błyskawica.

Angelo mnie zaskoczył, gdy spotkałem go przy barze. Odwrócił się na stołku i wyciągnął rękę na powitanie. Miał zmęczony i przygnębiony wyraz twarzy. Uścisnąłem mu dłoń, uważając, by nie przekręcić nadgarstka.

– Gotowy? – spytałem.

– Daj dopić. – Sięgnął po szklankę stojącą na barze i siorbnął. Jego wysoko zaczesana i przerzedzona grzywka zaczynała się dość daleko za czołem, a czarny dres był równie niedopasowany do tego miejsca, jak ja do lokalu Stana. Usiadłem obok i zagapiłem się na butelki.

Spojrzenie, jakim obrzucił mnie Angelo, nazwałbym wściekle smutnym, nie potrafił usiedzieć na miejscu, kolano mu podrygiwało. Cały czas skubał skórki przy paznokciach. Wtedy do mnie dotarło.

– Kłopoty? – zapytałem.

– Wiesz o Stanie i Carmen? – odpowiedział pytaniem.

– Tak. Pewnie.

Spojrzał spode łba.

– Jebać to – stwierdziłem. Myśląc o raku, przyjrzałem się flaszkom. – Podwójnego niebieskiego walkera.

Zapłaciłem cztery dychy. Ciepło spłynęło przez gardło i dotarło aż do piersi, poczułem w niej życie.

– Ona... – wymamrotał Angelo.

– Co?

– Jak ona... wiesz, ma zamiar... czemu? Znasz o nim te same historie co ja.

– Daj spokój, żadna z niej święta, taki typ. Zdzira.

– Nie mów tak. Nie chcę tak o niej rozmawiać.

– To przestań o niej gadać. Przynajmniej ze mną.

Kątem oka widziałem, że znów łypnął na mnie wściekle.

Faceci cenili sobie w Carmen również to, że była bystra albo przynajmniej cwana, i że znała ich sposób myślenia. Trudno ją uznać za głupią pindę. Obstawiam, że wielu gości myślało, że jest bardziej rozgarnięta od nich i to ich podniecało. Wychyliłem jednym haustem pozostałą połowę doskonałej whisky i odwróciłem się.

– Gotowy?

Przez chwilę miałem wrażenie, że mi huknie, ale tylko westchnął i zrezygnowany potrząsnął głową. Z trudem zwlekł się ze stołka, próbując utrzymać równowagę. Nie zdawałem sobie sprawy, że aż tak się nawalił, i trochę martwiło mnie spotkanie z tym Sienkiewiczem z Jefferson Heights.

– Ty kieruj – zdecydował Angelo.

Mój samochód zatrząsł się jak mokry pies, a głos z radia mówił o odebraniu święceń Jimowi Bakkerowi. Angelo opadł na fotel, jakby uszło z niego powietrze. Upewniłem się co do adresu i ruszyłem na północ, w stronę drogi numer 90.

Angelo wyłączył radio.

– Pamiętasz... – odezwał się nieco bełkotliwie. – Pamiętasz, jak parę lat temu dorwaliśmy te dilujące dzieciaki w Audubon Park?

Musiałem się przez chwilę zastanowić.

– Tak.

– I to, jak ten gówniarz się rozbeczał. Pamiętasz, znaczy, jeszcze nic im nie zrobiliśmy. Tak po prostu, normalnie łyzy... – Angelo zachichotał.

– Pamiętam.

– „Błagam... Ja tylko chciałem zapłacić za szkołę”.

– Ta.

– A ty mu powiedziałaś: „To jest szkoła”. – Zamilkł na chwilę, prostując się na fotelu. – A pamiętasz torbę?

– O, tak.

Sprawa sprzed pięciu lat, chwilę wcześniej dołączyłem do ekipy Stana. Dzieciak miał w plecaku cztery tysiące dolarów i woreczki pełne koksu.

– Pamiętasz, co zrobiliśmy?

– Oddaliśmy Stanowi.

– Właśnie. – Spojrzał na mnie i splótł dłonie na kolanie. – Na pewno myśleliśmy wtedy o tym samym. Żeby się podzielić. Nie mówić Stanowi.

Po przedniej szybie sunęły odbłaski świateł samochodów z naprzeciwka, a cichy, zmęczony głos Angela ledwie było słyhać.

– Nie ufaliśmy sobie – ciągnął. – Chodziło nam to po głowie. Ale sobie nie ufaliśmy.

Spojrzałem na niego i wziąłem głęboki oddech.

– Do czego zmierzasz?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Tak sobie myślałem. To znaczy, co właściwie osiągnąłem? Co ty osiągnąłeś? Mam czterdzieści trzy lata, stary.

Wyglądało na to, że potrzebuje teraz kumpla, ale źle wybrał. Zwłaszcza że ten spasiony

makaroniarz nie znał właściwych słów, żeby wyrazić swoje uczucia.

On tu sobie jójczy, a mnie ktoś szykuje trumnę.

– A może byś się tak skupił na robocie? – zaproponowałem.

– Mhm.

Odwrócił głowę i zagapił się w okno. Wrzuciłem do odtwarzacza kasetę Billy’ego Joego Shavera, choć Angelo go nie cierpiał. Nie skomentował tego.

Czułem się trochę winny, bo w sumie miałem zamiar go dziś wystawić, ale to by było jak kopanie kaleki. Potrzebny jest dobry powód.

Zawsze ceniałem uczciwą grę.

Co oznacza, że jeśli twoje nazwisko trafiło na moją listę, na pewno coś przeskrobałeś. Postąpiłeś niewłaściwie.

Mniejsza z tym. Angelo gapił się w okno i wzdychał jak nastolatka, a ja rozkoszowałem się brzmieniem gitary dudniącej z głośników w drzwiach i wibrującej w moich plombach. Po chwili dotarliśmy na Newman Avenue. Wiktoriański gmach otoczony płotem z kutych, zaostzonych prętów. Objechałem go parę razy, żeby zobaczyć, czy nikt nie pilnuje. Zaparkowałem przy Central, skąd mogliśmy się przekraść pomiędzy budynkami.

Sprawdziłem sprzęt i wepchnąłem do kieszeni narciarskie gogle. Angelo chciał od razu włożyć swoje, ale powstrzymałem go, mówiąc, żeby zaczekał, aż wejdziemy do środka. Wiedział o tym, ale zachowywał się tak, jakby nie potrafił zawiązać sobie butów, i miałem ochotę kazać mu czekać w samochodzie. Nic by to jednak nie dało, więc w końcu obaj przemknęliśmy przez podwórka. Przy Newman paliła się tylko jedna latarnia, stała zresztą dość daleko od miejsca, do którego zmierzaliśmy. W budynku panowały ciemności, nie czekały żadne psy.

Powiedziałem, że zajdę od tyłu, podczas gdy Angelo zapuka od frontu.

Naciągnąłem gogle, złapałem się prętów i przeskoczyłem ogrodzenie. Na cichym podwórku, w oczku wodnym wyłożonym kamieniami, szumiała woda, dźwięk dziwnie uspokajający. Pokonałem kilka stopni dzielących od tylnych drzwi i nie zdziwiło mnie, a powinno, że nie ma świateł reagujących na ruch. Podobnie jak to, że był to jedyny dom w okolicy pogrążony w całkowitych ciemnościach.

Ale się spieszyłem. Gdy stanąłem przed drzwiami i zacząłem nasłuchiwać, czułem smak whisky pod maską, a w płucach charczenie zagłuszające szum wody.

Czekałem. Słyszałem, jak Angelo dobija się od frontu. Wyobraziłem sobie, że ktoś w środku podchodzi do wejścia. Odsunąłem się i unosząc teleskopową pałkę, policzyłem do trzech. A potem załadowałem w drzwi z buta i wbiłem je do środka.

Z pałką nad głową wpadłem na ślepo w ciemność. Coś ciężkiego uderzyło mnie w głowę i czerń zamieniła się w czerwień.

Straciłem poczucie czasu.

Ocknąłem się, gdy ktoś rzucił mną o podłogę, łeb pękał z bólu. Ktoś zdjął mi maskę, naprzeciwko siedział Angelo. Miał zakrwawioną twarz i trzymał się za nos. Byliśmy w przedpokoju, oświetlał nas na musztardowo niewielki kinkiet, spod pomarańczowego szkła wydostawały się liche smugi światła. Czerwona tapeta. Stał przy mnie jakiś facet,

przy Angelu również. Mieli na sobie czarne kombinezony i gogle, w dłoniach trzymali pistolety z tłumikami. Obaj w wojskowych butach i czarnych kamizelkach z powypychanymi kieszeniami. Prawdziwi zawodowcy. Lodowate spojrzenie, małe oczy, jak u Stana.

Usłyszeliśmy kroki. Facet obok Angela wyrzwał za róg. Wydawało mi się, że słyszę kobiecy szloch. W powietrzu unosił się zapach prochu i gówna. Rozejrzałem się.

W sąsiednim pokoju leżały zwłoki Sienkiewicza w zakrwawionej koszuli.

Znów usłyszałem łkanie i pomyślałem, że to Angelo, ale oczy oswoiły mi się z półmrokiem i w pokoju po lewej dostrzegłem dziewczynę na krześle. Widziałem na tyle dobrze, by zauważyć ściekający po policzkach makijaż. Jej skulonym ciałem wstrząsały dreszcze.

Zrozumiałem, co się dzieje i dlaczego Stan nie pozwolił nam wziąć broni. Zerknąłem na Angela, ale wyglądał na skołowanego, zażawionymi i pustymi oczami wgapił się w krew na dłoni.

Kroki się zbliżały, zza rogu wyłonił się trzeci mężczyzna, dopinający rozporek. Trzymał pod pachą grubą teczkę z jakimiś papierami i nosił się jak tamci dwaj. Podciągnął gacie i wyjął spluwę zza paska.

– Podnieście ich – rozkazał z dziwnym akcentem, który nie pochodził ani z Ameryki, ani z Europy.

– O co chodzi? – jęknął Angelo. – Kim jesteście?

Jeden z facetów zdzielił go kolbą w twarz. Angelo zasłonił usta i skulił się na podłodze.

Oddech dziewczyny na krześle stał się szybszy i ciężki, jakby się dławiła.

Mężczyzna szarpnął Angela za włosy, podnosząc go z podłogi, a ja poczułem tłumik przy skroni.

– Wstawaj.

Podniosłem się powoli, wciąż z lufą przyłożoną do głowy. Czułem, że opróżnili mi kieszenie, zniknął również gnat, którego schowałem do buta. Rzuciłem okiem na Angela. Stał w kałuży własnych szczyń. Ciasna przestrzeń i trzy spluwy, a my nieuzbrojeni.

Ludzie po prostu nie wychodzą cało z takich akcji.

Postawili Angela pod ścianą i zaczęli mierzyć odległość dzielącą go od ciała Sienkiewicza w sąsiednim pokoju. Domyśliłem się, że chcą tak zaaranżować sytuację, żeby wyglądało, jakbyśmy się wzajemnie wystrzelali, ale nie byłem pewien.

Ten obok puknął mnie gnatem w głowę i popchnął do przodu, a ja udałem, że się potykam, i przyklęknąłem.

Kiedy się pochylił, żeby mnie podnieść, przekręciłem nadgarstek i wbiłem mu ostrze w szyję. Gorąca krew trysnęła mi na twarz i usta.

Jego towarzysze unieśli broń. Puściłem nóż i ukryłem się za upadającym ciałem. Pierwsza kula odłupała kawał tynku, druga zburzyła fryzurę Angela, który osunął się na kolana. Teraz obaj strzelali do mnie. Kule z głuchym „puf”, coś jak pneumatyczne bolce, wbijały się w trzeciego. Trafienia wstrząsały jego ciałem, w gardle wciąż tkwiło ostrze.

Broń miałem pod nosem, za paskiem jego spodni była moja spluwa. Wyszarpnąłem ją i nie zważając na fontannę krwi, strzeliłem do tego najbliższego.

Nie celowałem, oślepiony posoką tryskającą z przeciętej arterii, ale udało mi się go tra-

fić w gardło. Mężczyzna zadrżał, szarpnął za cyngiel i upadł na plecy.

Nigdy w życiu tak nie strzelałem.

A wtedy ten ostatni facet, ten, który przystrzygł Angela, zgarnął kulę wystrzeloną przez upadającego kolegę. Spod pachy buchnął mu dym, gość się skulił i walnął plecami o ścianę. Broń spadła na podłogę.

Wtedy też, z tępym łoskotem, upadło na dywan ciało Angela.

Ostatni facet spojrział na swoją spluwę, na własną stopę, potem na mnie. Wpakowałem mu kulę w łeb.

Wszystko trwało może pięć sekund.

Korytarz wypełniał dym gęsty jak mgła. Górna część twarzy Angela odpadła, policzki miał mokre od krwi i łez. Zwymiotowałem. Dziewczyna na krześle płakała coraz głośniejszym głosem.

Z trzech trupów ubranych na czarno unosiły się smużki dymu. Ostrze sterczące z szyi jednego z nich wyglądało jak wielki cień, a pomarańczowe światło sprawiało, że krew przypominała farbę.

Dziewczyna w cieniu trzęsa się, patrząc na wszystko wytrzeszczonymi oczami. Minąłem ją.

Zobaczyłem światło w pokoju na tyłach mieszkania. Na łóżku, oświetlone zielonkawym blaskiem lampki nocnej, leżały zwłoki nagiej kobiety. Miała siniaki na szyi i udach, prześcieradła ociekały krwią. Była młoda, choć nie aż tak, jak dziewczyna na krześle.

Wróciłem do niej.

– Wstań – poprosiłem. – Nie zrobię ci krzywdy.

Nie ruszyła się. Nie spojrziała na mnie, nawet nie mrugnęła. Zostawiłem ją na chwilę i otarłem sobie krew z twarzy.

Zauważyłem teczkę i rozsypane na podłodze papiery, a na nich odłamki czaszki. Schyliłem się, pozbierałem papiery i ruszyłem do wyjścia, ale stanąłem. Dziewczyna wciąż się nie ruszała.

Nie mogłem jej tak zostawić. Widziała moją twarz. Wymierzyłem jej policzek i szarpnięciem za ramię podniosłem z krzesła.

– Wstawaj. Idziesz ze mną.

– Co chcesz zrobić? – wyjąkała.

– Musimy się wynosić.

– Dokąd?

– Nie wiem.

Po raz pierwszy przyjrzałem się jej twarzy. Dziewczyna była młodsza, niż mi się zdało. Miała grubą warstwę makijażu, za grubą, teraz wyglądało to jak rozmazany atrament. Jasne krótkie włosy. Buzia, nawet wypacykowana, wyglądała niemal dziecinnie, ale w jej spojrzeniu dało się uchwycić coś jeszcze, to samo, co czasem pojawiała się w oczach Carmen – historię trudnych decyzji podjętych, żeby przetrwać. Ale równie dobrze mogłem to sobie wymyślić.

– Chodź – powiedziałem. Widząc, że się nie rusza, przyłożyłem jej pistolet do twarzy.

Spojrzała na lufę, potem na mnie. W słabym blasku pomarańczowej żarówki nie rozpoznałbym, jaki jej oczy mają kolor. Rozejrzała się. Potem przykucnęła i pochyliła się nad ciałami. Grzebała w kieszeniach zabitych. Domyślałem się, że szuka pieniędzy lub czegoś, co jej zabrano. Wniosek z tego, że nie pomyliłem się w kwestii jej pragmatyzmu.

Cały czas czekałem na syreny. Podszedłem do okna i wyjrzałem, na ulicy panował zupełny spokój. Dziewczyna skończyła przeszukanie i wpakowała znalezione przedmioty do wielkiej torebki przyniesionej z sąsiedniego pokoju. Wyprostowała się i patrzyła na mnie z poważnym wyrazem twarzy.

– Vonda – odezwała się. – Moja przyjaciółka Vonda.

Poszła w stronę pokoju na końcu korytarza, ale złapałem ją za rękę. Pokręciłem głową.

– Nie chcesz jej oglądać.

– Ale...

Pociągnąłem ją ku tylnym drzwiom, potem na ulicę, gdzie kryliśmy się w cieniach, wciąż nasłuchując, czy od strony autostrady nie zbliżają się syreny. Wciąż czułem krew, która zasychała mi na policzkach, i proch. Zdjąłem koszulkę i mocno się nią wytarłem, wysmarkałem nos. Przemknęliśmy przez tonące w mroku, porośnięte drzewami podwórka, oddalając się od tego miejsca.

Po dotarciu do auta wepchnąłem dziewczynę do środka i uruchomiłem silnik. Śpiew Billy'ego, warkot motoru i inne dźwięki wywołały uśmiech na mojej twarzy. Pomyślałem, że gdybym wspomniał Stanowi o płucach, wszystko to mogłoby się nie zdarzyć. Mógł pozwolić naturze działać w swoim rytmie.

Przez chwilę siedziałem nieruchomo za kółkiem, szczerząc się od ucha do ucha. Musiałem tym nastraszyć dziewczynę, bo kulila się pod oknem i gapiała w podłogę. Zjechałem z krawężnika i ruszyłem w kierunku autostrady.

Z perspektywy czasu wydaje mi się, że musiałem mieć jakieś inne powody, aby ją ze sobą zabrać, niż to, że widziała moją twarz. Co z tego? Umierałem. Mógłbym zgolić brodę i zmienić fryzurę. Przecież właśnie dlatego hodowałem długie włosy, żeby w razie wpadki obciąć się na jeża, pozbyć zarostu i zmienić wygląd.

Myślę, że przez moment tam, w korytarzu wypełnionym pomarańczowym światłem i dymem, gdy wciąż dzwoniło mi w uszach od huku strzałów i zaciskałem szczęki od adrenalin, coś w twarzy tej dziewczyny, jakiś strach i żal, przypomniały mi o tamtym opuszczonym mieszkaniu, przynosząc to samo wrażenie, że o czymś zapomniałem, jakieś odbijające się echem intuicyjne wspomnienie, poczucie braku.

Tak czy inaczej, okazało się, że dziewczyna również pochodziła ze wschodniego Teksasu.

Powiedziała, że nazywa się Raquel, ale wszyscy mówią na nią Rocky. Była przerażona i nic dziwnego, po takich przejściach wielu ludzi by się wyłączyło, ona jednak gadała jak najęta. Podejrzywałem, że sztuki przetrwania nauczyła się wcześniej niż tej nocy.

– Nazywam się Arceneaux – wymawiała to jak „Arson, o”. – Zabijesz mnie?

– Nie, przestań o to pytać.

Zawiozłem ją do siebie, do Metairie. Przez chwilę staliśmy w ciemnościach na skraju pola kempingowego, przyglądając się mojej przyczepie, ale wszystko wyglądało tak samo. Żadnych nieznanymi pojazdów. Żadnych świateł w oknach. Weszliśmy do środka. Puściłem dziewczynę przodem, nie włączałem lampy.

– To twój dom?

– Zamknij się.

Zastanawiałem się, kiedy ci komandosi mieli się zameldować u Stana. Spokój na zewnątrz był niemal przytłaczający: dęby i sosny wokół przyczep nie szumiały, zwieszały się nad tymi pudełkami bezszelestnie, u sąsiadów nie dostrzegałem żadnego ruchu. Nikt nie przechodził za oknem, matowe światło padające na zewnątrz wydobywało z mroku nisko wiszące gałęzie oraz porozrzucane w błocie opony i zabawki. Zapaliłem lampę w korytarzu.

Odłożyłem broń na pokrywę szamba i nad umywalką, w strugach gorącej, szybko różowiejącej wody, umyłem twarz, potem dłonie i przedramiona.

Włożyłem czystą koszulę i sięgnąłem do szafki po niewielką skrzynkę, podobną do tych, w których przechowuje się bankowe depozyty. Trzymałem w niej jakieś trzy tysiące dolarów oraz lewe prawo jazdy i paszport, które sprawiłem sobie lata temu. Mój fundusz emerytalny. Zgarnąłem również pudełko naboju do trzystaosiemdziesiątki, czystą tablicę rejestracyjną, trochę ubrań i wpakowałem to do płóciennego żołnierskiego worka.

Dziewczyna siedziała w salonie na fotelu, w którym przesypiałem większość nocy. Podłogę wokół fotela okupowała armia puszek po piwie – prawdziwa armia, bo zwykle naciąłem boki puszek i wywijiałem im ramiona, a potem prostowałem wieczka, żeby przypominały głowy. Zajmowałem się tym w czasie oglądania *Fort Apache* i teraz było mi trochę głupio. Naprzeciwko fotela stał telewizor i kolekcja kaset.

– Sporo filmów – zauważyła. – Ale żadnych mebli.

Powiodła wzrokiem po puszkach.

Machnąłem w jej stronę bronią.

– Wracaj do samochodu. Ruszaj się.

– Dopiero co przyjechaliśmy. Te wszystkie filmy są s t a r e.

Porzucenie niemal pełnej filmografii Johna Wayne’a przychodziło mi z trudem. Zbierałem te taśmy parę lat.

– Tu nie jest bezpiecznie. Ruszaj się – powtórzyłem. – Inaczej zaczną się problemy.

Za pomocą śrubokrętu podmieniłem tablice rejestracyjne na nowe; lata temu zwinąłem je z forda należącego do dentysty w Shreveport.

Musieliśmy się dostać do drogi I-10 i jechać na zachód tak długo, aż opuścimy Luizjanę. Moglibyśmy ruszyć na wschód, ale nie jestem mile widziany w Missisipi, dlatego wolałem zachód; cztery godziny i już Teksas.

Rzuciłem worek na pakę furgonetki. Skrzynkę z kasą i papiery z domu Sienkiewicza wepchnąłem za fotel. Wjechaliśmy na międzystanową.

– Czemu ci goście chcieli was zabić? – spytała dziewczyna.

– Jakaś pierdoła. Z powodu kobiety. – Walnąłem w kierownicę, bo zrozumiałem, jak bardzo mnie to wkurza. – Tyle właśnie jest warte moje życie.

Chciała usłyszeć więcej, ale nie puściłem farby. Zapytałem, jak znalazła sobie taką robotę. Zdążyłem się domyślić, że ona i jej kumpela były dziwkami, które miały zatrzymać Sienkiewicza w domu.

– Nadal masz krew na twarzy – odpowiedziała.

Spojrzałem w lusterko, a wtedy małym palcem dotknęła mojego podbródka.

– Tutaj.

Starłem plamę śliną. W magnetofonie śpiewała Loretta Lynn, a dotknięte przez dziewczynę miejsce pulsowało ciepłem. Próbowałem podtrzymać rozmowę, bo miałem nadzieję, że w ten sposób łatwiej będzie mi sobie z nią poradzić, i nie chciałem, żeby pogłębiał się w niej szok. A może stęskniłem się za ludzkim głosem. Za tym, żeby ktoś mówił. Powoli docierały do mnie zdarzenia dzisiejszego dnia.

– Mów dalej – poprosiłem. – Dokończ, co zaczęłaś.

– Ale co?

– Jak znalazłaś się w tamtym miejscu.

– A, no dobrze.

Już zdążyła wspomnieć, że pochodzi z Orange w Teksasie, tuż przy granicy z Luizjaną, niedaleko Port Arthur, gdzie dorastałem. Twierdziła, że ma osiemnaście lat. Uciekła stamtąd jakieś pięć miesięcy temu, razem z nieco starszym chłopakiem, który jechał do Nowego Orleanu.

– Łażąca katastrofa. Topy. Ale mogło się trafić gorzej. Mówił, że zna ludzi, którzy załatwią nam robotę w mieście. I mówił tak, jakby naprawdę miał znajomości. Był ciotą, więc myślałam, że nie kłamie. Skończyło się na tym, że biegał z paczuszkami prochów dla jakichś gości po St. Roch i Lower Ninth. Potem wpadł na pomysł, żeby się wybić, No wiesz, orznąć ich. Skubnąć trochę dla siebie. Kiepsko to sobie wykombinował. Pewnego dnia zniknął. Nie wrócił do naszego pokoju. Nie wiem, czy umarł, czy uciekł, bo coś nawyrabiał, ale już się nie pojawił.

Skubiąc dolną wargę, zapatrzyła się w ciemność za oknem, była na skraju załamania, drżała jak liść na wietrze.

– Nikt go nie szukał. Już wtedy miałam dość. I prawie wyszła mi kasa. Niczego mi nie zostawił. Znałam pewną dziewczynę... – Zamilkła ponownie i przeszedł ją kolejny dreszcz, jakby skurcz wzdłuż kręgosłupa. Zasłoniła usta.

– I?

Skrzywiła się i zaczęła płakać. Chwilę później otarła oczy i wyprostowała ramiona.

– Dziewczyna nazywała się Vonda. Mieszkała w tym samym hotelu. Mówiła, że pracuje na własny rachunek. Zajmowała się... no wiesz. Nic nie wiedziałam o tej robocie, ale Vonda bardzo zabawnie o tym opowiadała. I w sumie wyglądało to całkiem normalnie, jej numer był w książce telefonicznej. Elite Escorts. Jak zwyczajna firma. Ciągłe powtarzała: „Jeśli jesteś w czymś dobra, nie rób tego za darmo”. Zabawne, prawda? I brzmi sensownie, no nie?

Spojrzała na mnie.

– Wiesz, kogoś mi przypominasz. Jednego gościa z zespołu, który lubił mój ojczym. The Almond Brothers. Faceta z okładki na jednej takiej płycie.

– Jednym z właścicieli Elite Escorts jest Stan Ptitko. Spotkałaś go kiedyś?

– Nie. Chyba nie. Kilka razy mogłam słyszeć to nazwisko. To znaczy jestem ciągle nowa. Kto to?

– To on próbował mnie dziś załatwić.

– Och.

– Opowiadałaś o Vondzie – przypominałem.

– Tak. – Jej oczy pojaśniały. – Była dla mnie dobra. Poznała mnie z innymi dziewczynami. Wszystko zaczęło się niedawno, wiesz. Nie miałam czym zapłacić za pokój, trochę dupa. Ale, ale ona... – Potrząsnęła głową i znów zasłoniła usta, jakby nie mogła pogodzić się z tym, co się stało.

– To ona? – upewniłem się. – Tam, w domu? W sypialni?

Skinęła głową, a jej umięśnione drobne ramiona znowu zaczęły drżeć.

Dałem jej na chwilę spokój. Dziewczyna w końcu odzyskała mowę.

– Mówili, że to będzie prosta robota. My dwie i jeden facet. Ledwie gość dobrał się do Vondy, do środka wpadła ta trójka. Vonda wyskakiwała właśnie z ciuchów, ja się trochę ociągałam, a oni... Nie pozwolili jej się ubrać. Tłukli tego gościa tak długo, aż im powiedział, gdzie coś tam schował. A potem go zastrzelili. Vonda wciąż była całkiem goła. Odbijało nam ze strachu. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Oni... yyy... Oni... – Znów potrząsnęła głową i zaczęła uderzać drobną piąstką w udo. Miała ładne nogi i pomyślałem, że nie powinna ich siniaczyć. – Zawlekli ją do sypialni. Powiedzieli... Kazali mi usiąść. Powiedzieli, że... – jękała się. – Powiedzieli, że zostawiają mnie sobie na deser. Boże, jestem, och... – Zacisnęła zęby i zgięła się w pół, jakby dostała w brzuch. – Jestem ci naprawdę, naprawdę wdzięczna, że pozabijałeś tych skurwysynów, gościu.

– Też się cieszę.

Dziewczyna otarła oczy wierzchem dłoni. Miała niezłe ciało i nawet w takim stanie dało się w niej wyczuć wiejską twardość – idiotyczną, wściekłą dumę, którą tak dobrze znałem. Nagle coś sobie uświadomiłem.

Od dłuższej chwili ani razu nie pomyślałem o raku. Co więcej – czułem się doskonale. Jakbym był jakimś bohaterem.

Jakby udało mi się ją ocalić.

Myślałem o szczęściu i swoim idealnym strzale. O farcie, że nie znaleźli ukrytego ostrza i nie uruchomili przypadkiem mechanizmu, wlokąc mnie przez korytarz.

Zapewniłem Rocky tyle prywatności, ile to możliwe w furgonetce, i pozwoliłem jej płakać i wbijać paznokcie w uda do woli. Włączyłem kasetę z Royem Orbisonem.

W zależności od tego, przez jaką jechaliśmy okolicę, atramentowa czerń za oknami samochodu przechodziła w czerwień, fiolet w bladożółty poblask, coś jak gaza przed ścianą mroku, jak patrzenie w ciemność spod latarni, która w końcu gaśnie i ustępuje miejsca czerni, a woń soli morskiej zmieniała się w zapach sosen, amoniaku i płonącej ropy. Gdy jechaliśmy nad moczarami Atchafalaya, długim mostem nad płynną czernią, otuliły nas lasy i bagna, przypomniałem sobie gęstwiny drzew i pnączy z dzieciństwa, to, jak wiele cienia kryło się w zieleni liści, i uczucie, że połowa świata schowana jest wśród tych cieni.

Nocne niebo przetykane smugami jasnego dymu z rafinerii przywołało obraz plaży w Galveston i Loraine, która opierając głowę na mojej piersi, słuchała opowieści o plantacjach bawełny. Ciekawe, co by pomyślała o tej sytuacji.

Kilka lat temu wynająłem gościa, żeby ją odnalazł. Wyszła za męża. Wciąż miałem zapisane jej nowe nazwisko i adres, i od czasu do czasu przychodziło mi do głowy, żeby do niej wpaść. Ale minęło dziesięć lat. I zawsze byłem dla niej za stary.

W okolicach Lafayette Rocky doszła do siebie, a miejsce rozpaczy zajęło dziwne podniecenie, które mnie zaniepokoiło. Gwałtowne zmiany nastroju u kobiet zawsze wydawały mi się sztuczne i podejrzone.

– Dokąd teraz jedziemy? – zapytała.

– Wysadzę cię, kiedy dojedziemy do Teksasu. Mogę cię podrzucić do Orange, jeśli chcesz. Wrócisz do rodziny.

– Nie-e. Na pewno tam nie wracam. Już lepiej wysadź mnie tutaj.

– No to gdzieś indziej, nie w Orange. Ale jedziesz ze mną do Teksasu. Ci ludzie będą cię szukać. Będą chcieli wiedzieć, co się stało. Wiesz, co to znaczy?

Sposób, w jaki opadła na fotel, wyraźnie wskazywał, że w końcu zaczęła rozumieć, ile się zmieniło.

– Och.

W blasku mijanych przez nas latarni jej oczy połyskiwały jak moczary pod nami. Zagryzła wargę, jakby coś knuła.

– Pojedźmy gdzieś razem – zaproponowała.

– To znaczy?

Usiadła bokiem. Nagłe poruszenie, gdy skrzyżowała nogi na siedzeniu, a spódniczka podjechała wysoko w górę, odsłaniając jej szczupłe uda.

– Sam powiedziałeś, że uciekasz, no nie? I ja też uciekam, tak mówiłeś, nie? Pochodzimy z tych samych okolic. Dlaczego nie puciekamy chwilę razem i nie zobaczymy, jak nam pójdzie?

Poczułem rumieniec wspinający się po karku i suchość w gardle, ale zdołałem się opanować. Spojrzałem na jej nogi, na przycięte tuż nad szyją puszyste blond loki rozdzielone przedziałkiem, na jej ostre, ptasie rysy twarzy i na oczy, których barwy wciąż nie umiałem

określić. Zdążyła już poprawić makijaż i znów przesadziła z tuszem do rzęs. Wierzyła zapewne, że dzięki temu będzie wyglądać na starszą, ale rozpaćkane bryłki tuszu nadawały jej jeszcze bardziej dziecinny wygląd.

Pewnie była jedną z tych wiejskich dziuń, którym odbija, kiedy nie mają przy sobie faceta.

– Tak tylko mówię – kontynuowała, unikając mojego wzroku. – Czułabym się dużo bezpieczniej, gdybym się mogła jeszcze trochę z tobą pokręcić.

– Zapomnij. – Potrząsnąłem głową. – Jezu. Nie. Niby gdzie mielibyśmy jechać?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Może nad Zatokę? Gdzieś, gdzie są plaże? Albo do Corpus Christi? A może gdzieś daleko na zachód. Co? Kalifornia? – Uśmiechnęła się. Wkurzało mnie, że traktuje to jak wakacje.

– Ile masz kasy? – zapytałem.

– Ja? – Spowaźniała momentalnie. – Między zero a nic.

– Aha – odpowiedziałem.

– Myślisz, że poluję na twoją kasę, ćwoku? – Gwałtownie wyprostowała ramiona. – Sama sobie potrafię zorganizować forszę. I mam pieniądze, tylko nie przy sobie. Są w Nowym Orleanie. Nie spytałeś, czy chcę wpaść do domu. Porwałeś mnie. – Założyła ręce, a na jej skrzywionej twarzy pojawiła się ta idiotyczna, obrzydliwa duma wywołana ciężkim życiem. – Nie potrzebuję twojej cholernej kasy.

– Więc mnie też nie potrzebujesz, Rocky. Beze mnie dużo łatwiej ci będzie zniknąć.

– Jasne. Zniknąć. – Siadła prosto i spojrzała za okno. – Nie wiem. Nie chcę być teraz sama, rozumiesz? Teraz, po tym, co się stało, naprawdę nie chcę być sama. Tak?

W lusterku wstecznym zalśniły czerwone światła, przecięły noc jak błyski wystrzałów albo krzyk. Syreny. Westchnęła.

– Spokojnie – powiedziałem, choć serce waliło mi jak młotem. Wyłączyłem radio, wciśnąłem hamulec i zjechałem na pobocze. Dziewczyna położyła sobie torebkę na kolanach i ścisnęła ją kurczowo w obu dłoniach.

– Nie pozwól, żeby nas aresztowali. – W jej głosie nie usłyszałem strachu, jedynie determinację. – Nie pozwól im na to, człowieku.

Kiedy zatrzymałem auto, radiowóz na sygnale nas minął, a widok stopniowo malejących rozmigotanych świateł był jedną z najpiękniejszych rzeczy, jakie w życiu widziałem.

Słyszeliśmy tylko nasze oddechy. Rocky puściła w końcu torebkę i oboje parsknęliśmy śmiechem. Miała szeroko otwarte usta, śmiała się przenikliwie i histerycznie. Odczekałem, aż gliniarze całkowicie znikną nam z oczu, i wróciłem na drogę.

Przez chwilę jechaliśmy w zupełnej ciszy.

– Nie ma dobrego powodu, żebyśmy trzymali się razem – powiedziałem. Nie wiem, po co wracałem do tego tematu.

Później dotarło do mnie, że prosiłem ją, żeby mnie przekonała, żeby dała mi pretekst. Jakby nieznaną część mnie dostrzegła swoją szansę i postanowiła się ujawnić.

– A co z, nie wiem, solidarnością, co? – zapytała. – Teraz oboje jesteśmy przestępcami.

– To zdecydowanie różne przestępstwa.

– Jak chcesz. – Skrzyżowała ramiona i wyjrzała przez okno. Przestała mnie przekonywać, choć pewnie wyczuwała we mnie łatwą ofiarę.

– Czemu nie chcesz jechać do Orange? – spytałem.

– Nie twój interes – odparła, wysuwając podbródek. – Mam swoje powody.

– Twoja rodzina wciąż tam mieszka?

– Częściowo – westchnęła i przewróciła oczami.

– Nie możesz się u nich ukryć?

– Facet, nie trzymamy się blisko. Kapujesz? – Przycisnęła torebkę do brzucha i przygryzła dolną wargę.

– Matka i ojciec?

– Ojczym. Po co w ogóle drążysz, stary? Odpuść. Co cię to obchodzi?

– Wyluzuj. To tylko ojczym?

Wzdłuż międzystanowej kołysały się drzewa. Zaciśnęła zęby.

– Słuchaj, jeśli zmusisz mnie do gadania, i tak nie będziesz wiedział, czy nie kłamię. Serio. Więc odpuść, dobrze? Może sam opowiesz, skąd się wziąłeś w Nowym Orleanie?

Zrobiłem głośniej radio, a ona opadła na oparcie fotela. W głowie pojawiła mi się gotowa odpowiedź. Zawsze byłem skłonny uważać swoją historię za dość przypadkową.

Od siedemnastego roku życia pracowałem w Beaumont dla Harpera Robicheaux. Kiedy Harper umarł w 1977 roku w Breaux Bridge w Luizjanie, na scenę wkroczył Sam Gino. Potem do prowadzenia knajpy wzięli Stana Ptitkę, a jakiś czas później zabrakło i Gina, ale jego ludzie dalej chcieli, żebym dla nich robił. W mieście. Tak brzmi wyjaśnienie, skąd się wziąłem w Nowym Orleanie.

Zastanowiłem się nad tym. Historia jest prawdziwa, ale czegoś w niej brakuje. Tak naprawdę niczego nie wyjaśnia, prawda?

Kiedy John Cady wrócił z Korei, miałem siedem lat, a dwa lata później, napruty od rana, zwałił się z wieży chłodniczej w rafinerii i złamał sobie kark. Nazywałem go swoim ojcem, ale z czasem zbyt wiele rzeczy zaczęło wskazywać na to, że nie mógł nim być – nasz wygląd, czas mojego poczęcia. Zawsze był dla mnie miły, ale nie znaliśmy się zbyt długo. Jakiś rok po jego pogrzebie Mary-Anne rzuciła się z mostu. Wolą, żebym mówił do niej po imieniu niż „mamo”, bo uważała, że to postarza każdą kobietę o dziesięć lat. Ludzie twierdzili, że sama skoczyła, ale wiedziałem, że jej znajomym nie można ufać. Potem rodzinny dom dziecka, Beidle’owie i plantacja bawełny.

A teraz umierałem i wszystkie zdarzenia z mojego życia stały się niezwykle istotne.

Po trzech godzinach jazdy zobaczyliśmy Lake Charles i łunę świateł unoszącą się ponad drzewami.

Rocky wyprostowała się w fotelu.

– Gdzie się zatrzymamy? – zapytała. – Jak długo jeszcze będziemy jechać?

– Nie wiem. Przede wszystkim chciałem się stamtąd wydostać. Wygląda na to, że się udało.

– Też tak myślę.

– Pewnie rozeznanie się w tym bajzlu chwilę im zajmie. Tylko co potem? Gliny o ni-

czym nie wiedzą. Nie mogli nas zakapować, nie pakując się w kłopoty. A jeszcze ten koleś, Stan Ptitko. Ludzie wiedzą, kim jest. On nie lubi szumu wokół siebie.

– W porządku.

– Więc jeśli będziemy się czaić i jechać dalej... Taa. Powinno się udać.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Ale w sensie, że jedziemy do Nowego Meksyku, Nevady albo gdzieś tam?

– Nie wiem.

Zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy nie mieli za sobą kłótni, że nie jedzie ze mną.

– Słuchaj, jak zetniesz włosy i zgolisz brodę, nikt cię nie rozpozna.

– Jestem tego świadom.

– Chybabym się czegoś napiła.

– Też bym się napił. Wiadro single malta.

Spojrzała na mnie, podciągając nogi pod siebie.

– Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie potrzebowałam się napić.

– Cóż, wciąż jesteś młoda.

Uniosła brwi wysoko, z przesadną zalotnością, trochę zdzirowato. Nie wyszło przekonująco, bo była zmęczona, wstrząśnięta i bliska załamania. Jakby chciała tym ruchem wszystko od siebie odsunąć.

Kaseta się skończyła i opony szumiały na asfalcie. Opuszczaliśmy miasto, zbliżaliśmy się do Sulphur i długiej linii rafinerii, które wyglądały jak Chicago nocą. Pomyślałem o kilku miejscach, które znałem w okolicach Lake Charles.

– Masz jakieś dokumenty?

Rocky skinęła głową.

Droga przed nami opadła, a drzewa przy Prien Lake Road były jaskrawo oświetlone przez latarnie. Wyglądało to nierealnie, jak ze snu.

Zatrzymałem się przed Stodołą Johna, knajpą, którą odwiedziłem przez wieloma laty. Niewielki lokal z niskim sufitem, trzema stołami do bilardu, wokół których tłoczyli się ludzie – grube baby i wściekli faceci, popijający najtańszy browar i szukający okazji do bójki. Właśnie w Lake Charles najłatwiej o kopa w dupę. A każde miasteczko na południe stąd to obozowisko białych wsioków terroryzujących okolicę.

Zaparkowałem między drzewami rosnącymi na tyłach zwirowanego placu. Nad drzwiami damskiego kibla wisały kłęby dymu, unoszące się niczym mgła wokół lodowców. Ścianę za barem ozdabiały flagi Stanów i Unii, skrzyżowane nad zdjęciem Ronalda Reagana i jego bohaterkiej fryzury. Z szafy grającej dobiegała piosenka Waylona, a wokół nas rozbrzmiewały śmiechy i przyjazne rozmowy, nie było się czego obawiać.

Kilku ludzi obrzuciło nas spojrzeniem, w końcu ona mogłaby być moją córką. I może nią była, nie mieli tego jak sprawdzić. Barman postawił kołnierz koszuli na sztorc, oderwał też rękawy. Z dziesięć razy przenosił wzrok z Rocky na jej dokument.

Zamówiłem butelkę piwa i szklaneczkę walkera.

Rocky stanęła na palcach i zastukała w bar.

– Macie sok grejpfrutowy?

Barman skinął głową. Nosił ohydny cieniutki wąsik i przylizane włosy, jak jakiś księgowy.

– A jaki? – dopytywała. – Żółty czy czerwony?

– Żółty – odpowiedział, wyjmując z lodówki niewielką puszkę.

– Super – ucieszyła się. – Poproszę podwójnego salty doga i dużo soli na brzegu szklanki.

W takiej spelunie podobne zamówienie mogło wywołać krzywe spojrzenia, ale ona posłała barmanowi tak olśniewający uśmiech, że można było zawyć. On też się uśmiechnął, ale nie zwracałem na to uwagi.

Ludzie przy barze zamilkli, żeby na nas popatrzeć. Wszyscy pociągali buda lub millera i pewnie poczuli się urażeni pretensjonalnością jej zamówienia. W knajpie stało tylko kilka stolików, wszystkie zajęte, więc stanęliśmy przy blacie przymocowanym do ściany na tyłach lokalu.

Osuszenie szklanek zajęło nam jakieś pięć minut.

– Jeszcze pięć takich i będzie dobrze – stwierdziła Rocky.

– Witaj w klubie.

Przysunęła mi swoje puste szkło.

– Możesz mnie dziś zasponsorować? Tylko dziś.

Skinąłem głową. Ale gdy szedłem do baru po następną kolejkę, zbudziły się we mnie stare instynkty. Pierwszą i najważniejszą zasadą w kiciu jest ta, że odsiadujesz swój wyrok, nie czyjś.

Wszyscy patrzyli, jak zamawiam, a barman przygotował drinka, nie siląc się tym razem na radosne grymasy. Kiedy wróciłem, przy dziewczynie stało dwóch opartych o kije bilaradowe chłopaków, którzy szczerzyli się jak idioci, widząc jej uśmiech i to, jak rusza nóżką.

Postawiłem szklanki.

– O, jesteś – zauważyła. – Dzięki. Poznaj Curtisa i Davida.

Obaj byli szczupli i kościści, nosili czapki z daszkiem nasadzone głęboko na płaskie czoła, mieli pociągłe twarze i lśniące, blisko osadzone oczka, które zawsze uznawałem za oznakę tutejszego chowu wsobnego. Skinąłem, widząc, że miny im zrzedły.

– Pracują w fabryce w Sulphur – wyjaśniła Rocky. – A Curtis jeździ na rodeo.

– No taa – odezwał się jeden z nich, wyciągając rękę na powitanie. – Co was tu przywiało?

Uścisnąłem mu dłoń.

– Miło was poznać.

I stanąłem tyłem. Po minie Rocky domyślałem się, że wciąż są za mną i patrzą na nią ponad moim ramieniem.

– A może chcielibyście zagrać w bilard? – zaproponował jeden z nich.

– Nie, dzięki. – Odwróciłem się. – Możecie spadać, chłopcy.

Zmierzyli mnie morderczym spojrzeniem i nadęli wątle klaty. Patrzyli po sobie i na mnie tym lodowatym, tępym wzrokiem czarnych rybich oczu. Przez całe życie trafiałem na takich koleś, wioskowych debili z wiecznym żalem do całego świata. Wyżywali się na zwierzę-

tach, lali swoje bachory pasem, rozpieprzali auta po pijaku, a jakoś w okolicach czterdziestki znajdowali Jezusa, zaczęli chodzić do kościoła i szukać pociechy u prostytutek.

– Nie musi nas pan obrażać, psze pana.

– Dajcie spokój – wtrąciła się Rocky. – Nie przejmujcie się. Mój wujek jest w porządku.

Chłopcy spojrzeli po sobie, a ja nie spuszczałem z nich wzroku, czułem, jak na moim czole pulsuje niewielka żyła. W końcu odpuścili, skinęli Rocky na pożegnanie i wrócili do stołu bilardowego, nie oglądając się za siebie.

– Jezu, facet – jęknęła Rocky. – Co się z tobą dzieje?

Upiłem odrobinę whisky.

– Nie przyjechaliśmy tutaj zawierać znajomości. Rozumiesz?

– Urywanie im głów to też nie najlepszy pomysł, jeśli mamy się nie wychylać.

Milczałem, bo wiedziałem, z jaką łatwością naszła mnie fala gniewu, wystarczająca, żebym okaleczył tych chłopaków.

Taki już byłem. Od zawsze.

Gniew czaił się tuż pod powierzchnią.

Tym razem, biorąc pod uwagę okoliczności oraz profesję dziewczyny, zareagowałem niewłaściwie. Chłopaki spoglądały na nas znad stołu, coś do siebie mówiły. Pociągnąłem łyk piwa i wbiłem wzrok w plakat z czirliderkami Saintsów. Wyraz twarzy Rocky się zmienił, patrzyła nieufnie, a jej oczy rozświetlał blask bijący od szafy grającej. Spojrzałem w nie uważnie.

– Co? – zreflektowała się.

– Masz zielone oczy. Zastanawiałem się.

– Ty to, stary, masz nieźle pokręcone we łbie.

– Po co ich przywołałaś? – zapytałem, zapalając papierosa.

– Chciałam wysepić fajkę. Ale poczęstuję się twoją.

Sięgnęła do kieszeni mojej kurtki, wyjęła paczkę cameli, wzięła papierosa i wsunęła pudełko z powrotem, a każdy jej gest sprawiał wrażenie wystudiowanej amatorszczyzny.

– Kłamiesz.

Rzuciła mi uwodzicielskie spojrzenie.

– Skąd wiesz?

– Kiedy ludzie kłamią, często odruchowo patrzą w lewo.

– Spadaj.

– Serio.

– Ja tak nie robię.

– Załóż się.

Zaśmiała się i odpaliła papierosa. Wciągnęła haust dymu, zamykając oczy, a potem powoli wypuściła go z ust.

– Mówiłeś, że będę potrzebowała pieniędzy, nie? – stwierdziła, niemal nadąsana. – Tak przynajmniej rozumiałam.

Ponad głosami popłynęła brzęcząca, żalonna melodia, światło migocącej na biało-różo-

wo szafy grającej zmieszało się z dymem.

– Raczej nisko się cenisz. Bez urazy. Jesteś naprawdę młoda. Mogłabyś mierzyć nieco wyżej w wyborach zawodowych.

Podeszła bliżej i położyła mi dłoń na nadgarstku. Stłumiona fala ciepła popłynęła wzdłuż ręki do ramion.

– Też mi się to nie podoba. Ale cała kasa została w mieście.

– Mogło ci się udać, ale przesadziłaś. Niepotrzebnie dotknęłaś mojej ręki. Przegięcie.

Nie cofnąłem jednak dłoni. Zrobiła krok w tył. Jej dolna warga zadrżała.

Dopiłem swojego walkera.

– To nic takiego. Po prostu nie pogrywaj sobie ze mną. Nie mam ci nic dobrego do zaoferowania.

Skrzyżowała ramiona i zazgrzytała zębami, zaczęła budować wokół siebie mały fort obojętności, ale przerwałem jej, zanim zdążyła otworzyć usta.

– Uspokój się. Po prostu przestań. Skończ udawać głupią lalunię i odpuść sobie tanie sztuczki. Dobra? I nie będę ci wstawiał kitu.

Odstawiłem butelkę, przyglądając się zmieszanej twarzy Rocky. Postukiwała stopą w podłogę.

– Posłuchaj. Proponuję ci coś, co niewielu ludzi ode mnie dostało. Mówię tylko: bądź ze mną szczerą. Nie baw się mną, a ja będę wobec ciebie w porządku. Ale nie pojedziesz ze mną, jeśli nie będę ci mógł ufać.

Zaciągnęła się papierosem i zerknęła na mnie z przekorą.

– Jednak się nad tym zastanawiałeś? Możemy jechać razem?

– Może. Przez jakiś czas. Ale musisz być ze mną szczerą.

– W sensie?

– Chcę wiedzieć, kim jesteś.

– W porządku. Ty pierwszy. – Wysunęła podbródek i wydmuchnęła dym, odsuwając papierosa od ust. – Kim jesteś?

Wzruszyłem ramionami.

– Ściągam haracze. – Dopiłem reszkę piwa jednym haustem i wyjąłem papierosa. – A dziś rano dowiedziałem się, że umieram na raka.

– Wydaje mi się... chwila. Co powiedziałaś?

– Dziś rano.

– Naprawdę?

Przytaknąłem.

– Tobie pierwszej o tym mówię – zachichotałem ponuro.

– Jezu. Facet... Tak mi przykro. Miałam taką ciotkę... Czekał. Poważnie? Naprawdę nie ściemniasz?

– Popatrz mi w oczy. – Popatrzyła. – Mam płuca pełne jakiegoś gówna i długo nie pociągnę. Dowiedziałem się dziś rano.

– Och. Stary. Miałam ciotkę. Rak w końcu ją zezarł. Zostały skóra i kości.

– Nie chcę o tym rozmawiać. I nie chcę, żebyś mi o tym przypominała. Nie znasz mnie

na tyle, żeby się naprawdę przejmować. – Odpaliłem papierosa.

– Ej, nie powinieneś...

Wydmuchnąłem w jej stronę kółeczko z dymu.

– Jaki sens teraz rzucać?

– Nieźle. Twoje zdrowie.

Jakiś pijak o poparzonym karku i lubieżnym spojrzeniu przecisnął się między nami w drodze do łazienki.

– Nie masz... Masz rodzinę albo dziewczynę? – zapytała Rocky. – To znaczy kogoś, kto powinien wiedzieć?

– Nie. Co mówiłem o przypominaniu mi o tym?

– Przepraszam. Cholera. – Zaśmiała się cichutko, a jej twarz pojaśniała. Wokół błyszczących oczu pojawiły się delikatne zmarszczki.

– Co?

– Naprawdę miałeś dziś paskudny dzień, no nie?

– Najpaskudniejszy – zgodziłem się.

Pomyślałem o domu Sienkiewicza, ciałach w przedpokoju i czasce Angela, ale przede wszystkim o tym, jak szybko się poruszałem, że moje ruchy i myśli były błyskawiczne. Jakby pewna śmierć wyeliminowała ograniczenia, sprawiła, że stałem się szybszy i bardziej precyzyjny, tak jak kowboje i rycerze w filmach, które uwielbiałem.

Nawet wtedy, siedząc z nią w barze, czułem, że się zmieniam, staję się kimś innym.

Rocky zagrzechotała topniejącym lodem w szklance.

– Jaki masz plan?

Zakręciłem butelką na blacie i spojrzałem na wilgotne szkło.

– Co powiesz na to, żebyśmy się nawalili?

– Wchodzę w to.

Podszedłem do baru i wróciłem z alkoholem, była sama, ale chłopaki przy stole bilaradowym wciąż nie odrywały od niej wzroku.

Stuknęliśmy się szkłem.

– A potem co? Co zrobimy?

Wzruszyłem ramionami.

– Jutro pojedziemy.

Ogarnęło mnie wrażenie, że nic nam nie grozi. Jakby coś nas chroniło i dbało o naszą dobrą passę. Miałem tak rozbudzone zmysły, że potrafiłem wyczuć poszczególne atomy papierosowego dymu wnikające w moją skórę niczym drobinki żwiru.

Rocky upiła drinka. Kąciki jej ust się uniosły, a na policzkach pojawiły się dołeczki. Uśmiech dziewczyny podkreślił tylko niebezpieczeństwo, na jakie się narażaliśmy, uciekając bez planu.

Ale nie potrzebowałem planu. Liczył się tylko ruch. Jak najdoskonalszy zabójca, byłem już martwy.

Kiedy wychodziliśmy z baru, ludzie odprowadzali nas wzrokiem, ponieważ nikomu nie podobała się myśl o tym, co będziemy robić dalej – gość taki jak ja i taka dziewczyna. Mruczając oczy, wbijałem wzrok w drogę przed sobą, a Rocky co chwila opadała głowa. Jechałem wzdłuż międzystanowej, znałem tam kilka hoteli, ale wszystkie za bardzo rzucały się w oczy, dlatego skręciłem na południowy wschód, do czarnych dzielnic miasta i wynająłem pokój w motelu, z którego rozciągał się widok na zapuszczone podwórko i zabity dechami pasaż handlowy. Lokal nazywał się Pod Gwiazdami. Zapłaciłem gotówką. Stara, łysa recepcjonistka bardziej interesowała się wciąganiem tabaki niż dokumentami. Skojarzyła mi się z Matildą, kucharką z domu dziecka, która karmiła nas kaszanką i jajkami w proszku.

W pokoju stało podwójne łóżko, w oknie grzechotała klimatyzacja. Rocky zamknęła się w łazience, a ja zsunąłem buty, włożyłem do jednego z nich pistolet, a potem wepchnąłem pod łóżko razem ze skrzyneczką zabraną z przyczepy. Zdjąłem marynarkę, pasek i opadłem na jedyne krzesło. Oparłem stopy płasko na podłodze, podniosłem głowę i zamknąłem oczy, czekając, aż świat przestanie wirować.

Na dźwięk skrzypienia drzwi uchyliłem nieco powieki. Rocky miała na sobie majtki i cienki podkoszulek, mokre włosy zaczesła do tyłu. Światło padające z łazienki sprawiało, że wyglądała jak dziewczyna z rozkładówki, i to jedna z tych lepszych. Resztę ciuchów wsadziła pod torebkę w kącie pokoju. Przyglądałem się jej spod przymkniętych powiek, udając, że śpię. Stała obok mnie i mogłem ją poczuć, jej piżmową, kwietną woń.

– Roy? – Położyła dłoń na moim ramieniu.

Otworzyłem oczy. Jej majtki były jasnoniebieskie, ze sznureczkami po bokach, a spod nich wystawały ostro zarysowane kości biodrowe. Miałem oczy na wysokości delikatnego wzgórka między jej nogami. Dotykała mojego ramienia naprawdę delikatnie.

– Chcesz iść do łóżka? – spytała.

– Tu mi dobrze.

– To żaden problem. Możesz.

Wyprostowałem się i mocno zamrugąłem. Patrzyła na mnie jak lisica, rozchylając wilgotne usta.

– Nie o to chodzi – powiedziałem. – O czym gadaliśmy w barze? O szczerości. Nie paraduj przede mną w majtkach ani nic podobnego. Nie rób tego.

– Czemu? – zapytała, przesuwając dłońią po płaskim brzuchu. – Po tym wszystkim, co się dzisiaj stało? Nie lubisz mnie?

– Chcę, żebyś przestała. I to już.

– W porządku – mruknęła i poszła w stronę łóżka.

Kiedy się na nie wdrapywała, unosiła wysoko wąski, okrągły jak brzoskwinka tyłeczek, obiekt westchnień tysięcy białasów, nie wyłączając mnie, a jedwabne trójkąciki bielizny w żaden sposób nie osłaniały pośladków, pozwalały dostrzec, że nic jej nie wisiało ani się nie trzęsło. Nie wiem, co było ze mną nie tak. Po pijaku często wracałem myślą do Carmen

albo Loraine, zastanawiając się, czy się rozwiodła, a Rocky przewyższała obie urodą i podobnie jak większość facetów wierzyłem, że seks z młodziutkimi kobietami daje nam swego rodzaju nieśmiertelność. Tym razem jednak nie czułem tematu. Wierciła się jeszcze przez chwilę pod prześcieradłami, a rozklekotana i postukująca klimatyzacja wypełniła moje płuca zimnym powietrzem.

Usłyszałem cichy głos Rocky. Nie odwróciła się od ściany.

– Możesz tu spać, jeśli chcesz. Powinieneś spać w łóżku. Nic nie zrobię.

Nakryła się kołdrą po czubek głowy. Wstałem z krzesła i powoli opadłem na łóżko, jęknęło i zapadło się. Leżałem na plecach, dłonie splotłem na brzuchu. Poczułem, jak dziewczyna przysuwa się nieco bliżej, skulona i odwrócona do mnie tyłem.

Zamknąłem oczy, wsłuchiwałem się w klekot klimatyzacji i jej oddech. Stopniowo zwalniał, nabierając sennego rytmu. Leżąc w ciemnościach, myślałem o facecie z mieszkania pełnego pustych butelek, tego, które dziś odwiedziłem i w którym znalazłem zdjęcie kobiety z dzieckiem. Nie musiał się już martwić, że do niego zapukam.

Zastanawiałem się, czy wykorzysta ten darowany czas.

Czy spróbuje uciec.

Rano Rocky chrapała cicho obok mnie, spod skopanej pościeli wystawały alarmująco doskonale nogi, znoszone majtki kleiły się jej do tyłka, jeden ze sznureczków zaczął się strzępić.

Obudziłem się, myśląc o Mary-Anne. Moja matka miała rudoblond włosy, śliczną twarz o mocnych kościach policzkowych, pełną wyrazu, a kiedy zapomniała zrobić makijaż, pod oczami pojawiały się ciemne obwódki, jedyna skaza na jej urodzie. Ale to właśnie one dodawały jej powagi, gdy wodziła wzrokiem w poszukiwaniu kolejnych błyskotek. Oczywiście zdarzało jej się czasem przyprawić Cady'emu rogi, ale później doszedłem do wniosku, że chyba się z tym pogodził.

Bywały takie dni, gdy zostawała w domu i oparłszy łokieć na blacie kuchennego stołu, słuchała płyt Hanka Williamsa. Wlewała w siebie kolejne szklanki ponczu z rumem, a jej oczy stopniowo nabierały nieprzytomnego, pijackiego blasku. Czasem chciała ze mną tańczyć. Od zawsze byłem wysoki, mogła więc oprzeć głowę na moim ramieniu, a wiatrak wiśzący pod sufitem owiewał mnie ciepłym zapachem jej potu i mydła, wilgotna skóra jej ramienia kleiła mi się do karku.

W takie wieczory opowiadała mi historie. Jej opowieści dotyczyły czasów przed moimi narodzinami, kiedy pracowała w Beaumont dla właściciela nocnego klubu, Harpera Robicheaux. Lubiła o nim opowiadać. Gość był szyczą w gangu i dobrze ją traktował, w tych historiach śpiewała w nocnym klubie, nosiła długą, wyszywaną cekinami suknię i paliła papierosy w długiej lufce. Nuciała czasem, gdy wracała do tych wspomnień, a głos miała potężny i wibrujący, niemal za niski i zbyt ochryply jak na kobietę. Śpiewała piosenki Patsy Cline i Jean Shepherd, a kiedy kończyła, na jej twarzy pojawiał się uśmiech tak smutny, że wywoływał we mnie przerażenie.

Nie pozbierała się po upadku Cady'ego z wieży i zaczęła się zadawać z ludźmi, których nie znałem.

Woda wyrzuciła jej ciało na brzeg Rabbit Island, na łąkę lasu pośrodku Prien Lake, przy jednym ze wsporników mostu przecinającego jezioro.

Wspomnienia o Mary-Anne wracały do mnie zwykle tuż po przebudzeniu. Przez okno motelowego pokoju sączyło się ponure, wilgotne światło. Nie czułem się jak wczoraj. Cała ta pewność siebie i przekonanie o dopisującym nam szczęściu zupełnie zniknęły.

Zimne ściany pokoju tchnęły niedotrzymanymi obietnicami. Stare nadzieje wyły we mnie jak potępione psy, dobrze znane frustracje, dawne żale, wściekałem się, że tego ranka, po tylu latach, mnie dopadły.

Wstałem, żeby zapalić, zostawiając skuloną Rocky na łóżku. Złamana sosna zwieszała się nad parkingiem i wskazywała początek łąki porośniętej chaszczami, która zmieniała się w płytki jar wypełniony potłuczonym szkłem i workami śmieci. Słońce wciąż jeszcze wisiało nisko nad horyzontem, zabarwiając niebo perłowym blaskiem, a spod białej farby oblażącej płatami ze ścian motelu wyzierała plama wilgoci ciągnąca się przez cały budynek.

Chodnik znaczyła siatka pęknięć, sięgała aż do dziurawego asfaltu na ulicy.

Pogoda była ohydna, powietrze oblepiało jak wilgotny jęzor, gorący, szorstki i obrzydliwy. Pomyślałem o Stanie i Carmen, ciekawe, czy wiedziała, co próbował mi zrobić.

Pstryknąłem niedopałkiem i wróciłem do pokoju.

Zza zamkniętych drzwi łazienki dobiegał szum prysznic, na pustym łóżku leżała skotłowana pościel. Przysiadłem na brzegu i zacisnąłem pięści, próbując opanować poranną drżączkę.

Rocky wynurzyła się z łazienki owinięta białym ręcznikiem, jej zaczesane do tyłu włosy lśniły, jakby znalazła się w blasku reflektora.

– Cześć – powiedziała. – Zaraz coś na siebie zarzucę, tylko znajdę jakieś ciuchy. Nie próbuję żadnych sztuczek.

Zirytował mnie jej potulny ton.

– Co to niby miało oznaczać? – zapytałem.

– Słucham?

– Sugerujesz, że coś jest ze mną nie tak, bo nie chciałem się z tobą pieprzyć?

– Nie. Nie...

– Zostajesz tutaj.

– Co?!

– Mam dość tego zgrywania się na lalunię.

– Facet, o co ci chodzi?

Wstałem z łóżka, a ona wróciła do łazienki, trzymając w ręku jakieś ubrania.

– Uspokój się – poprosiła. – Wyglądasz teraz tak jak wczoraj, gdy załatwiłeś tych gości.

– Będziesz musiała po kogoś zadzwonić. Zostawię ci jakieś drobne.

Patrzyła na mnie przestraszona, z zaczesanymi włosami wydawała się niewinna, bez skazy. Wbiłem wzrok we własne buty i kilka razy zacisnąłem i rozprostowałem palce.

– Posłuchaj – odezwała się. – Myślałam o tym. Dużo. O tym, co mi wczoraj powiedziałeś. Będziesz potrzebował pomocy, Roy. Wiem, co się dzieje z chorymi ludźmi.

– Zamknij się.

– Jasne. Słuchaj. Ale to, co mi opowiadałeś. A potem się tu zjawiliśmy, a ja się tak zachowałam wobec ciebie. Przepraszam, jest mi przykro. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. To pewnie przez wódę. I przez to, jak ze mną rozmawiałeś. Ale doceniam to, Roy, to znaczy sposób, w jaki ze mną gadałeś.

Spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Poblądłe nozdrza, czoło pokryte głębokimi zmarszczkami pozbawionymi koloru.

– Chcę powiedzieć, że naprawdę to doceniam. Wszystko. Wszystko, co zrobiłeś. Mogłeś mi zrobić cokolwiek, ale pomogłeś. Nie wiem, po co chciałam się do ciebie dobrać. Tak dobrze do mnie mówiłeś. O tym myślałam, Roy.

Kiedy mówiła, znów poczułem tę głupią dumę, to poczucie bohaterstwa, które wywołała we mnie poprzedniego wieczoru. Usiadła na łóżku i przycisnęła zawiniątko z ubraniami do piersi.

– Myślałam też o tobie – powiedziała. – O tym, co się z tobą dzieje. Nie chcę o tym

przypominać. Nie chcę. Ale posłuchaj. Wiem, że mnie nie potrzebujesz. Wiem to. Ale myślę sobie, biorąc wszystko pod uwagę, że możesz. Kiedyś. Że będziesz potrzebował przyjaciela, kogoś do pomocy, żeby cię wyręczał. – Odwróciła się do ściany, żeby owinąć się szczelniej ręcznikiem. – Chodzi mi o to, że jak coś, to sam sobie nie poradzisz. Mówiłeś, że mamy być ze sobą szczerzy, więc będę. Nie okłamię cię. Mogę sama za siebie płacić. Gdyby ktoś mnie szukał, to mi pomożesz. A jeśli ci się pogorszy albo... no wiesz, to ja ci pomogę.

Rozluźniłem dłonie i oparłem je na kolanach, napięte mięśnie twarzy zaczęły mi się rozluźniać. Motelowe lustro odbijało jakąś zupełnie nieprawdopodobną parę ludzi.

– W porządku, Rocky. – Opuściłem głowę i wziąłem głęboki oddech. – Zobaczymy, jak to będzie. Przynajmniej przez jakiś czas. Możesz się przyzwyczajać do mojego nowego imienia. John.

Lewe papiery, które miałem przy sobie, wystawiono na Johna Robicheaux.

– Możesz na mnie liczyć, John. – Poszła do łazienki, zatrzymała się w drzwiach. – A ja mogę liczyć na ciebie.

Po opuszczeniu motelu Pod Gwiazdami kupiłem egzemplarz „Times-Picayune” i pączki u Krogera. Siedliśmy z Rocky na parkingu. Popijając pączki kawą, zabrałem się do przeglądania gazety.

Przejrzałem ją od deski do deski i nie znalazłem żadnej wzmianki o zabójstwach przy Jefferson Heights, a kiedy się nad tym głębiej zastanowiłem, dotarło do mnie, że jedynym dźwiękiem w czasie tej strzelaniny był dwukrotny huk mojej spluwy, możliwe, że stare mury podziałały jak tłumik i ten odgłos wtopił się w ogólny gwar miasta. Lub też nikogo nie obszedł. W obu przypadkach Stan miał czas, żeby wszystko posprzątać.

– Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś ładował tyle cukru do kawy – powiedziała Rocky. – Wsypałeś chyba z pół kubka.

Odstawiłem napój na deskę rozdzielczą i sięgnąłem za fotel po papierową teczkę z dokumentami. Była cała w rdzawoczerwonych plamach krwi, otworzyłem ją na gazecie. Dokumenty przewozowe. Raporty o zagubionych kontenerach. Listy płac. Długie zeznanie podpisane przez Sienkiewicza. Nazwisko Ptitki pisane kursywą. *Ptitko* praktycznie wszędzie.

– Co to? – spytała Rocky, wpychając sobie do buzi drożdżówkę.

Zamknąłem teczkę i wcisnąłem ją za fotel.

– Jeszcze nie wiem.

Podjechaliśmy do Hibernii, gdzie wyczyściłem swoje konto. Do trzech kawałków, które ze sobą wozilem, dołożyłem sześć setek. Dziewczyna była zachwycona, że może potrzymać banknoty w ręku. Jej włosy po wyschnięciu stały się puszyste i nastroszone, wyglądała prawie jak jakiś punk.

Uroda nie wymagała od niej wysiłku, a to, że ładna buzia nadal działała kojąco, w pewnym stopniu mnie pocieszało.

Ruszyliśmy międzystanową na zachód. Wygrzebała taśmę Patsy Cline i zaczęła cichutko wtórować wokalistce. Ze względu na wspomnienia omal nie poprosiłem, żeby przestała, ale się powstrzymałem. Okolice, przez które przejeżdżaliśmy, wyglądały jak popękane gliniane tabliczki, trawiaste wysepki pośród ciemnej, mętnej wody. Moczary sięgały aż do Zatoki rozciągającej się na południu. Promienie słońca odbijały się od zmarszczek na wodzie, a błotniste płycizny lśniły białym blaskiem.

Minęliśmy Sulphur i jego rafinerie, królestwo rur i betonu tonące w smrodzie. Rocky zamilkła i wyłączyła radio.

– Roy? A może byśmy pojechali do Orange? Tak jak wczoraj mówiłeś.

– Co? Dlaczego? – Głos mi się prawie załamał. – Chcesz, żebym cię tam zostawił?

Pokręciła głową.

– Nie. Podtrzymuję to, co ci rano mówiłam. Każde słowo. Chodzi o płacenie za siebie. Mogę zdobyć pieniądze.

– W Orange, w Teksasie?

– Tak.

– Jak?

Zmrużyła oczy i spojrzała na połamane cyprysy, które wystawały z błota na podobieństwo zbrązowiałych kości.

– Nie martw się. Ktoś jest mi krewny trochę forsy. Jedźmy dalej i wstąpmy do Orange na sekundę.

– Teraz to ty się upierasz, żeby tam jechać.

– Jesteśmy na międzystanowej. Co za różnica.

– Z kim chcesz się spotkać?

– Jeden koleś wisi mi pieniądze. Rano sobie o nim przypomniałam.

– I będzie chciał je oddać?

– Oczywiście. Nie mam wątpliwości.

Jej głos się obniżył, spojrzenie zdradzało głęboką koncentrację. Zastanawiałem się nad tym przez chwilę.

– Planujesz, żebym to ja z nim pogadał, tak? Mam wyciągnąć od niego pieniądze? Teraz jestem twoim mięśniakiem?

– Nie.

– Nie?

– Nie. Masz mnie tam tylko zawieźć.

– No dobra – zgodziłem się po krótkim namyśle.

– A zrobiłbyś to, gdybym cię poprosiła? Gdybym cię poprosiła, żebyś je odzyskał, myślisz, że byś to zrobił?

Zacisnęłam dłonie na kierownicy, bluzgając na siebie w myślach.

– Mógłbym.

– To dobrze. Nie musisz tego robić. Ale dziękuję.

Powykręcane bezlistne drzewa przy drodze przypominały układ nerwowy, a czaple białe siedzące na rozłożystym cyprysie wodziły dziobami za naszym samochodem.

Rocky ścisnęła kurczowo torebkę.

– Sama z nim porozmawiam.

– Nic ci nie grozi?

– Oczywiście, że nic mi nie grozi.

– Jesteś pewna, że chcesz spróbować? Mamy kasę. To znaczy nie przejmuj się tym, co mówiłem wczoraj. Teraz nie potrzebujesz żadnych pieniędzy. Możemy o tym pomyśleć, kiedy dotrzemy na miejsce.

– Nie, w porządku. Muszę to zrobić. Obiecałam.

W jej spojrzeniu wbitym w szybę pojawiła się jakaś chłodna powściągliwość, której wcześniej nie dostrzegłem.

– Powiesz mi, o czym, do cholery, mówisz?

Odwróciła głowę i popatrzyła w moją stronę.

– Powiem ci, jeśli zapytasz, obiecałam, że powiem. Ale wolałabym, żebyś nie pytał.

Napis na zielonej tabliczce poinformował, że do Orange zostało piętnaście kilometrów.

– W porządku. – Skinąłem głową. – Chyba.

Rocky opłótła torebkę palcami i westchnęła. Przewijające się za oknami samochodu ciemne wody, rachityczne drzewka i łąki zarośnięte kudzu wywierały na nią taki sam wpływ jak na mnie; omiatała widok coraz bardziej zrezygnowanym spojrzeniem. Krajobraz wciągał nas w przeszłość, budzili się w nas ludzie, którymi byliśmy kiedyś.

Minęliśmy niewielką główną ulicę z kilkoma nędznymi knajpkami, stacją benzynową i filią biura pożyczkowego. Wysokie dzikie trawy.

– Lodówka Pychoty – odezwała się Rocky. – Tam się wszyscy spotykaliśmy.

Ale nie mówiła do mnie.

Preria rozciągała się aż po horyzont, na jego skraju widać było rozłożyste drzewa, dochodziła nas woń wilgotnych pni i amoniaku. Powietrze w tych rejonach jest tak czyste, jakby magazynowało światło i nawet patrząc pod nogi, trzeba mrużyć oczy.

Kazała mi minąć kilka zakrętów i dotarliśmy do zaniedbanych okolic z dala od głównej drogi, podniszczone domy kryły się w cieniu nisko zwisających gałęzi dębów i wierzb. W takim klimacie każda istota lgnie do cienia, a jedna z podstawowych cech głębokiego Południa to ta, że wszystko tutaj jest częściowo ukryte.

Poprowadziła mnie na południowy zachód, pomiędzy dolinki porośnięte bluszczem i pordzewiałe przyczepy kempingowe. Kolejna stacja benzynowa, gdzie po dystrybutorach zostały tylko kawały betonu, budynek bez szyb, całość niemal całkowicie pochłonięta przez chaszczę i kudzu. Minęliśmy boisko szkolne, a kiedy wydostawaliśmy się z miasteczka, pożegnał nas czarny billboard, na którym białe litery zawiadamiały, że PIEKŁO ISTNIEJE.

Kiedy wyjechaliśmy z tej dżungli, zostawiwszy za sobą ostatnie pola kempingowe, kazała mi się zatrzymać niedaleko drewnianej chaty stojącej na skraju pola pszenicy spalonego słońcem na bladożółto, wśród plątaniny krzaków, drzew i traw. Domek miał rozmiary ubogiej myśliwskiej chatki. O jedną ze ścian opierał się zardzewiały bojler, w wysokiej trawie sterczał pokryty pleśnią nadmuchiwany worek treningowy w kształcie klauna. Chatę porastał zeschnięty bluszcz, jedno z okien zaklejono gazetami. Stojący na cegłach wrak chevroleta stopniowo pochłaniała ziemia, a niewielka szopa obok chaty chyliła się w stronę lasu. W drzwiach obowiązkowa podarta moskitiera. Całe to miejsce wyglądało jak melina dla harleyowców gotujących metę.

Siedzieliśmy w aucie na jałowym biegu. Słońce wybieliło pola, otaczała nas rozpalona pustka. Rocky wciąż ścisnęła torebkę i nie odrywała wzroku od chaty, jakby potrafiła ją wywrócić siłą woli.

– Jesteś pewna? – spytałem. – Mogę iść z tobą. Będę tylko stał obok. To zazwyczaj wystarczy, możesz mi wierzyć.

– Nie. Dzięki. Nic mi tutaj nie grozi. – Ale mówiła jakby do kogoś na zewnątrz. – Lepiej, jeśli pójde sama.

– Jak chcesz – powiedziałem.

Ona jednak jeszcze przez dobrą minutę nie ruszała się z miejsca. Żdźbła trawy tak wyschły, że pękały od podmuchów wiatru.

– Krzycz, jeśli coś się będzie działo – dodałem. – Przybiegnę.

Otworzyła drzwi i wysiadła.

– Daj mi z dziesięć minut.

– Jesteś pewna, że gość jest w domu?

– Jasne, że jest w domu. On nigdy nie wychodzi. To do niego przychodzą.

Zatrzasnęła drzwi i ostrożnie, z torebką pod pachą, ruszyła ścieżką przez zarośnięte podwórze, omijając puszki połyskujące wśród traw. W polu lśniącym żarem wydawała się drobniutka i samotna, i zmniejszała się z każdym krokiem zbliżającym ją do chaty. Zamiast podejść do frontowych drzwi, okrążyła drewniany budynek wzdłuż krawędzi lasu i zniknęła mi z oczu. Wokół bzyczały owady i szumiały liście.

Zajrzałem do teczki, którą wyjąłem zza fotela. Sienkiewicz pewnie myślał, że te papiery są jego polisą ubezpieczeniową albo czymś takim. Rozważyłem wymuszenie. To nie miało większego znaczenia, nie mógłbym szantażować ani przekupić tego, co mnie czeka.

W chacie panował spokój, żadnych dźwięków ani oznak życia. Ona też, tak jak otaczająca ją preria, spłowiła od słońca.

Ostry, niedający się z niczym pomylić huk. Wystrzał.

Rozejrzałem się, zapuszczona droga wiodąca na wzgórze za mną była pusta. Być może ktoś urządził sobie w okolicy polowanie na wiewiórki albo gołębie. Wokół chaty panował spokój.

Wyskoczyłem z auta z coltem w rękę, przeskoczyłem rów i pobiegłem przez podwórko, ale but ugrzązł mi w błocie i upadłem na kolana. Podniosłem broń i pogałem przed siebie, ciężko dysząc z gorąca. Pokonałem połowę drogi, gdy w drzwiach frontowych stanęła Rocky. Zgięty w pół, z trudem łapałem oddech. Kiedy się wyprostowałem, podeszła bliżej. Poczulem ukłucie przerażenia.

Rocky prowadziła do samochodu dziewczynkę, malutką blondynkę.

Odwróciłem się na pięcie i popędziłem do forda.

– Roy! Zaczekaj! – zawołała.

– Sama sobie czekaj! – wrzasnąłem, ślizgając się po trawie.

Zatrzasnąłem za sobą drzwi, ale silnik nie odpalił od razu, więc z narastającą paniką obserwowałem biegnącą przez pole Rocky, która trzymała dwa niewielkie plecaki i wlokła za sobą dziewczynkę. Wciąż krzyczała. Dotarli do rowu, kiedy silnik zaskoczył, a spod kół prysnął żwir.

Dodałem gazu, w lusterku wstecznym widziałem dwie sylwetki na drodze. Rocky machała, a po chwili pochłonęła je chmura brązowego kurzu.

Szutrowka musiała prowadzić w głąb lasu, w dzicz, prawdopodobnie nad wodę. Próbowaliśmy sobie przypomnieć, jak daleko stąd były ostatnie przyczółki cywilizacji, ile mają przed sobą marszu.

Wcisnąłem hamulec.

Powiedziałem sobie, że je porzucę. Zostawię. Ale najpierw je podwożę i dam im trochę kasy.

Gdy zawróciłem, stały na poboczu z plecakami u stóp. Rocky opierała na biodrach ręce pokryte beżowym kurzem. Wściekle zaciskała zęby, ale wyglądała tak, jakby wiedziała, że

wrócę.

Najpierw wpakowała do samochodu dziewczynkę, która śmiało wbijała we mnie swoje zielonobrazowe oczy, potrafiła wytrzymać mój wzrok o wiele dłużej niż jakikolwiek dorosły. Dziewczynka usiadła w fotelu i gapiła się na mnie.

– Hm? – odezwałem się.

– Kto ty?

– John.

Dziecko zmarszczyło brew.

– Wcale że nie.

– Zachowuj się, Tiff! – Rocky zamknęła drzwi i odgarnęła z czoła przybrudzone włosy.
– To jest Tiffany.

Położyła plecaki na podłodze, przyciągnęła dziewczynkę do siebie i objęła ramieniem, w drugiej ręce trzymała torebkę. Włączyła klimatyzację, a dziecko nadal mnie obserwowało. Śmierdziało mokrym psem.

– Wszystko będzie dobrze. Pojedziemy sobie na wycieczkę. – Połaskotała dziewczynkę, a ta zanosła się śmiechem, choć ciągle nie odrywała ode mnie wzroku. Ruszyłem w kierunku międzystanowej, a Rocky co chwila odrywała wzrok od drogi, by spojrzeć na Tiffany.

– Pokaż mi swoją torebkę – powiedziałem.

– Po co?

– Daj mi ją. Albo sam wezmę.

Prychnęła, odgarniając kosmyki włosów z czoła, i rzuciła mi torebkę na kolana. Okazała się ciężka.

Zajrzałem. Pistolet leżał na samym wierzchu. Spluwa jednego z zamaskowanych gości z domu Sienkiewicza. Pod spodem, wśród pomiętych chusteczek i kosmetyków, walał się odkręcony tłumik. Wreszcie się dowiedziałem, czego szukała, grzebiąc w kieszeniach trupów. Od spluwy wciąż biło ciepło.

Uznałem to za ostateczną zdradę.

– Co to, kurwa, ma być, Rocky?

– Facet, uważaj na język!

– Mój ję...? – Zjechałem na pobocze. – Niebezpiecznie sobie ze mną pogrywasz, dziewczyno.

Tiffany nie odrywała od nas oczu. Jej pokryte zaschniętym błotem puciołowate policzki zdrzały, więc ściszyłem głos. Włosy wychudzonej dziewczynki były jasne, niemal białe. Rocky pogładziła ją po główce i spojrzała przez okno. Minął nas radiowóz szeryfa.

– To moja siostra. Jedzie ze mną. Jeśli nie chcesz, żeby się z nami kręciła, możesz nas gdzieś wysadzić, ale jedzie ze mną.

Koszulka nocna dziewczynki miała kolor burzowych chmur, a jej buzię pokrywał delikatny lśniący puszek, w porównaniu z którym skóra na mojej twarzy przypominała wysuszoną glinę.

– Jej tata nie ma nic przeciwko? – zapytałem. – Po co wzięłaś pistolet? Do kogo strzela-

łaś?

Prychnęła.

– Nic mu nie jest. Tylko go nastraszyłam. Żeby wiedział, na co mnie stać.

Wrzuciłem bieg i ruszyliśmy na międzystanową. Mijało nas coraz więcej samochodów.

Rocky zamilkła.

– Strzeliłaś do swojego ojczyma – powiedziałem.

– Strzeliłam do ściany. Jego szczęście.

– Chryste Panie! Nie wydaje ci się, że może zadzwonić po gliny?

– Nie zadzwoni. Nie chce, żeby gliniarze kręcili się w pobliżu.

– Jezu. To jakiś idiotyzm.

– Już wolę, żebyś kłął niż jesusował i chrystusował. Co ty masz z tym Jezusem?

Na wiadukcie minęliśmy kolejny radiowóz, przycupnięty jak leniwa sowa.

– Nie przyszło ci do głowy, żeby mi wspomnieć? Że masz taki zamiar? Co to było za słowo? Szczerłość?

– Powiedziałabym ci, gdybyś zapytał.

– Powiedziałaś, że bym nie pytał.

– I naprawdę doceniam, że tego nie zrobiłaś.

– To jest porwanie. Będą nas szukać. – Ściszyłem głos do absurdalnego szeptu.

Tiffany patrzyła to na nią, to na mnie, ale najwyraźniej przestała się już bać i oswoiła się z siedzeniem w samochodzie.

– To nie jest porwanie – sprzeciwiła się Rocky. – Nikomu tego nie zgłosi. Jemu to pasuje. I tak będzie dostawał na nią zapomogę.

Pokręciłem głową i co jakiś czas zerkałem w lusterko wsteczne, sprawdzałem, czy nie ściga nas radiowóz. Furgonetki, osobowe, dostawcze i mnóstwo osiemnastokołowych ciężarówek. Lśnił chrom, błyszcząły przyciemniane okna

– Co twoim zdaniem mamy z tym zrobić? – zapytałem. – Nie wiem, w co pogrywasz, Rocky. Ale to bez sensu.

– Będziemy musiały się gdzieś urządzić na chwilę. Znajdę sobie jakąś robotę czy coś. Zaopiekuję się nią. Niedługo zacznie szkołę.

– Szkołę? Czyś ty... Chryste.

Rocky spojrzała na mnie, gładząc jasne włosy dziewczynki.

– Pamiętasz, co mówiłam zeszłej nocy? O Vondzie. – Wskazała brodą siostrę. – Ona zaślubiła na lepszy los.

Ta mała też mnie martwiła. Patrzyła na mnie z taką podejrzliwością, że uznałem ją za całkiem bystre dziecko. Potem ziewnęła i wtuliła buzię w Rocky.

– Ale wiesz, że my... Wiesz, co się może zdarzyć, wiesz, że ci goście nas szukają. Teraz ją w to wplątujesz. Pomyślałaś o tym?

Patrzyła mi prosto w oczy.

– Musisz wierzyć mi na słowo, kiedy mówię, że tak jej będzie lepiej niż tam, skąd ją zabrałam. A zresztą jak nas znajdą? Obetniesz włosy. Ja się ufarbuję czy coś. A teraz jest nas tr o j e. Nikt nie szuka trzech osób.

Na widok radiowozu zjeżdżającego na środkowy pas jaja schowały mi się w głąb brzucha. Pozwoliłem się wyprzedzić.

– Podwiozę was – obiecałem. – Ale potem koniec. Nie o tym gadaliśmy.

– Przecież nic się nie zmieniło. Poza tym, że będę się opiekować Tiffany.

– Biorąc pod uwagę, jak opiekowałaś się sobą, brzmi to naprawdę łatwo. Raczej nie masz pojęcia, o czym mówisz. Masz nadzieję, że wszystko się uda. Ale jeśli się potkniesz, zaryjesz twarzą o ziemię.

Tiffany wyciągnęła rączkę i pogładziła mnie po brodzie.

– Jak Mikołaj? – zapytała, patrząc na siostrę.

– Tak, malutka. Masz rację. Jak u Mikołaja.

Dziewczynka spojrzała na mnie.

– Ty nie jesteś Mikołaj.

Poczułem kolejny przyływ złości.

– Masz chociaż jakieś pieniądze?

– Trochę. – Rocky zmarszczyła brwi. – Gary miał jakieś osiemdziesiąt dolców przy sobie. Nie zostało mu już nawet nic do sprzedania.

– Kto zaopiekuje się siostrą, kiedy znajdziesz robotę?

Rocky pośliniła palec i starła nim plamę brudu z policzka Tiffany.

– Może uda mi się zaczepić gdzieś, dokąd będę mogła ją zabierać. Za jakiś czas pójdzie do szkoły. Cholera, facet, najwięksi debile jakoś wychowują te dzieci.

Zacisnąłem dłonie na kierownicy.

– Niezbyt dobrze.

– Wiesz co – powiedziała – im więcej o tym myślę, tym bardziej nie rozumiem twoich narzekań.

Chciałem na nią nawrzeszczyć, ale dotarło do mnie, że moje argumenty mogą dotyczyć przyszłości. A przecież żadnej przyszłości nie miałem

– Pamiętasz, co mówiłeś? – ciągnęła. – No to potraktuj to jak szansę, facet. Teraz nas nie potrzebujesz. Wiem. Ale nadejdzie taki czas, że możemy ci się przydać.

Tiffany sapnęła przez nos i wtuliła się w siostrę, żeby się zdrzemnąć.

– Zostawię was.

– W porządku.

Przez długą chwilę towarzyszył nam jedynie szum wiatru za oknami samochodu. Na horyzoncie wisały gęste chmury, a ja nie potrafiłem się pozbyć wrażenia, że jesteśmy robakami pełzającymi po krawędzi świata. Na swój sposób nimi byliśmy.

Jechałem na zachód, słońce świeciło nam w plecy, Tiffany przysypiała. Wróciła stara więzienna zasada: odsiadujesz swój wyrok, nie czyjś. Tylko co, gdy już go odsiedzisz? Spojrzałem na dziecko śpiące z głową opartą na zaciśniętej piąstce.

– Dlaczego zdjęłaś tłumik? – spytałem.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i zwróciła twarz do okna.

– Pomyślałam, że bez niego robi groźniejsze wrażenie.

– Znasz Galveston?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

Pewnych doświadczeń nie sposób przetrwać i nawet jeśli ocalisz życie, pozostaje ono niepełne. To, co działo się w maju 1987 roku, dzieje się również dziś, tyle tylko, że od tamtej chwili minęło dwadzieścia lat, a wydarzenia zmieniły się w opowieść. W 2008 roku wyprowadzam psa na plażę. Przynajmniej próbuję. Chodzenie sprawia mi trudność.

Dzisiaj rano otrzymałem informację od Cecila. Pisał, że ktoś mnie szuka. Cecil to właściciel hotelu, w którym pracuję jako złota rączka i wynajmuję jedynekę.

Brązowa mgła kłębiąca się o poranku tu i na południu nie ma końca, a jej kolor przypomina mi burze piaskowe szalejące w głębi zatoki, jakby tuż za horyzontem rozciągała się pustynia, w której materializują się kutry, platformy wiertnicze i supertankowce, coś jak ukryta równoległa rzeczywistość obciążona własną historią.

Lekcja historii, tak myślę, polega na tym, że dopóki żyjesz, twoje życie jest nieautentyczne.

A ja wciąż żyję.

Sage krąży wokół mnie, poszczekując, ale nie potrafię dotrzymać jej tempa, rzucam jej pluszową żyrafę i patrzę, jak po nią pędzi. Przeskakuje przez zagłębienia wypełnione wodą. Jestem sam na piasku. Mgła różowi się w promieniach wschodzącego słońca, świat budzi się do życia, poganiany cichym śpiewem ptaków i basowym pohukiwaniem okrętowych syren. Wrzesień, środek sezonu burzowego, na niebie unoszą się ołowiane chmury, przypominają watę cukrową.

2008.

Co za niezwykły rok.

Moja lewa stopa wygina się tak, jakby chciała ode mnie uciec. Zostawiam nierówne ślady. Piasek w Galveston jest szary i szorstki, przetykany żółtymi i pomarańczowymi drobkami. O tej porze mamy plażę tylko dla siebie, Sage może ganiać, gdzie jej się żywnie podoba, z oślinioną żyrafą w pysku. Przesuwam językiem po porcelanowym mostku na zębach i zaczynam sobie przypominać.

Mała żółta karteczka, którą Cecil przykleił do drzwi. Jej treść huczy mi w głowie jak fala przyływu: „Roy, pytał o ciebie jakiś twardziel w garniturku. Nie chciał się przedstawić”.

Pewnie mógłbym wrócić do siebie, spakować graty i wyjechać gdzieś dalej na zachód. To mało prawdopodobne, żeby zaczęli mnie teraz szukać, ale niby kto inny to mógł być?

Może jakiś makaroniarz zajrzał po dwudziestu latach do ksiąg rachunkowych i uznał, że czas załatwić stare sprawy. Może.

Grzebię w pamięci i muszę stwierdzić, że nikt, kto mnie szuka, raczej nie ma przyjaznych zamiarów. Żołądek skręca mi się w poczuciu nadciągającego końca.

Wiadomość sprawiła również, że myślę o Rocky częściej niż zwykle.

Myślę o tym, jak opowiadała o swoim życiu, oświetlona zielono-fioletowymi światełkami wiszącymi nad parkietem knajpki w Angleton, które migotały w jej błyszczących

oczach. Z każdym przywoływanym słowem twarz Rocky staje się coraz bardziej wyraźna.

Opowiadała, że kiedy miała cztery czy pięć lat, spała na tylnym siedzeniu samochodu, którym jakiś facet zawiózł jej matkę na leśny parking. Wokół stały samochody i przyczepy, matka, z rozmazanym makijażem, dopiero o poranku wynurzyła się z jednej z nich, a mężczyzna odwiózł je bez słowa do domu.

Sage podbiega do moich stóp i otrzepuje się z wody.

Idę w stronę niewielkiej piaszczystej łąchy ciągnącej się wzdłuż zrujnowanego falochronu, gdzie rozstawiam pułapki na kraby. Mam zeszywniałe nogi, wilgotne powietrze sprawia, że co chwila muszę zaciskać i prostować palce. Kiedy za coś płacę, ludzie widzą moje dłonie. Palce są powykrzywiane, knykcie jak bąble.

Mógłbym uciec, spróbować się wydostać.

Ale wolę ukojenie, które przynoszą mi poranny spacer z Sage i wybieranie krabów z pułapek.

To te same plaże, na których ludzie z załogi Cabezy de Vaki stali się kanibalami, to tutaj piraci tacy jak Aury, Mina i Lafitte wymykali się prawu. Ten ostatni wybudował tu nawet fortecę zwaną Campeche i handlował niewolnikami, prowadził burdele oraz knajpy, współpracował z tutejszym gubernatorem, aż w końcu musiał uciekać, gdy ostrzelał amerykański statek. Nim jednak do tego doszło, zafundował całej wyspie czterodniową orgię chlania i dziwek. Idąc rankiem po zamglonej plaży, wdychając woń soli i rozkładu, można odnieść wrażenie, że to miejsce wciąż leczy historycznego kaca.

Myślę o Rocky, która trzymała mnie za rękę, opowiadając o nocy spędzonej w samochodzie i o tym, że to zupełnie jak historia tej wyspy. Opowieści tworzą miejsca. Przeczytałem u jakiegoś pisarza, że opowieści mogą nas ocalić. Gówno prawda. Nie mogą.

Ale c o ś ocalają.

A przez ostatnie dwadzieścia lat pozwalały mi zabijać czas. Szmata czasu. Z czego ponad połowę w więzieniu.

Tonące w brunatnej mgłę cyprysowe deski falochronu są połamane i zapadnięte. Mewy na wystających z morza palach przypominają miniaturowych prezydentów, dumnie wypinają piersi. Spod moich stóp uciekają nieduże kraby. Spokojne, rytmiczne fale przyboju. W głębi zatoki zrywa się wiatr i wprawia chmury w powolny ruch obrotowy. Od pogody boli mnie głowa, jakby ktoś dokręcał mi śruby w czaszce.

Stoję pod pomostem, którego filary przywodzą na myśl zatopioną katedrę. Krzywię się, łapiąc za linkę i wyciągając drucianą klatkę, morska piana obmywa czubki moich tenisówek. Odsuwam skobel, ściągam z ramienia płócienny worek i wrzucam do niego cztery kraby, a potem znów zatapiam pułapkę w falach. Skorupiaki miotają się w swoim więzieniu, rozciągają twarde płótno, a ja uświadamiam sobie, że dziś myślę także o Carmen. Zamiast słonego zapachu niemal czuję unoszącą się w powietrzu woń jej perfum i mentoli.

Wracając, zatrzymuję się razem z Sage obok połamanego pomostu, ponieważ tuż nad krawędzią mgieł dostrzegam grupę młodych delfinów wyskakujących ponad powierzchnię wody. Sage upuszcza zabawkę u moich stóp i ponownie się otrząsa. Ma ciekawskie i towarzyskie usposobienie, jest rudo-białym owczarkiem australijskim, szczupłym, o jasnozielo-

nych oczach i mokrym języku. Stoimy tak dobrą minutę, mam nadzieję, że delfiny jeszcze wrócą, ale nie. Na wydmach kołyszą się cierniste krzewy i osty, a przed moim sprawnym okiem przesuwa się barka sunąca wśród mgieł w stronę śluzy.

Zastanawiam się, dlaczego Cecil opisał tego gościa jako twardziela. I o co facet tak właściwie pytał.

Mógłbym uciec.

Albo zostać i czekać. Wypić piwo, którego nawarzyłem, jak to mówią.

Uderza mnie, że to nie taka najgorsza śmierć. Tylko zdecydowanie spóźniona. Nagle mój puls przyspiesza, a gonitwa myśli sprawia, że powoli całkowicie przytomnieję, czuję się, jakbym się budził.

Rzucam Sage zabawkę i spoglądam na swoje koślawe ślady na piasku. Widząc mnie zgarbionego, nigdy byś nie pomyślał, że miałem kiedyś metr dziewięćdziesiąt. Opaska na lewym oku nadaje mi wygląd jednego z piratów, którzy rządzą niegdyś na tym wybrzeżu.

Mój cień jest wystarczająco powykręcany, by wziąć go za jakiegoś rachitycznego skorupiaka, który wynurzył się spośród fal. Wypełzył z otchłani historii.

Po opróżnieniu pułapek prowadzę Sage przez kilka parkingów w stronę piekarni. Atmosfera w Najlepszych Pączkach jest równie napięta jak moje nerwy. Roger machinalnie głaszcze Sage, i to tylko wtedy, gdy pies trąca pyskiem jego nogę. Wodzi wzrokiem od szachownicy do Deacona, który z otwartymi ustami mruży oczy, długie ręce, tak czarne, jakby wypolerował je pastą do butów, ma opuszczone wzdłuż boków. Kilka dni nie wpadał, a teraz jest i od progu zalatuje dżinem i szczyną.

Sklepik znajduje się na zachodnim krańcu krótkiego pasażu handlowego, odcięty od plaż przez bulwary Seawall i nowocześniejszy, większy pasaż położony na południu. Sąsiednia pizzeria zamknęła się przed miesiącami, w pasażu trzymają się drogeria prowadzona przez jednego z miejscowych i niewielka trafika, a na większość miejsc parkingowych wiatr nawiał łachy piasku i nieaktualne ulotki. Niewielki baner przed sklepem, pamiątka po obchodzonej niedawno rocznicy zamachu z 11 września, informuje, że NIGDY NIE ZAPOMNI-MY.

Myślę, że to nasze główne zajęcie w tym miejscu. Siedzimy i nigdy nie zapominamy.

– Będziesz musiał zacząć wszystko od nowa – wyjaśnia Roger Deaconowi. – Od zera. Oddałeś żeton. Myślisz, że było warto?

Patrzę na stojącego za ladą Errola, który dmucha na swoją kawę w kubku i przygląda się wszystkiemu z uniesionymi brwiami, jakby napięcie trwało od rana. Jeden z trzech dzbanków z kawą jest pusty, w popielniczkach leży sporo petów, zastanawiam się więc, jak długo to trwa. Partia szachowa tkwi w miejscu, a po stronie Rogera stoi schludny rząd figur Deacona.

– Zaczynij od przyznania się do własnej bezsilności. – Roger odpala kolejnego papierosa. Popija dym czarną kawą i opiera grube przedramiona na blacie. Jego twarz ozdabia niewielki wąsik przycięty według żołnierskich wytycznych, a łatwość, z jaką maluje się na niej rozczarowanie, jest nieco deprymująca. Nie zazdroszczę Deaconowi, który gapi się gdzieś nieprzytomnym, szklistym wzrokiem, podchodzę więc do Errola i kładę na ladzie wór z krabami.

– Zaczyniesz od nowa. – Roger nie przestaje pouczać Deacona. – Raz za razem. Do skutku.

Deacon kiwa głową, a po jego policzku płynie łza. Dwoma rękami powoli unosi kubek z kawą do ust, jak kielich mszalnego wina, a jego zażenowanie i zawstydzenie przypominają mi o Rocky.

Zgięty kark Deacona odbija się w oknie wystawowym i rzuca pokutny cień na ułożone w rzędzie pączki i ciasta oświetlone fluorescencyjnym światłem. Nadal myślę o wiadomości od Cecila i o tym facecie, który o mnie pytał, zastanawiam się, czy przysłali jeszcze kogoś. Ja bym tak zrobił.

Errol kręci głową i zwija gazetę, w której sprawdzał wyniki gonitw.

– Nie wrócę na prostą – mówi. – Zresztą nie da się tam już spotkać żadnej porządnej

kobiety.

Siadam w kącie między ladą a szachistami, Sage kręci ósemki wokół moich nóg, potem się kładzie. Deacon kiwa mi głową na powitanie i próbuje się uśmiechnąć. Dostrzegam zaczerwienioną gałkę oczną i świeży fioletowy siniak na czole. Urodził się tutaj i spieprzył stypendium koszykarskie w Texas Tech, potem znalazł robotę w Wal-Marcie i podejrzewam, że dzisiejszego ranka należała już ona do przeszłości. Opaska na moim oku sprawia, że czasem mówi do mnie „kapitan Morgan”.

– Jak tam, Deacon? – rzucam w jego stronę.

– Dobrze, dobrze. – Dmucha na kawę w kubku. Bijąca od niego woń dżinu zagłusza zapach kawy, ciast, nawet dymu z papierosów.

Każdy z nas jest w programie, ale ja i tak nie mam wyboru – spotkania czy nie, i tak nie mogę pić. Wciąż jednak przychodzę po opowieści. Dają mi pretekst do wyjścia z domu.

Roger patrzy na zegarek.

– Może zaczniemy?

Czyta listę dwunastu kroków, pyta, czy ktoś chciałby się podzielić swoją historią.

Wbijamy wzrok w Deacona. Otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale natychmiast zatyka je pięścią i potrząsa głową. Po jego policzku płynie kolejna łza.

– Nie wiem – jęczy. – To chyba nie jest dobry moment..

Chcę mu pomóc, więc wzdycham i mówię, że ja zacznę. Wszystkich to zaskakuje. Roger i Errol mi się przyglądają.

– Nazywam się Roy, jestem alkoholikiem. Nie piję od ponad dziewiętnastu lat.

Witają się ze mną, jakbyśmy spotykali się po raz pierwszy. Patrzę na Deacona.

– Dziś rano o kimś mi przypomniałeś. O dziewczynie sprzed wielu lat. Chyba sporo o niej myślę od rana. Miała w życiu mocno pod górkę.

Kraby w worku na ladzie nie przestają się wyrwać na wolność. Przychodzimy tu, żeby opowiadać historie i dzięki nim radzić sobie z przeszłością, która jest gotowa nas pożreć. Tamci czekają, aż będę mówił dalej.

– Teraz też o niej myślę. Rano dostałem pewną wiadomość, to dlatego.

Przez chwilę myślę, że wreszcie wyznam całą prawdę, ale się powstrzymuję. Coś musiałem im powiedzieć, więc opowiedziałem im trochę o Rocky.

Mówiła, że wracając z przystanku szkolnego autobusu do domu, musiała przechodzić tunelem pod starym wiaduktem pokrytym dziwnym graffiti, gdzie u wylotu kręciły się czasem grupki starszych chłopaków popalających fajki i pijących alkohol, a kiedy ich tam widziała, czaiła się w ciemnościach do czasu, aż znikną ostatnie sylwetki odcinające się od wyjścia. Raz czekała do północy, a kiedy dotarła do domu, nikt nie zauważył, że się spóźniła. Trzynastolatka.

Łąkam się i płaczę podczas opowiadania i wszyscy wyglądają zbitych z tropu, ale dziękują. To z pewnością jedna z tych historii, z którymi nie wiadomo, co począć. Nie łapią puenty.

A chodziło w niej o to, jak mi ją opowiedziała, jak odwracała twarz, jak spoglądała na mnie, by sprawdzić, czy słucham. O precyzyjnie dobierane i powoli wymawiane słowa.

Wiem, że wszyscy obecni w Najlepszych Pączkach są na tym etapie terapii, na którym dzielenie się historiami pozwala przekształcić wspomnienia, całe lata poczucia winy i degradacji, w łatwostrawne kawałki, które możemy odłożyć na półkę. Pozwala chronić się za pancerzem opowieści.

Nigdy nie opowiedziałem swojej prawdziwej historii.

Errol dzieli się opowieścią o przegraniu kasy na wyścigach w ostatni weekend. Dziękujemy.

Deacon wreszcie zbiera się na odwagę i opowiada, jak wpadł w robocie na starego kumpla, który wyciągnął go na drinka. Gdy ociera oczy i kończy wyznanie, jemu również dziękujemy.

Po spotkaniu nalewamy sobie świeżej kawy, a mnie przypomina się pożyczona książka, którą noszę w kieszeni. Wyciągam cienki tomik i oddaję Rogerowi. Powieść o parze bokserów z południowej Kalifornii.

Deacon przysuwa ją do siebie i czyta tekst z okładki. Roger prycha.

Kiedy jest uwalany mąką i cukrem aż po łokcie, nie da się zobaczyć zielono-niebieskiego tatuażu marines na jego lewym przedramieniu, ale teraz spod płataniny gęstych kłaków wyłania się rozmazany kształt kotwicy.

– A ja mówię, że trzeba zorganizować jakieś cipki – odzywa się Errol. – Czas wrócić do gry. Wchodźcie w to?

Deacon podsuwa książkę Rogerowi.

– Mówisz, że o czym to jest?

– O boksie.

Errol kręci głową, opuszcza daszek czapki i otwiera gazetę. Pojawiał się na spotkaniach chwilę po mnie, nadchodził z piaszczystych równin i opowiadał o jeździe tirem przez jakieś pustynne odludzia, rozwożeniu ładunków po oblodzonych drogach Kanady albo biciu rekordów szybkości na autostradach na południowym zachodzie. Ogryza paznokcie, mimo że nie chce, nawet wtedy, gdy z kimś rozmawia, i spuszcza wzrok, jakby prosił o wybaczenie tej słabości. Widywałem jego ciężarówkę, ale nie mam pojęcia, kiedy ostatni raz coś nią przewoził.

– Musisz emanować aurą bezpieczeństwa – stwierdza, odkładając gazetę. – Okazywać przyjaźń. Przede wszystkim zależy im na tym, żebyś słuchał, co mówią, nawet jeśli to bez sensu.

– Wydaje mi się, że do pewnego stopnia wolisz pozostawać samotny – mówi Roger.

Roger ma trzy byłe żony i tę piekarnię, kupioną za ostatni grosz w 1992 roku. Zaczynają z Errolem rozmawiać o huraganie znad Kuby, który od paru tygodni płąsa wzdłuż meksykańskiego wybrzeża. Ostatnio co drugi dostaje męskie imię, tego ochrzcili Ivan albo Izzy, coś w ten deseń.

– Będzie źle.

– Może nie.

– Widziałeś, jak to wyglądało w telewizorze?

Rozlega się dzwonek nad szklanymi drzwiami sklepu, w progu staje Leon.

– Przepraszam za spóźnienie – mówi. – Który z was zalega z alimentami?

– Odwróć tabliczkę, dobrze? – prosi Roger, a Leon odwraca się i zmienia napis na „Otwarte”. Piekarz patrzy na niego. – Myślałem, że twoja była wyszła za męża.

– Nie chodzi o mnie. Chyba któregoś z was czeka strzyżenie.

– Co? – dziwi się Errol.

Leon opiera się o ladę z pączkami i wyciąga przed siebie nogi, rozkoszując się tym, że może nas chwilę potrzymać w niepewności.

– Jakiś koleś gapi się na sklep. Zaparkował naprzeciwko. Widziałem, jak szedłem.

Wstaję i razem z Sage idziemy do okna.

– Wyrzuty sumienia – mówi Leon, wskazując na mnie.

Przez szybę dostrzegam czarnego jaguara na parkingu. W środku siedzi jakiś facet w ciemnych okularach i najwyraźniej obserwuje sklep. O tej porze nie ma tu nic innego do oglądania.

– I co? – dopytuje Roger.

Odsuwam się od szyby.

– Ma rację. Gość patrzy na sklep.

Zgarniam z lady worek z krabami.

– Jakieś kłopoty? – odzywa się Leon.

– Nie. Muszę się zwijać. Maluję dziś szefowi chatę.

Cmokam na Sage. Łapie z linoleum swoją zabawkę i tłucze mnie ogonem po łydkach.

Reszta nie spuszcza mnie z oka.

– Za parę dni walnie huragan – mówi Errol – a on chce malować?

Wzruszam ramionami i mijam ladę, kierując się do kuchni, łupie mnie w czaszce, wiadomość od Cecila nie daje mi spokoju.

– A ty dokąd? – woła za mną Roger.

Dokuśtykałem już do wahadłowych drzwi, więc tylko rzucam przez ramię:

– Skorzystam z tylnego wyjścia.

Kiedy wychodzę na alejkę na tyłach piekarni, serce wali mi jak młotem, zaczynam się wspinać na górkę, która oddziela centrum biurowe od ulicy. Jest upał, w płucach mi rzezi. Przypomina mi się ucieczka z Miejscówki Stana przed dwudziestu laty, kiedy biegłem przez pola, dławiąc się własnym językiem i słysząc wrzaski za plecami. Mogę sobie wma-
wiać, że facet w jaguarze na pewno mnie nie śledzi, ale i tak boję się spojrzeć przez ramię.

Jeszcze nie zdecydowałem, jak sobie poradzić z tą paranoją. Zostać czy uciekać.

Rocky sprawia, że wolałbym zostać.

Poza granicami miast Teksas zamienia się w zielone pustkowia, które istnieje tylko po to, żeby przygnieść cię swoim bezmiarem. Armata załadowana niebem. Dziewczyny patrzyły na to jak na pokaz sztucznych ogni.

Droga na grobli prowadziła na północny kraniec wyspy: do kolorowych jachtów upchniętych w przystani i kutrów ciągnących sieci przypominające zielonkawy mech porastający cyprysy. Miejscowi bezdomni chowali się w cieniu palm i słupów telefonicznych. Drzewa, na których zostało już niewiele liści, wyglądały jak obgryzione kości wetknięte w piach. Po chodniku truchtał wychudzony parchaty kundel, być może w drodze na Pelican Island. Na maskach samochodów prężyły się szczupłe nastolatki w skąpych kostiumach, promienie słońca lśniły na ich zębach, chromowanych karoseriach, porozrzucanych na ziemi kapslach i puszkach po piwie wdeptanych w rozgrzany asfalt. Wokół dziewczyn krążyli starsi goście donoszący kolejne tanie piwa.

Olbrzymie słońce wiszące nad horyzontem nadawało granatowym wodom zatoki napalmowego blasku. Otulające je powietrze jeszcze powiększało jego tarczę i zamieniało każdy promień w ostrze. Wszyscy nosili ciemne okulary, w których odbijały się złociste okręgi.

Po promenadzie krążyły na wrotkach dziewczyny w bikini, a barierki i krawężniki okupowała hałaśliwa grupka deskorolkarzy. W cieniu wysokich hoteli stojących wzdłuż plaży tam i z powrotem latały piłki do siatkówki. W powietrzu unosiła się woń targu rybnego, koszy z małżami i gotowanych langust z pieprzem. Między straganami krążyły stare kundle, które polowały na walające się pod stołami rybie wnętrzności i skorupy.

Były i ślady historii: stare hiszpańskie kościoły spalone słońcem; biały kamień i różowe cegły, *adobe*, sztukateria; dziewiętnastowieczny trójmasztowiec, wcielenie fałszywej dumy, cumujący przy Muzeum Morskim.

Przyszłość dało się tu wynegocjować. Wrzucić wspomnienia w oślepiająco białe światło zatoki jak suche liście w ogień.

Dziewczynka trzymała ręce na szybie, miała otwartą buzię.

– Co to? – szepnęła, jakby pytała o wielką tajemnicę.

– Ocean, malutka – powiedziała jej na ucho Rocky.

– Co to jest?

– Woda, kochanie. Całe mnóstwo wody.

Brązowe plaże znaczyła wyraźnie widoczna poszarpana linia wodorostów naniesionych przez fale przyprływu. Rocky przyglądała się ludziom przy dymiących grillach, a zwłaszcza półnagim dziewczynom, za którymi jak psy chodzili półnagdy chłopcy. Dałbym sobie rękę uciąć, że zastanawia się nad ich życiem. Wielu ludzi w jej wieku spodziewa się, że będą żyć wiecznie, i patrzy na życie jak na należne im od urodzenia prawo do dobrej zabawy.

Nigdy tak tego nie widziałem i byłem pewien, że ona też nie.

Podobnie jak niektórych młodych ludzi, Rocky czasem przytłaczał własny potencjał, dało się to dostrzec w jej znieruchomiałym spojrzeniu, w twarzy bez maski ochronnej. Ma-

lowały się na niej zaskoczenie i skrucha, choć zwykle dziewczyna cała promieniała swego rodzaju patriotyczną dumą, w której nie było miejsca na żal czy wyrzuty sumienia. Na ten temat również coś wiedziałem.

Nie wiedziałem za to, co z nimi począć.

Nie do końca rozumiałem, co tu robię, ale byłem pewny, że tu nie zostanę.

Rozsądne, a nawet uprzejme wydawało się znalezienie im hotelu, zapłacenie za kilka dni z góry i rozdzielenie się. Trudno jednak było patrzeć na to dziecko i nie chcieć się wykazać większą hojnością. Ale takie pokusy w końcu cię dymają i zaczynasz płacić czyjeś mandaty.

Mężczyźni w średnim wieku taszczyli pod pachami deski surfingowe. Autobusy wycieczkowe przechylały się na zakrętach jak pijacy.

Kiedy przyjechałem tu z Loraine, turystyka dopiero raczkowała. Wynajęliśmy stojący przy plaży dom na palach, miasteczko było wtedy mniejsze. Opiekaliśmy małże, polewając je piwem i tequilą. Siedzieliśmy razem w wannie i popalaliśmy skręty. Mówiła, że najlepiej jest, gdy nie traktujemy wszystkiego zbyt poważnie, że nie ma sensu się angażować. Nigdy tak do końca w to nie wierzyłem. Powiedziała mi kiedyś, że małżeństwo jest konstruktem społecznym służącym zamianie czystej przyjemności w umowę handlową, a ja starałem się nie mieć z tym problemu. Była sporo młodsza ode mnie, dziewięć lat. Dzięki niej chciałem się ustatkować, gdzieś osiąść, urządzić się z nią, zawsze jednak mówiła: „To się w ogóle nie opłaca” oraz „Po co psuć to, co dobre?”.

Zastanawiałem się czasem, jak by to wyglądało. Wieczorne powroty z pracy, kolacje. Gromada urwisów, patrzenie, jak rosą. Nadal myślę, że mógłbym spróbować, dać się temu ponieść.

Dziewczyny wciąż gapiły się przez okno, a Tiffany co chwila wskazywała na coś za szybą i patrzyła na Rocky.

Przejechaliśmy tam i z powrotem wzdłuż promenady, a one wciąż przyglądały się wszystkiemu z tym samym entuzjazmem. Chciałem odnaleźć domek wynajmowany przed laty, ale musiał ustąpić miejsca jakiejś szklano-betonowej turystycznej pułapce. Albo zapomniałem, gdzie go szukać.

Zdecydowałem się na motel położony kilka przecznic na północ od plaży. Wokół parkingu porośniętego chwastami ciągnął się parterowy budynek w kształcie litery L. Stare cegły pomalowano na jasnobłękitno. Przeszkłone biuro recepcji mieściło się w krótszej części, do której przylegała pordzewiała wiata garażowa o kształcie palety malarskiej. Pod pionowym neonem układającym się w napis SZMARAGDOWE WYBRZEŻE zamontowano nieco mniejszy: OPŁATY CO TYDZIEŃ. Blisko ulicy, na samej krawędzi parkingu, niemal bezlistna palma oparła się o kępę pozółkłych paproci.

Wyłączyłem silnik.

– Pamiętajcie, że jesteśmy rodziną – przypominałem.

Rocky pokiwała głową.

– Jesteś bratem mojej matki.

– A gdzie twoja matka?

– W Vegas – odpowiedziała po chwili.
– Ojciec?
– Zginął na platformie wiertniczej. Oberwał poluzowanym kablem i wpadł do morza. –
Wzruszyła ramionami. – Znałam kiedyś takiego gościa.

Nie licząc kilku rdzewiejących aut z pogniętymi antenami, wozu kempingowego na sflaczałych oponach i motocykla stojącego w kałuży oleju, parking był zupełnie pusty. Okna jednego z pomieszczeń w budynku zaklejono folią aluminiową. To jedno z tych miejsc, które wybierasz, kiedy już naprawdę nie masz dokąd pójść, motel, w którym meldują się przypadkowi goście, żeby popełnić samobójstwo, a ludzie są zbyt pogrążeni we własnych problemach, żeby zwracać na kogokolwiek uwagę.

Przytrzymałem dziewczynom drzwi do biura. Szum rozstawionych na ladzie wiatraczków mieszał się z warkotem kanciastego klimatyzatora wciśniętego w dziurę w ścianie. Rocky złapała siostrę za rękę i obie podeszły do stojaka z folderami turystycznymi.

Z zaplecza dobiegał dźwięk radia, w którym ktoś wyzywał się na lewakach. Nacisnąłem zaśniedziałą dzwonek na kontuarze.

Tiffany rozglądała się na wszystkie strony, wodziła wzrokiem po dziurawym suficie, tapecie z wyblakłym wzorem w muszle i po zdeptanym różowym dywanie. Zapewne klimatyzacja była dla niej nowym zjawiskiem.

Z pokoiku na tyłach wyszła kobieta o ciele tak zasuszonym i pokrytym zmarszczkami, jakby ją przetrzymali w wędzarni. Spalona słońcem dębowa włóczysta skóra zwisała z ostro zakończonych kości. Mysioszare włosy. Okulary zlepione pośrodku kawałkiem plastra. Poprawiała je co rusz.

– Słucham? – zapytała.

Spojrzała ponad moim ramieniem na dziewczyny. Dwie zmarszczki obok ust chyba sięgały jej kości.

Kartka przyklejona do ściany informowała, że wynajem pojedynczego pokoju na tydzień kosztował sto pięćdziesiąt dolców.

– Weźmiemy dwie jedyńki. Obie na tydzień.

– Pańskie? – Skinęła głową.

– Siostrzenice.

– Śliczna ta mała.

Rocky podeszła i powiedziała Tiffany, żeby się ładnie przywitała, ale speszona dziewczynka schowała się za jej nogami.

– Jak ci na imię, skarbenku?

– No, powiedz, jak się nazywasz.

Dziewczynka się zaśmiała.

– Nazywa się Tiffany – odpowiedziała Rocky.

– Ile ma lat?

– Trzy i pół.

Twarz recepcjonistki rozpękała się w uśmiechu. Wciąż próbowałem sobie wyobrazić, jak mogła wyglądać, nim sponiewierało ją słońce.

Radio w sąsiednim pomieszczeniu nadal grało, nadawali program z telefonami od słuchaczy i jakiś gość opowiadał o nowym porządku świata i знамениu Bestii. Wiszący na ścianie zegar w kształcie rozgwiazdy zatrzymał się na 11.20.

Poprosiła mnie o prawo jazdy, a ja podałem jej fałszywe dokumenty i dwie setki oraz pięć dwudziestek.

– Jeszcze podatek. Dwadzieścia cztery dolary i sześćdziesiąt siedem centów.

Wręczyłem jej kolejne dwie dwudziestki. Trzęsącą się ręką wpisała nas do księgi gości, nasłuchując jednym uchem rozmowy z radia.

– Chyba nic nam nie grozi. – Wskazała głową odbiornik na zapleczu. – Jesteśmy w suwerennym stanie Teksas. Jeśli najadą nas ci z ONZ, to się ostrzelamy.

Spróbowałem się uśmiechnąć, ale mój wyraz twarzy wzbudził w niej niepokój.

– Jesteśmy z Luizjany – wyjaśniłem.

– No cóż. – Wróciła do wypisywania meldunku. – Luizjana należy do katolików.

– Tak jest – potwierdziłem, spoglądając na Rocky.

Podawała mi rachunek i dwa klucze z gumowymi brelokami w kształcie desek surfingowych.

– Pokoje dziewiętnaście i dwadzieścia, po drugiej stronie parkingu. Nazywam się Nancy Covington. Jakbyście czegoś potrzebowali, zawsze tu jestem.

Podziękowałem, ale po minie Nancy spodziewałem się jeszcze jakiejś uwagi.

– Tyle wam powiem – dodała – że znam wielu tutejszych policjantów. Tyle wam powiem. Zachowujcie się w tych pokojach.

Wymieniliśmy z Rocky spojrzenia, a siostry uśmiechnęły się do kobiety.

– Mój Boże, jaka urocza dziewczynka. Jesteś najpiękniejszą istotką, jaka kiedykolwiek tu była.

– Miejmy nadzieję, że taka pozostanie – odpowiedziała Rocky i obie zachichotały.

Dostaliśmy sąsiadujące pokoje, w każdym ciemnozielona wykładzina, obraz z plażowym widoczkiem, szafa, szafka nocna i stoliczek z imitacji drewna. Woń potu i kremu do opalania. Brzoskwiniowa tapeta z takim samym wzorem w muszelki jak ta w recepcji, w moim pokoju obłaziła od wilgoci. Po odkręceniu wody kran nad umywalką poznaczoną brunatnymi zaciekami dostawał drgawek, nim wypuścił pierwszą strugę. Pod oknami zamontowano potężne klimatyzatory, a grube, plastikowe, granatowe zasłony tworzyły nieprzepuszczalny mur odcinający światło. Mieliśmy nawet kablówkę.

Tiffany usiadła na swoim łóżku i szybko pochłonął ją telewizyjny teatrzyk kukiełkowy z tekturowymi dekoracjami. Patrzyłem, jak Rocky rozpakowuje plecaki i układa ubranka siostry w szufladach. Gdy się pochyliła, sukienka opięła jej tyłek, a we mnie od tego piękna zawrzała krew.

Coś jednak między nami wciąż nie grało, krył się tu jakiś fałsz. Jakbyśmy oboje udawali i nie mieli zamiaru o tym rozmawiać.

– I co teraz? – zapytała Rocky.

Zastanowiłem się przez chwilę.

– Chyba musimy zrobić zakupy.

– Mhm.

– Nic się nie martw. Zajmę się tym.

Poczułem tępe ukłucie – stare ostrzeżenie przed wyświadczeniem przysług, wplątywaniem się w zależność.

– Nie powinieś za nas płacić, Roy.

– Do grobu przecież kasy nie zabiorę.

Widać nie potrafiłem się powstrzymać. I strasznie chciałem się napić; pewnie po to, żeby zagłuszyć głos rozsądku, który podpowiadał, że powinienem pilnować portfela i dać spokój tej komedii. Zostawić je na tych miast.

Czekałem na nie przed wejściem sklepu z ciuchami znalezionego w pasażu. Wizyty w takich miejscach zawsze podnosiły mi ciśnienie. Widok ludzi na siłę wydających pieniądze i tak jakby z roku na rok coraz grubszych.

Patrzyłem na Rocky, która przymierzała przed lustrem spódniczkę i bluzkę, i na ogromne kobiety snujące się między wieszakami, sprawdzające metki i rzucające gdzie popadnie oglądane przed chwilą spodnie; smutek i wyczerpanie mieszały się z żądzą zakupów.

Odkryłem, że wszyscy słabi ludzie mają tę samą obsesję – fiksację na punkcie spełnienia. Zlatują się do każdego świecidełka jak sroki. Czasem ich świecidełkami są inni ludzie i łatwiej już rzucić ćpanie, niż pozbyć się tego nałogu.

Coś staje się zbyt przyjemne, zbyt pewne i zanim się obejrzyysz, jesteś załatwiony.

To właśnie przydarzyło mi się z Lorraine. Z Carmen w jakimś stopniu również. Miałem o to do siebie pretensje.

Rocky wybrała dla siebie spódniczkę, bluzkę i dwuczęściowy kostium kąpielowy, a kiedy ją zachęciłem, wróciła po kilka koszulek na ramiączkach i džinsy. W drogerii kupiliśmy szczoteczki do zębów i takie tam, wzięłem też maszynkę do strzyżenia. Zjedliśmy obiad niedaleko hotelu, w knajpce przy promenadzie; drewno wypolerowane przez morze i betonowy falochron z wyblakłym malunkiem przedstawiającym podmorskie stworzenia. Usiedliśmy na patio, a Rocky, widząc nastoletnich szpanerów z papierosami w ustach gromadzących się pod muralem, przygarbiła się nieco i odwróciła od nich wzrok. Ledwo co skubnęła swojego cheeseburgera.

Tiffany, trochę grymasząc, jadła frytki, a Rocky patrzyła to na nią, to na towarzystwo pod falochronem, tak jakby nie chciała, ale nie potrafiła się powstrzymać. Bawiła się jedzeniem, spoglądała na chłopaków, w końcu rozmiękkłą frytką zaczęła rysować jakieś wzory w keczupie.

Splukałem swoje dwa burgery budweiserem, rozparłem wygodniej na krześle i wciągnąłem do płuc ciepłe słone powietrze.

– Co myślisz? – zapytałem.

– Co? – Rocky upuściła frytkę na talerz. – To znaczy dziękuję.

– Co myślisz o tym miejscu? Wygląda w porządku.

– Tak.

– Założę się, że spodoba się jej na plaży.

– Pewnie. – Rocky oparła ręce na stole i spojrzała na Tiffany, przywołując na twarz wymuszony, niewyraźny uśmiech.

– Założę się, że znalazłabyś robotę w jakiejś knajpie. Przyjęliby cię. Jesteś ładniutka.

– Może.

Kelner w workowatych szortach przyszedł zabrać naczynia. Spytał, czy zapakować na wynos porcję Rocky. Nie chciała, ale poprosiłem, żeby to zrobił. Kiedy odszedł, nawet nie uniosła głowy, machinalnie skubała plastikową podkładkę.

Omiotłem wzrokiem ściany, rozciągniętą na zewnątrz sieć rybacką, w której poutykano sztuczne kraby i raki, przywieszono nad drzwiami wypchanego marlina i oprawione w ramki wycinki z gazet dotyczące huraganu z 1900 roku. Przeszłość ujawniała się tutaj sama. Powierzchnia zawsze eroduje.

– Co się z tobą dzieje? – zapytałem.

Wyglądała na urażoną.

– O co ci chodzi?

– Dąsasz się.

– Nie wiem. To znaczy czasem tak mi się dzieje. – Jej oczy zalśniły. – To znaczy jakoś sobie radzę, staram się za dużo nie myśleć. Ale zdarza się. No wiesz.

– Tak.

– Po prostu. To wszystko od wczoraj.

– Będzie dobrze. Nikt nas tu nie znajdzie.

Tiffany poderwała główkę i wskazała palcem moją brodę.

– Ja cię znalazłam!

– Wiem – zgodziła się Rocky. – To znaczy myślę, że masz rację. Tak to po prostu się zdarza. Czasami. Ale to niesprawiedliwe. – Otarła łzę i przygryzła dolną wargę. – Zastanawiam się po prostu, czy mam się spodziewać czegoś innego.

Pomyślałem nad tym, wyjąłem papierosa i postukałem nim o blat.

– To jest niesprawiedliwe, bo wszystkim rządzi przypadek. I właśnie dlatego to jest sprawiedliwe. Rozumiesz? Sprawiedliwość jak na loterii.

– Kurwa, Roy. To miało pomóc?

Zapaliłem papierosa i odsunąłem się od stołu, żeby wyprostować nogi.

– No.

– Nie pomogło.

Z trudem hamowała łzy, a jej policzki i czubek nosa poczerwieniały.

– Ale patrz. To działa w dwie strony. Jutro możesz się wzbogacić i zakochać.

Nigdy w to nie wierzyłem, ale starałem się brzmieć przekonująco.

– Oczywiście. Na pewno.

Zwijiała i rozwijała podkładkę, wbijając wzrok w ocean rozciągający się za falochronem. Na tle płynących po złocistym niebie czerwonych chmur wydawała się drobna, młoda i delikatna. Tiffany rozmazywała keczup po blacie. Spojrzała na mnie, a potem na swoje ubrudzone rączki, i wybuchła śmiechem. Oblizała palce do czysta i ponownie wetknęła je w keczup.

W drodze powrotnej kupiłem gazetę, żeby Rocky mogła poprzeglądać ogłoszenia. Chciałem, żeby zaczęła myśleć o przyszłości, głównie dlatego, że wtedy łatwiej byłoby mi je zostawić. Kiedy wróciliśmy do hotelu, Tiffany natychmiast zaczęła przysypiać, powieki Rocky także opadały, wyczerpanie nagle dało o sobie znać. Poszedłem do swojego pokoju.

Przy krawężniku stał opróżniony sześciopak, jakby czekał na autobus. Po drugiej stronie parkingu siedział jakiś facet bez koszuli, trzymał głowę w dłoniach.

Zamknąłem za sobą drzwi. Zanim podłączyłem maszynkę, wyjąłem nóż i obciąłem wło-

sy z tyłu. Przez chwilę trzymałem je w dłoniach, zaskoczony ich długością. Poczułem też, że straciłem jakąś część siebie i że było to o wiele ważniejsze, niż podejrzewałem. Wyrzuciłem włosy do kosza i włączyłem maszynkę. Ogoliłem głowę i brodę ostrzami ustawionymi na pół centymetra, moja szczeka i czaszka miały teraz równe siwoblond ściernisko.

Spojrzałem w lustro. Moje odbicie zawsze wyglądało tak samo i nigdy nie liczyłem na więcej, ale tym razem jakbym dostał w łeb – duże połączenie gołej skóry, niewielki krzywy nos, wąskie usta i szeroki, kanciasty podbródek. Chyba przez całe życie miałem mglistą nadzieję, że kiedyś zobaczę inną twarz od tej, którą Loraine porównała do indiańskiego totemu. Porównanie było trafne w czasach mojej młodości, a teraz, gdy zacząłem łysieć, mam coraz dłuższe brwi, opadające powieki i zapadnięte policzki, okazało się nawet trafniejsze. Oczy zawsze mnie dziwiły. Szeroko rozstawione, ciemnobrązowe, po obcięciu włosów wyglądały na większe. Odkąd pamiętam, było tak, jakby moja prawdziwa twarz istniała gdzieś w ukryciu, szczuplejsza, o szlachetniejszych rysach, rzymskim nosie i ostro zarysowanej szczecie. Oblicze centuriona, zdobywcy starożytnego świata. Czterdzieści lat z tą samą twarzą, a wciąż jakaś część mnie wierzyła, że zobaczę tego gościa w lustrze.

Przejechałem ręką po rzyску na głowie i pomyślałem o pacjentach po chemioterapii.

Rozciągnąłem się na łóżku, nie włączając telewizora. Zacieki na suficie układały się w nieopisane przez nikogo kontynenty, a ja wyobraziłem sobie algi tryskające z moich płuc w serii eksplozji.

Zastanawiałem się, jak będzie źle i co zrobię, kiedy mi się pogorszy.

Mój colt i pistolet, który odebrałem Rocky, leżały w skrzynce na dnie worka. Palnięcie sobie w łeb jest bardziej kuszące niż powolne umieranie, ale problem z samobójstwem polega na tym, że zanim się człowiek na to zdobędzie, krzywda już zostaje wyrządzona. Szczerze mówiąc, bałem się samobójstwa, chociaż robiłem w życiu rzeczy, które mnie przerażały.

Zapicie się na śmierć w Meksyku także miało swój urok.

Dobijała mnie ironia tej sytuacji. Tylko ja ocalałem ze strzelaniny. Dlaczego jedynym facetem, któremu udało się wyjść z tamtego domu, jest człowiek spodziewający się rychłej śmierci?

Co najdziwniejsze, nie pragnąłem zemsty. Nie poznawałem samego siebie.

Jakaś część mnie cieszyła się, że się z tego wyplątałem, urwałem od tych wszystkich hazardzistów i ćpunów, Stana Ptitki i Ormian, podejrzewałem nawet, że pragnąłem tego od dawna i że to był główny powód, dla którego stworzyłem sobie tamtą osobowość.

Wypadłem z obiegu.

W ścianie chrobotwały owady, świat za oknem pociemniał, przez zasłonę przesączały się czerwone i niebieskie promienie, kolory te przywoływały wspomnienie skrzyżowania w Hot Springs sprzed lat, a odgłosy owadów mieszały się z szumem oceanu i hałasem klimatyzacji. Gdzieś na zewnątrz zaśmiała się kobieta, brzęknęły tłuczone butelki.

Zamknąłem oczy i zobaczyłem Carmen, jak rzuca mi uśmiech przez ramię. Loraine przylatowała do mojego boku. Przypomniałem sobie, że na tym skrzyżowaniu w Hot Springs, gdzie czerwone i niebieskie neony odbijały się w kałuży, siedziałem na krawężniku jak ten

dzisiejszy facet na parkingu. Głowa zwieszona między kolanami, zakrwawione knykcie.

Moja specjalność w poprawczaku: opalanie zapalkami szczoteczek do zębów, aż dało się ukreślić główkę, i montowanie w miękkim plastiku ostrzy żyłek.

Kiedy miałem siedemnaście lat i pomagałem za barem u Robicheaux, któregoś wieczoru zjawił się drobny gość. Pił sobie samotnie, do nikogo się nie odzywał, a w okolicach północy zwałił się ze stołka. Pękła mu czaszka i umarł u stóp klientów.

Otworzyłem oczy.

Tutaj nic się nie uchowa. Sól wżera się wszędzie, zdziera farbę, pokrywa rdzą ogrodzenia, wnika w ściany. Cały pokój tym śmierdział, a w plamach na suficie dostrzegłem miast i pola erozji.

Trafiasz tutaj, bo musisz się gdzieś podziać. Psy dyszą na ulicach. Piwo nigdy nie jest zimne. Ostatnia nowa piosenka, która ci się podobała, powstała lata temu i radio już jej nie gra.

Zwlokłem się z łóżka na dźwięk cichego pukania do drzwi. W świetle lampy stała Rocky w podkoszulku i ledwie spod niego wystających krótkich niebieskich spodenkach. Miała zapłakane oczy, zaczerwienione policzki i nos i obejmowała się ramionami.

– Roy.

Wpuściłem ją i zamknąłem drzwi, zapaliłem światło. Usiedliśmy na dwóch krańcach łóżka. Podciągnęła kolana pod brodę i oparła stopy na krześle; nie mogłem wytrzymać tego widoku, starałem się patrzeć gdzieś obok niej. Pociągnęła nosem i otoczyła kolana rękami.

– Co się dzieje?

– No popatrz. Pozbyłeś się włosów.

– Co się stało?

– Nic. Myślałam tylko.

– No proszę.

– Tak. – Znów pociągnęła nosem i odgarnęła kosmyk jasnych włosów z czoła. – Tak się zastanawiałam. W sensie... ile ty masz lat?

– Czterdzieści.

– Znaczy ja osiemnaście, stary. Tyle, co nic, nie? To znaczy nieważne, co się do tej pory wydarzyło.

– Tak, tyle, co nic. Masz czas, żeby jeszcze trzy albo cztery razy zacząć życie od nowa, jeśli będziesz chciała.

Mówiąc te słowa, po raz pierwszy poczułem się zbyt młody, żeby umierać. Najgłupsza skarga. Przypomniałem sobie, że wszyscy, do których przychodziłem z pałką i w rękawiczkach, mówili to samo. „Czekaj, czekaj”, powtarzali. Czekaj.

Miała mokre oczy i czerwony nos. Patrzyła w okno, na cieniutkie niczym struny promienie światła wpadające zza zasłon, jej wzrok koncentrował się na czymś dalej.

– Rozmawiaj ze mną, Roy. Stary, muszę czegoś słuchać.

Nie odezwałem się. Nie umiałem oderwać wzroku od jej nóg i ud. Pożądanie zawsze niosło ze sobą upokorzenie.

– Co robiłeś w wieku osiemnastu lat, Roy?

Odpaliłem papierosa dla siebie i dla niej.

– Pracowałem za barem i ściągałem nadwyżki zakładów na południu, głównie w Luizjanie, Arkansas i Missisipi.

– To znaczy?

– Zbierałem kasę od ludzi, którzy obstawiali konie częściowo za kasę bukmacherów.

– Aha.

Dym z papierosów rozwiewał się na bezbarwnych wyspach pokrywających sufit, zza okna płynęły dźwięki. Radia samochodowe na sąsiedniej ulicy, głos kobiety, która krzyczała do kogoś o od-po-wie-dzial-noś-ci, akcentując wyraźnie każdą sylabę.

– A jak znalazłeś tę robotę?

Wzruszyłem ramionami.

– Miałem wstąpić do marines.

– Serio? – Podciągnęła nogi i spojrzała wprost na mnie. Jej nos i policzki były pokryte bladymi piegami, a wilgotne oczy zdawały się większe. – Co się stało?

– Kiedy skończyłem siedemnaście lat, wsiadłem do autobusu i pojechałem na komisję poborową. Tak. Przesiedziałem tam parę godzin. Pojawiło się też sporo innych chłopaków. Wszystkim towarzyszyli rodzice, każdy z nas miał takie same połatane dzinsy. Pocerowaną koszulę. Dłonie pokryte odciskami od pracy na roli. Ich rodzice tacy jakby niedomyci. Patrzyłem na tych z komisji, jak rozmawiają właśnie z rodzicami. Tym się głównie zajmowali. Z chłopakami prawie nikt nie gadał. Po prostu mówili ich starym: „Nauczmy go tego i tamtego, wróci jako mężczyzna”. Znasz to. Nie pasowało mi, że tamci chłopcy musieli stać pod ścianą jak konie na aukcji. I zacząłem myśleć, że mógłbym zająć się czymś innym.

Zamilkłem, wpatrując się w dym unoszący z papierosa. Przypominał mi o kominach rafinerii po drugiej stronie jeziora, nad którym dorastałem.

– Co? – zapytała. – Co chciałeś robić?

– Było takie miejsce w Beaumont, gdzie moja matka pracowała, zanim się urodziłem. Nie przestawała o nim gadać. Bar Robicheaux. Ciągle powtarzała, że stary Harper Robicheaux to taki świetny gość. Prawdziwy szef wszystkich szefów. Mówiła, że czasem mogła tam śpiewać. A potem mi śpiewała. W domu.

– Miała ładny głos?

– Tak. Porzuciła śpiewanie, kiedy ja się pojawiłem.

– I co w końcu zrobiłeś?

– Wyszedłem z biura komisji i wsiadłem w autobus do Beaumont. Znalazłem ten bar. Tak właściwie nazywał się Robicheaux na Bagnach. Zajrzałem do środka i zapytałem o tego gościa, Harpera. Wciąż prowadził lokal. Musiałem na niego poczekać. To był naprawdę mocno szemrany koleś, ale bardzo przyjacielski, sporo znajomości. Ucieszył się, gdy powiedziałem mu, czyim jestem synem. Zapytał, co u matki, i posmutniał, kiedy powiedziałem, że odeszła. Spytał, czego chcę, powiedziałem, że roboty. Zacząłem od razu. Przez jakiś czas pomagałem za barem, a potem uznał mnie za na tyle rozbawionego, że mogłem się zająć zakładami.

Palila i skubała mały palec u stopy.

- A zanim znalazłeś tę pracę, to z kim mieszkałeś?
- U państwa Beidle'ów. Prowadzili rodzinny dom dziecka.
- Twoja mama odeszła?
- Umarła parę lat wcześniej. Zachorowała.
- Na to samo co ty?
- Nie wiem. Może.

Zgasiałem papierosa, patrząc na przeżarte solą listwy przypodłogowe. Mary-Anne nie zachorowała, a przynajmniej nie na to co ja. Kiedy miałem dziesięć lat, ludzie, którzy stali wtedy na moście, twierdzili, że próbowali ją powstrzymać, ale ona po prostu odepchnęła się od barierki. Mówili, że nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Jedna czy dwie osoby podbiegły do krawędzi, zobaczyły jej spódnicę unoszącą się na wodzie sto pięćdziesiąt metrów niżej.

Zawsze próbowałem sobie wyobrazić, jak spadam. Długi lot w całkowitej ciszy.

– A twój ojciec? – spytała Rocky.

– Był w porządku. Należał do marines. Korea. Zginął. Nie w Korei. W rafinerii. – Wzruszyłem ramionami. – Dawne dzieje.

Dopiero około dwudziestki dotarło do mnie, że John Cady musiał wiedzieć, że nie jestem jego. Już jako piętnastolatek miałem metr dziewięćdziesiąt, podczas gdy on był ze dwadzieścia centymetrów niższy, i ani po nim, ani po Mary-Anne nie odziedziczyłem ciemnych włosów ani kształtu podbródka. Ale zawsze chciał, żeby nazywać go tatą.

– A ten Robicheaux? Lubieś go, co nie? Czuć to. W tym, jak o nim opowiadasz.

– Chyba go lubiłem. Musiał się cholernie zdziwić, kiedy pojawiłem się w barze.

– Czemu?

Westchnąłem i wywróciłem teatralnie oczami, choć nie miałem nic przeciwko temu, przeciwko opowiadaniu rzeczy, których nikomu nie mówiłem. Pochyliłem się, żeby zdjąć buty.

– Cóż – mruknąłem. – Był wielki, jak ja, bardzo do mnie podobny. Taka sama twarz. Zaskoczyło go, że mamy takie same twarze.

– Przypominał cię?

– Skóra zdjęta.

Myślała nad tym chwilę, ale najwyraźniej nie dotarło.

– Dziwne – stwierdziła. – A tak poza tym?

– Bystry. Ludzie go lubili. Nieźle prowadził interesy z Włochami na całym wybrzeżu i w Nowym Orleanie, współpracował z harleyowcami z Arkansas i Teksasu.

– Aha. I co się z nim stało?

– Ktoś go rozwalił.

– Rozwalił?

– Tak.

– Przykro mi, Roy.

– W porządku.

– Przepraszam. – Odłożyła papierosa, wsunęła dłonie pod uda i rozprostowała nogi. Jej

mięśnie naciągnęły się jak okrętowe liny.

Podrapałem się w kolano i przesunąłem dłonią po wciąż jeszcze obcej twarzy.

– Czego się dotknę, to spierdolę – westchnęła Rocky.

– Nie musisz tak na to patrzeć.

Podniosłem się z łóżka, podszedłem do umywalki, napiłem się wody i przemyłem oczy.

W lustrze moja twarz powoli zaczynała wyglądać zwyczajnie.

Rocky patrzyła na mnie przez ramię.

– Zabiłeś kogoś wcześniej, Roy? Poza tamtymi w domu?

Otarłem twarz i podszedłem bliżej.

– Kilku.

– Jak się z tym czujesz?

– Daj spokój.

– Przepraszam.

Rozczarowanie w jej oczach trochę mnie zmobilizowało. Perspektywa śmierci sprawiała, że moje dotychczasowe przyzwyczajenia i konsekwencja traciły na znaczeniu. Niektóre zachowania już się zmieniały. Chociażby to, że tyle gadam.

– Czuję się tak, jak czuje się żołnierz – powiedziałem. – Ci ludzie nie byli przypadkowymi przechodniami. Sami się w to wpakowali. Patrzą na to bardziej w ten sposób, że doprowadzali do jakiejś sytuacji, a ja musiałem potem ją rozwikłać. To ich wina.

Pociągnęła nosem i odetchnęła przez usta, skubała palce u stóp.

– Tak myślę, że będziesz chciał nas tu zostawić.

Nie odezwałem się. Stałem obok łóżka, mogła wpaść na to, że powinna wrócić do siebie.

– Możesz to powiedzieć, stary. To znaczy zrozumiem. To ma sens. Nawet jeśli jesteś chory. To znaczy nie ma sensu, żebyśmy się razem włóczyli. Nie zwariowałam ani nic.

– Znajdziesz pracę. Zajmiesz się Tiffany. Wygrasz na loterii.

– Patrzyłam dziś na nią i myślałam, że nas zostawisz i ja wszystko knocę. Nawet tę ucieczkę z Tobym. Wydawało mi się, że skoro jest ciotą, to powinno się udać. Co za syf. – Skupiła się na dymiącym papierosie. – Ale wiesz, zawsze miałam pod górkę.

– Jeszcze was nie zostawiłem – przypomniałem.

– No – westchnęła. – To nie twój syf, stary. Mój.

– Uda ci się.

– Wiesz, że tam się nigdy nic nie zmienia? Był ciągły upał. Te same pola, ta sama trawa. Nic do roboty. To znaczy już widziałam swoją przyszłość. Każdy dzień jak poprzedni.

– Żyłem kiedyś w takim miejscu – powiedziałem. Ale skrzywiłem się i wściekałem na siebie, że dałem się w to wciągnąć, a jeszcze bardziej wściekała mnie chęć, żeby wyrzucić z siebie te puste pola, prażące słońce, Loraine i Carmen. Chciałem coś o tym opowiedzieć, ale nie wiedziałem co.

– Widziałeś te dzieciaki dziś na plaży? Cały czas myślałam, że chciałabym mieć normalne życie.

– To jest normalne życie.

– Wiesz, o co mi chodzi. Żeby Tiffany dostała taką szansę. W jakimś spokojnym miejscu.

– Tak właśnie będzie.

Łzy zdążyły już obeschnąć. Rocky zmrużyła oczy i spojrzała z uśmiechem.

– Bez tych włosów wyglądasz naprawdę dziwnie.

– Nie poznaję się w lustrze. To chyba dobrze.

– Teraz nie wyglądasz już na psychopatę.

Uruchomiłem klimatyzację, od której zaczęła wibrować szyba w oknie.

– Chyba powinnaś się trochę przespać – zasugerowałem. – Jutro coś wymyślimy.

Gdy wyciągnęła rękę, żebym pomógł jej wstać z łóżka, spojrzała na mnie z rozbawieniem spod półprzymkniętych powiek. Poczułem niepokój. Zauważyła, że mnie to męczy, i przestała, bardzo powoli podeszła do drzwi. Nie mogłem nie gapić się na jej spodenki, które werżnęły się jej między pośladki.

Rocky zatrzymała się na progu.

– Jeśli chcesz nas zostawić, nie ma sprawy. Naprawdę. I tak dużo dla nas zrobiłeś, Roy. Możesz ruszać. Damy sobie radę.

– Może tak zrobię – odpowiedziałem, otwierając przed nią drzwi.

Facet, którego wcześniej widziałem na krawężniku, przeniósł się na skrawek trawy i leżał koło latarni. Komary buzowały w ostrym świetle.

Rocky odwróciła się do mnie, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale się powstrzymała.

– Jeśli będę tu rano, to znaczy, że jeszcze nie odszedłem.

Zamknąłem drzwi. Kiedy znów zostałem sam, nie potrafiłem zasnąć. Trzy albo cztery razy przeleciałem przez wszystkie kanały telewizyjne. Poskładałem ubrania i jedno po drugim ułożyłem w szafie, a potem wyjąłem i wpakowałem z powrotem do worka. Za pomocą ołówka i szmatki przeczyściłem colta. Czułem się, jakbym coś utracił, coś trudnego do zdefiniowania, ale odczuwalnego przez swoją nieobecność.

Czułem, że tym dzisiejszym gadulstwem sam siebie zdradziłem.

Szmaragdowe Wybrzeże miało najwyraźniej kilku stałych gości. Wóz kempingowy stojący na sflaczałych oponach należał do rodziny spod dwójki. Gość od motocykla, który zaklejał okna pokoju folią aluminiową, mieszkał pod ósemką. Właścicielkami chryslera z rozwalonymi amortyzatorami, który wypinał tył jak samochód wyścigowy, były dwie starsze panie wynajmujące dwunastkę. Rano jakiś facet po drugiej stronie parkingu rozpałił mały grill i w kłębach gryzącego, tłustego dymu owiewającego okolicę smażył kiełbaski. Pomachał do mnie ze swojego plastikowego krzeselka.

Wychudzony starszy gość w sandałach i opasce na głowie, w koszulce na ramiączkach reklamującej piwo Corona. Zgłodniałem od tych zapachów. Podeszedłem bliżej i zauważyłem przy jego nogach stos papierowych talerzyków.

– Takie tutaj serwujemy śniadania, stary. Jestem Lance.

Wrzucił mi na talerzyk dwie kiełbaski.

– Pracujesz tu?

– Nie całkiem. Kiedyś byłem żonaty z Nancy. To ta, która was zameldowała. Pozwala mi tu mieszkać. Ale chce, żebym robił śniadania dla gości. Nie ma kuchni, to robię wszystko na grillu.

– Jasne. Dzięki.

– Mówiła, że są z tobą dwie dziewczynki. Też mogą dostać, jak chcą.

Usłyszałem skrzypnięcie drzwi i spod dwójki wyszło dwoje dzieci z ojcem. Miał rozczochrane włosy, opuchniętą czerwoną twarz i lśniące przekrwione oczy.

Pierwsze co, to natychmiast mnie zlustrował.

Pacnął chłopaka w głowę.

– Nie pchaj się. Ona przodem.

Niewyspane dzieci mrużyły oczy od słońca, jakby dopiero co wyszły z jaskini. Lance uśmiechnął się do nich i najpierw podał talerzyk z dwoma kiełbaskami dziewczynce, a potem chłopcu.

Skończyłem jeść.

– Do środka – ponaglił dzieci ojciec.

– Mama chciała, żeby jej przynieść.

– Nie potrzebuje kiełbasy. Powiedzcie jej, że tak powiedziałem.

Wziął talerzyk od Lance'a i patrzył, jak dzieci wracają do pokoju. Miał wielką twarz, szeroką i podłużną, a niewielki podbródek przechodzący w tłustą, gładką szyję pochłaniał linię szczęki. Włosy przydługie i niedomyte. Siatkowy podkoszulek i śmierdzące, sztywne od brudu dżinsy, które opinały wielki bebech, garbił się od niego.

– Dobry – powitał go Lance.

– Ta. Dobry.

Facet jednym kęsem odgryzł połowę kiełbasy. Musiał pokazać, kto tu rządzi. W jego naiwnych ślepiach czaiła się paranoja. Pewnie kiedyś był największym bykiem w zagrodzie,

ale od tego czasu zmiękły mu ramiona i wyglądały jak uda starej baby.

– Z Kestrela nici, właśnie się dowiedziałem – rzucił w moją stronę. – Kicha.

Spojrzałem na Lance'a i znów na faceta.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– O platformie wiertniczej. Urząd pracy miał mi załatwić robotę, dlatego tu zjechaliśmy. Ale jak przyszło co do czego, nic dla mnie nie mieli. Powiedziałem, że dostałem od nich list. Odpowiedzieli, że list nic nie znaczy. – Spojrzał na Lance'a, szukając potwierdzenia. – A ja mam ten papier. – Skończył jeść i odłożył talerzyk na asfalt.

Zauważył, że sięgam po papierosy.

– Poczęstujesz? – spytał.

Dałem mu jednego.

– Skąd jesteś? Też robisz na platformach?

– Nie. Wakacje.

– Skąd?

– Luizjana.

– A dokładnie?

– Nowy Orlean.

– Współczuję ci, stary. Byłem tam kiedyś. Tylko deszcz, katole i czarnuchy.

– Niektórym faktycznie tam odbija – przyznałem. – Trzeba się orientować.

– Znałem kiedyś chłopaka z Nowego Orleanu. Postrzelił się w udo. Głupek.

– Pewnie dlatego kazali mu stamtąd spadać.

Zmarszczył brew, próbując rozgryźć, co chciałem powiedzieć. Zauważyłem, że pojawił się kolejny gość, facet od motocykla i okien oklejonych folią, numer osiem. Był młody, cherlawy i długowłose, patrzył na nas z daleka, nie zdejmując wielkich ciemnych okularów. Gość obok wciąż mierzył mnie wzrokiem i starał się zrozumieć, czym tak dokładnie go obraziłem.

– A właściwie ile upchałeś dzieciaków w tym pokoju? – zapytałem półzartem.

– Tylko dwójkę. I kobietę. – Potrząsnął głową. – Tyje z dnia na dzień.

Z wyrazem ulgi zaczął opowiadać o swojej żonie. Kilka dni temu rzucił jej jakąś uwagę na temat jej kostiumu kąpielowego i od tamtego czasu nie ruszyła się z pokoju.

– Zachowuje się, jakbym uraził jej uczucia. Wiesz, jak to jest.

Pstryknąłem petem i poszedłem do pokoju. Chłopak spod ósemki pochylił się nad Lance'em i o coś go pytał, a mój grubas rozglądał się wokół, zaskoczony, że nikt nie chce z nim rozmawiać o jego żonie.

Kiedy zamykałem za sobą drzwi, zauważyłem, że długowłose patrzy wprost na mnie. Ja też na niego spojrzałem.

Wyszczerzył się, jakbyśmy się znali od wieków. Strzelił do mnie dłonią złożoną w pistolet.

Dziewczyny wstały, ubrały się i zjadły. I nikt z nas nie wiedział co dalej. Uznałem, że mała powinna zobaczyć plażę. Włożyłem złachane džinsy i jaskrawą hawajską koszulę, którą kupiłem dzień wcześniej razem z sandałami, i poszliśmy nad wodę. Nie miałem powodu, żeby im towarzyszyć, ale pozostawało mi sporo czasu do zabicia i chciałem zobaczyć reakcję dziewczynki na piasek i ocean. Byłem jej ciekaw.

Ojciec spod dwójki stał przed drzwiami pokoju z butelką piwa.

– Niezła koszula – stwierdził i skinął mi głową.

Przeszliśmy pięć przecznic, minęliśmy pas zieleni i weszliśmy na małą plażę po drugiej stronie ulicy. Tkwiące w kępach traw strzępki gazet i papierki po jedzeniu szeleściły na wietrze, a włochate kłoski miłki okalały piaszczystą łączę aż po ocean. Tiffany z uśmiechem przepchnęła się przed Rocky i wskazała coś palcem. Ocean zbliżał się i oddalał, było tak od zawsze.

Rocky zdjęła szorty i koszulkę. Zauważyła, że się gapię, więc odwróciłem wzrok. Miała dość skąpe bikini, cztery czerwone trójkąciki, musiałem głębiej odetchnąć. Jej ciało składało się z podstępnych krągłości i delikatnych linii, słońce przypieкло bladą skórę na nogach umięśnionych jak u tancerki, zarumieniło nos i policzki, wyłuskało złocistobiałe refleksy we włosach. Przykucnęła i zaczęła składać ubrania tak starannie, że uderzyła mnie swoją nieodpartą zmysłowością. Jak na swój wzrost miała szerokie ramiona, a jej plecy pokrywały wzgórki mięśni, na które trzeba sobie zapracować.

Usiadłem w płytkim zagłębieniu. Przyniosłem ze sobą dwie puszki piwa, otworzyłem pierwszą i patrzyłem na zachwyconą Tiffany, która potykając się o własne nogi, biegła po plaży. Rocky weszła z nią do wody i obie zaczęły uciekać przed falami, a pełen emocji, szczerzy śmiech dziecka niósł się w powietrzu jak bicie dzwonów.

Kiedy Rocky została ochlapana, jej kostium przylepił się do ciała jak mokra chusteczka, mogłem dostrzec jej sutki i zarys pośladków. Pomachała do mnie, gdy kolejne fale ochlapwały je wodą, wywołując salwy przenikliwego śmiechu Tiffany, za ich plecami rozciągała się granatowo-fioletowa pienista toń i łatwo można było sobie wyobrazić, że istnieją jedynie ocean i niebo. Ale horyzont wolno przecinała łódź, a z mgieł na wschodzie wyłaniała się platforma wiertnicza.

Siostry wróciły na brzeg. Rocky chciała nauczyć Tiffany budować zamki z piasku. Dziewczynka wskazała palcem na zatokę.

– Gdzie idzie ta woda?

– Do oceanu.

– A co to?

– Jeszcze więcej wody.

– I gdzie ona idzie?

– Och, cichutko – powiedziała Rocky i połaskotała siostrę w bok.

Rocky miała wyprostowane nogi, gdy uklepywała mokry piasek, i trudno było oderwać

od nich wzrok, dlatego skupiłem się na innych plażowych widokach. Jakiś błysk wśród krzaków. Dwa grube dzieciaki truchtające w stronę fal. Mewy korzystające z prądów powietrznych, żeby zniżyć lot i musnąć dziobem powierzchnię wody. Tęczowy latawiec sterowany daleko od nas przez kogoś, kogo nie mogłem dostrzec. Tiffany wskazała palcem zabawkę robiącą zgrabne pętle w powietrzu.

Minęła nas grupka chłopaków z piłką, którzy umilkli na widok Rocky i nie potrafili odebrać od niej wzroku. Zauważyła ich i skupiła się na pokazywaniu Tiffany, jak ukształtować piasek.

Zdjąłem koszulę i wystawiłem się do słońca. Wyobraziłem sobie, że moje komórki magazynują światło słoneczne.

– Skąd masz te blizny? – spytała Rocky.

– Które?

– Te okrągłe z boku.

Z zamkniętymi oczami przesunąłem palcem po zagłębieniach w skórze.

– Śrut.

– Taki ze strzelby?

– Strzał z daleka. Muśnięcie.

– A ta druga? Na ramieniu?

– Nóż.

– Musiał być całkiem spory.

– Był.

– A ta na nodze?

– Pies.

– Wiedziałaś. Domyśliłam się. Zabiłeś go?

– Psa?

– No.

– Nie pamiętam.

Pewnie, że go zabiłem.

Czekałem na kolejne pytania, a kiedy zapadła cisza, uchyliłem powieki i zobaczyłem, że wróciła do zabawy z Tiffany.

Wypiłem drugie piwo i zdrzemnąłem się parę minut. Kiedy się obudziłem, zobaczyłem, że Rocky opala się rozciągnięta tuż obok. Miała mokrą skórę, gdzieniegdzie oblepioną piaskiem, w pępku połyskiwała mała kałuża potu. Musiałem się od tego odciąć, poszedłem do wody.

Tiffany się ucieszyła i skacząc jak piłka, pobiegła za mną. Po złocistym niebie wciąż ślizgał się kolorowy latawiec.

Dziewczynka zatrzymała się przed linią zatoki i wyciągnęła rączki w górę, jęcząc, że bym wziął ją na ręce. Poderwałem małą z ziemi i rozhuštałem, jakbym zamierzał wrzucić ją do wody, a ona piszczała i śmiała się. Przez chwilę miałem ochotę pokrzyknąć z nią, ale tego nie zrobiłem. Zatkąłem jej nos i rzuciłem się w fale, trzymając dziewczynkę blisko powierzchni, a ona śmiała się, prychała, wzdychała z zachwytu i mimo początkowej niepew-

ności domagała się powtórki.

Przez resztę dnia czułem w pustych dłoniach jej niewielki ciężar, to, jak wierzgała nogami na wszystkie strony. Odprowadziłem ją na plażę i zauważyłem, że co jakiś czas dziewczynka zachowuje się jak prawdziwa kobieta, odgarnia za ucho kosmyk mokrych włosów lub z poważnym wyrazem twarzy poprawia kostium.

Rocky leżała na piasku, lśniła w słońcu.

Mój kumpel powiedział kiedyś, że każda kochana przez nas kobieta jest jednocześnie naszą matką i siostrą, której nie mamy, i że zawsze szukamy swojego żeńskiego odpowiednika, swojej samicy czy jakoś tak. Temu gościowi gadanie takich głupot uchodziło płazem, bo był ćpunem i czytał książki.

W drodze powrotnej nie dało się nie gapić na idącą przodem Rocky w kostiumie, ale nie sądzę, żebym mógł jej dotknąć.

Późnym popołudniem zjedliśmy smażone krewetki i małże z grilla, a potem zabrałem dziewczyny do salonu gier. Waliły młotkiem w pluszowego kreta, wyszalały się w Ms. Pac-Man i rzucały plastikowymi kólkami. Snułem się w tym czasie po nabrzeżu, ale nie spuszczałem z nich oka.

Nad wodą kilku ciemnoskórych facetów trzymało wędki, niżej na piasku leżała łódź odwrócona do góry dnem. Przez dziurę w drewnie słyszałem miauczenie kota. Wokół walały się tysiące czerwonych kuponów loteryjnych.

Wieczorem obejrzelismy w telewizji film chyba z Richardem Boone'em, a gdy wychodziłem z ich pokoju, dziewczyny wyglądały na zmęczone i zadowolone, a ja uświadomiłem sobie, że sprawia mi to radość.

W swoim pokoju cieszyłem się z tego, jak się z nimi rozstałem.

I właśnie wtedy dopadło mnie coś, czego nie umiałem nazwać. Jakbym zapomniał o czymś ważnym.

Wyszedłem na zewnątrz i spojrzałem na palmy rozkołysane gorącym wiatrem oraz rzekę gwiazd na niebie. Ruszyłem przed siebie.

Z zamierzchłych czasów eksportu bawełny na Południu pozostały tu magazyny, na kilku windach wciąż działały reflektory. W powietrzu unosiła się woń soli, krewetek i małży. Jakiś mężczyzna prowadził kolegę, obejmując go ramieniem.

Stukot moich butów na asfalcie przypominał tykanie zegarka. Przez chwilę po drugiej stronie ulicy towarzystwa dotrzymywał mi szary kocur. Na przystanku siedział brodaty starsuszek i pociągał coś z butelki owiniętej torebką, łkał. Powiedział mi, że jest szczęśliwy. Właśnie wyszedł z więzienia.

Kiedy wróciłem do swojego pokoju, ogarnęła mnie taka cisza, że budzik rozbrzmiewał głuchym echem i szeptał mi, że jest późno, później i jeszcze później.

Czas mijał. Byłem stary.

Obudziłem się przed dziewczynami, gdy zatoka zażółciła się w promieniach wschodzącego słońca, a na falach kołysała się flota niewielkich kutrów krewetkowych, które sunęły po wodzie z zarzuconymi szerokimi sieciami. Dzięki powolnym i skoordynowanym ruchom przypominały migrujące zwierzęta. Niebo zarówno o poranku, jak i wieczorem rozbłyskiwało histerycznymi kolorami, zielenią i fioletem, płonąca czerwienią i nierzeczywistym pomarańczem, chmury wyglądały jak wyjęte ze starych westernów.

Powolny ruch. Zmiany kolorów.

Zaczynałem dostrzegać nowe rzeczy.

Rocky stwierdziła, że chyba dziś powinna zacząć się rozglądać za jakąś pracą, ale powiedziałem, że lepiej będzie, jeśli znów wybierzemy się na plażę. Tak zrobiliśmy.

Wieczorem spotkaliśmy nasze sąsiadki, właścicielki chryslera ze złamaną anteną. Dehra i Nonie Elliot były siostrami, miały tak samo stalowosiwe włosy i tę samą fryzurę podobną do kalafiora, ubierały się jak zakonnice, na czarno, a na szyjach nosiły spore krzyże.

Lance przysmażał burgery, ja wyniosłem sześciopak. Dziewczyny również wyszły z pokoju, a starsze siostry spod dwunastki uległy pokusie spotkania z Tiffany, której przyglądały się przez okno.

Pochyliły się, żeby uścisnąć jej dłoń. Mała, nieco zawstydzona, zaczęła ssać kciuk.

Obie były lekko przygarbione, miały pogodne, delikatne twarze i z godnością znosiły ciężar życia. Dehra, ta w okularach, okazała się bardziej gadatliwa.

Chęć poznawania ludzi sprawia, że wydajesz się mniej podejrzany.

– Mamy jeszcze cztery siostry w Zgromadzeniu Sióstr Świętego Józefa w Houston – wyjaśniła Dehra. – Mieszkałyśmy kiedyś w Denton, ale sprzedałyśmy dom naszych rodziców. Pomyślałyśmy, że kupimy sobie coś na Florydzie, ale na razie tylko krążymy po Teksasie.

– Chcemy być bliżej sióstr – dodała Nonie.

– To prawda. Ale siedzimy tu już trzeci tydzień.

– Wciąż szukamy czegoś bardziej na stałe.

– Nie wiem po co. Jakoś nie umiemy się do tego zabrać.

Miały w sobie coś dziewczęcego, ich spokojne, ascetyczne twarze były zupełnie nieskażone przebiegłością.

– Często chodzicie na plażę? – zapytałem

– Ależ skąd. Niezbyt przepadamy za słońcem.

Druga z sióstr chciała poczęstować Tiffany gumą do żucia, ale dziewczynka chowała się za nogami Rocky. Przez chwilę czułem pokusę, żeby opowiedzieć tej kobiecie o swoich płucach.

Lance rozłożył stolik turystyczny, a Nancy położyła na nim worek z bułkami do hamburgerów i rozstawiła talerzyki, keczup oraz musztardę. Spojrzała na mnie.

– Poprzednio byłeś jakiś bardziej kudłaty. Patrzcie no. Boisz się, że ktoś cię rozpozna?

– Za ciepło tutaj na długie włosy – odpowiedziałem.

– Założę się, że te hamburgery będą tak dobre jak w Pasie Zieleni w Austin – stwierdził Lance, obracając mięso. – Pamiętasz tę knajpkę, kochanie?

Nancy spojrzała na niego i zmarszczyła brwi.

– To taka wiejska knajpka, do której zaglądaliśmy – wyjaśnił mi Lance, a potem znów spojrzał na Nancy. – Pamiętasz?

Westchnęła głośno i wywróciła oczami, jakby współczuła mu, że się kompromituje. Wróciła do biura.

Staruszki i Tiffany zanosily się śmiechem.

– Kiedyś była inna – wyjaśnił Lance. – Wyszła na prostą, zanim się poznaliśmy, i chyba trochę przesadza. Wiem, co myślisz, ale nie widzę Nancy takiej, jaka jest teraz, rozumiesz. Widzę wszystkie Nancy, jakie znałem, a było ich sporo. Cieszy się, że to wszystko pamiętam, nawet jeśli udaje, że nie.

Gdy z pokoju znów wyszła Rocky, z ósemki wyłonił się tamten dzieciak. Miał długie rude włosy, delikatną twarz kujona, podarte dzinsy i motocyklowe buty, które zupełnie nie pasowały do reszty.

Zaczęli ze sobą rozmawiać oparci o ścianę, chłopak powiedział coś, z czego Rocky się zaśmiała. Miał na sobie szarą bluzę i nieco się garbił, trzymał ręce w kieszeniach.

Zobaczył mnie i pomachał. Rocky wyglądała na spiętą.

Pojawił się również ojciec spod dwójki. Wychynął z pokoju cichcem i natychmiast zamknął za sobą drzwi. Spojrzał na jedzenie i się oblizał.

Stanął przy grillu i powiódł wzrokiem po zebranych.

– Czekamy na te hamburgery jak stado wygłodniałych psów – ogłosił, spodziewając się jakiejś reakcji, a kiedy się nie doczekał, próbował udawać, że zatopił się w myślach.

– Jestem Tray – powiedział do mnie rudowłosy. Wyciągnął rękę i zamrugnął podpuchniętymi powiekami. Rocky upiła odrobinę mojego piwa.

Uścisnąłem wyciągniętą dłoń.

– Tray Jones. – Omiótł wzrokiem moje ramiona. Kiedy znów spojrzał mi w oczy, wyglądał, jakby chciał coś dodać. Był tak wychudzony, że bluza na grzbiecie wydawała się dla niego zbyt ciężka. – Ale mówią na mnie Rzeźnik.

– Jakżeby inaczej.

Ojciec zgarnął trzy kolejne hamburgery. Już miałem się odezwać, ale gdy zobaczyłem, że odchodzi, ucieszyłem się i dałem spokój.

Trzymał wszystko na jednym talerzu i spoglądał na nas przez ramię w drodze do siebie. Stanął na progu, raz jeszcze rzucił okiem w moją stronę i wśliznął się do środka, uchylając drzwi najmniej, jak się dało.

– A widziałeś jego dzieciaki? – Tray Jones wciąż stał obok mnie. – Wyglądają, jakby od dawna porządnie nie jadły.

Skinąłem głową. Rocky przysiadła na pustaku, przyglądając się staruszkom rozmawiającym z Tiffany.

Rudowłosy poczęstował mnie mentolem. Odmówiłem.

– Gdzie siedziałeś, brachu? – zapytał, zapalając papierosa.
– Co?
– Wyluzuj. Zawsze poznam skazańca. Choćby po tym, jak jadłeś kiełbasę, stary. – Zaśmiał się. – Kumasz?
Wyjąłem papierosa.
– Nigdzie – powiedziałem.
– A, no tak. W porządku. – Przytaknął i podał mi ogień. Paznokcie obgryzł do mięsa, a rękawy bluzy ciasno opinały chude nadgarstki. Domyślałem się, że znalazłbym pod nimi ślady po igłach. – Mnie zgarnęli w Rowan w Oklahomie. Wyświadczyć sobie przysługę i trzymaj się południa.
– Ile masz lat?
– W marcu będzie dwadzieścia sześć.
– Za co cię zwinęli?
– Oj. – Zaciągnął się papierosem. – Mieliśmy z partnerem taką robótkę. Całkiem niezłe nam szło, ale mój kumpel wdał się w bójkę w knajpie. Przyszli po niego, gliny, chcieli przeszukać auto. Nawet nie wiem, o co poszło. Spałem na tylnym siedzeniu.
– Mhm.
– Trzy kolejne gotowe – powiedział Lance.
Zawołałem do dziewczyn, żeby przyszły coś zjeść. Obie starszuszki odprowadziły Tiffany do stołu i przygotowały jej hamburgera. Tray wciąż nie ruszył się z miejsca.
Zaczynałem się zastanawiać, czego ode mnie chce.
– Teraz mam tutaj swoją ekipę – oznajmił. – Sami sprawdzeni znajomi.
W milczeniu dopiłem piwo.
– Wiesz, stary, kogo mi przypominasz? – spytał nagle.
Uniosłem brew i odkręciłem kolejną butelkę.
– Takiego gościa z filmów. Jak mu było? Grał w takim filmie o walkach kogutów. I w tym drugim, gdzie jeździł z ludzką głową w aucie.
– Ten gość wyglądał jak koń – stwierdziłem po chwili namysłu.
– Ale nie w złym znaczeniu, serio.
– Masz. – Podałem mu piwo i wróciłem z resztą butelek do pokoju. Nie byłem głodny. Niebo zaszło purpurą, a po spękany asfalcie pełgały cienie.

Po północy otworzyłem nową flaszkę Jamesona, ponieważ nie potrafiłem zasnąć na trzeźwo. Byłem już grubo za połową butelki i zacząłem tracić poczucie czasu, dlatego ciężko mi odtworzyć przebieg wydarzeń, chwile nieświadomości i fantazje mieszają się jak puzzle. Pamiętam, że dręczyły mnie obsesyjne myśli. Czułem wzbierające łzy, ale nie potrafiłem się rozpłakać. Kiedy po raz pierwszy spojrzałem na zdjęcia rentgenowskie i usłyszałem słowa „komórki nowotworowe w tkance płuca”, wypadłem z gabinetu.

Teraz chciałem wiedzieć, ile zostało mi jeszcze czasu. Chyba dzwoniłem na informację po domowy numer mojego lekarza.

Pamiętam mgliście, że kłąłem do słuchawki, a oprócz zasnętego głosu faceta po drugiej stronie słyszałem również jakąś kobietę. Musiałem mu przypomnieć, kim jestem i kto mnie do niego skierował.

Chyba mówiłem coś w rodzaju: „Ile jeszcze? Ile mi jeszcze zostało czasu?”.

Odpowiedział, że nie wie, i zaczął wyjaśniać, że wiele zależy od kolejnych badań, biopsji. Tak, z dużym prawdopodobieństwem mam komórki nowotworowe w tkance. Chyba próbował mnie przekonać, że powinienem wrócić.

– Ostatnim razem pan wybiegł. Nawet nie zdążyliśmy porozmawiać o leczeniu.

Chyba poczułem się głęboko urażony wymijającymi odpowiedziami, jego protekcjonalnym tonem i nagle ogarnęła mnie fala szczerzej nienawiści do tego człowieka. Przyznaję, że nie wszystko w moim mózgu działało właściwie. Ale wciąż miałem przed oczami jego różowitką, wyszorowaną skórę, ulizane siwe włosy i lodowaty, profesjonalny ton, z jakim ogłosił mój wyrok śmierci.

Wydawało mi się, że stojąc w nocy w przeżartym solą pokoju motelowym i dysząc ciężko w słuchawkę, zidentyfikowałem swojego najważniejszego wroga, człowieka, który zniszczył mi życie.

Dziś przypuszczam, że chciałem, żeby się bał. Jak ja.

– Ty kurewski, pierdolony konowale! – wrzasnąłem. – Chcesz, żebym wrócił? Masz to jak w banku! Zobaczymy, czy odpowiesz na moje pytania.

Zaprotestował, tłumaczył swoją niewinność.

– Mam przed sobą twój adres, złamasie. Royale dwadzieścia trzy czterdzieści jeden. Założę się, że to duża chata.

– Co? Nie, nie... Proszę posłuchać...

– Twoja stara wie, ile przepuściłeś? Powiedziałeś jej o hazardzie, szmaciarzu?

– Proszę posłuchać... tylko przez chwilę...

Chyba wtedy huknąłem telefonem. Musiał przelecieć przez cały pokój, bo następnego ranka znalazłem jego szczątki pod przeciwległą ścianą i kabel wyrwany z gniazdka.

Kiedy się obudziłem, słońce rozgrzewało pokój, a poduszka była przesiąknięta potem. Leżałem bez koszuli, moją skórę znaczyły świeże, czerwone zadrapania, jak po walce z dzikim zwierzęciem. Przyjrzałem się swoim paznokciom i śladom na ciele. Na podłodze

walała się butelka, a w głowie majaczyło pytanie o brak telefonu.

Ogarnęło mnie mgliste przerażenie, typowe dla niektórych kaców, kiedy nie wiesz, co się z tobą dzieło i jakie kwity podpisałeś.

Nie pamiętałem rozmowy telefonicznej. Wpisałem zdemolowany aparat na listę typowych zniszczeń powodowanych po pijaku.

Kupiłem gazety. Miejscową „Houston Chronicle” z ogłoszeniami o pracy i „The Times-Picayune” z Nowego Orleanu.

W drugiej z nich znalazłem krótką wzmiankę na temat Sienkiewicza, który nie stawił się na przesłuchanie w trakcie trwającego właśnie dochodzenia.

Autor tekstu sugerował, że facet urwał się z miasta.

Ani słowa o Stanie Ptitce. Nic o Angelu ani trupach w domu Sienkiewicza przy Jefferson Heights.

Zastanawiałem się, co knuje Stan. Czy posłał kogoś za nami. A jeśli tak, to ilu i jak długo będą szukać. Powiecie, że to nie ma znaczenia; byliśmy jak igła w stogu siana.

Wciąż trzymałem tamtą teczkę, ale nie widziałem dla niej większego zastosowania. Może przed wyjazdem do Meksyku wyślę ją do prokuratury.

Nadal sobie wmawiałem, że je zostawię. Najpierw – że zrobię to, gdy znajdę dla nich bezpieczne miejsce. Teraz zdecydowałem, że Rocky musi znaleźć pracę.

Rozłożyłem gazetę na stronie z ogłoszeniami.

– Tu masz ofertę pracy dla kelnerki. I następną. A tu kolejna. Opiekunka do dziecka. Umiesz zajmować się dziećmi.

Krążyła przy oknie. Znów miała na sobie te spodenki. Nancy znalazła w biurze kilka starych gier planszowych, a Nonie i Dehra zapytały, czy mogą porwać Tiffany na parę godzin.

– Co? – spytałem.

– To znaczy co mam zrobić?

– Ubrać się ładnie, pójść i poprosić o formularz. Wziąć długopis i go wypełnić.

– Ale to znaczy... Co mam wpisać? Ja nigdy nie pracowałam, Roy.

Musiałem to przemyśleć.

Sięgnąłem po notatnik i postukałem ołówkiem o zęby. Zapisałem adresy dwóch miejsc. Jednym z nich był bar w Morgan City, drugim smażalnia w Nowym Orleanie. Oba spłonęły do gołej ziemi. Tak właściwie przyglądałem się temu z bliska.

Podąłem jej kartkę.

– Tam pracowałaś. Wymyśl sobie daty. Musisz im tylko powiedzieć, że knajpy już nie działają. Pracowałaś w nich do samego końca, bo taka właśnie jesteś: pracowita. Lojalna.

Usiadła na łóżku i potrząsnęła głową, jakby chciała zaprotestować.

– Naprawdę nie wiem, Roy... Nie wiem, co robić. Nie wiem, jak to zrobić.

– Będziesz się musiała nauczyć.

W jej oczach błysnęły łzy. Wbiła wzrok w przestrzeń. Dotarło do mnie, jak wielu rzeczy o niej nie wiem i co zaprowadziło ją do Sienkiewicza. Na pewno miała problemy z oceną sytuacji, ale mogło chodzić o coś gorszego.

– Wystarczy, że ich oczarujesz podczas rozmowy. Wiesz, jak to zrobić.

Obrzuciła mnie dzikim spojrzeniem, w którym czaiła się histeria. Pomyślałem, jak szyb-

ko jej śmiech mógł się przerodzić w rozpacz.

– Pomyśl o tym tak: najdurniejsze złamasy na ziemi potrafią sobie załatwić robotę. Musisz tylko wyjść i ją wziąć.

Skinęła głową, otarła oczy i wbiła wzrok w zasłony.

Usłyszeliśmy wycie syren za oknem, łóżko skrzypnęło, gdy się podniosłem.

– Zostań jeszcze chwilę – zaproponowała. – Te panie zajmują się Tiffany.

Stałem przy drzwiach. Rocky rozprostowała nogi i oparła się na łokciach, a łóżko znów zaskrzypiało. Spojrzałem na nią ostrzegawczo.

Nagle się rozgadała.

– Nigdy nie widziałam taty. Mama opowiedziała mi kilka różnych historii na jego temat. W jednej odsiadywał wyrok, w innej już nie żył. Poznała Gary'ego w klubie, tam pracowała. Czasem siedziałam na tylnym siedzeniu. Kiedy z kimś wychodziła. Jeździłam na tylnym siedzeniu. Za każdym razem, kiedy chcę powiedzieć, że Gary jest zły, myślę o tym, że jest leniwy. Wielki, tłusty, leniwy skurwysyn. Z roku na roku coraz grubszy. Dostawał zadyszki, kiedy sięgał po pilota. Moim zdaniem takie lenistwo to zło.

Zawróciłem, usiadłem i poczęstowałem ją kolejnym camelem. Odczekała chwilę, zaciągnęła się i podrapała zębami o język.

– Mama odeszła jakieś cztery lata temu. To znaczy Gary twierdzi, że uciekła. Może i tak. Wyszła pewnej nocy i nie wróciła. Myślę, że coś jej się stało.

Jednocześnie strzepnęliśmy popiół; czubek jej papierosa drżał.

– Co kiedyś zrobił. Wymyślił sobie, że będzie hodował króliki. Żył głównie z zapomogi od państwa. Miał jakiś wypadek w fabryce, zranił się w nogę. Mama uważała, że to durny pomysł. Pracowała w klubie w Beaumont. Były noce, że nie wracała do domu. Więc może faktycznie uciekła. Może myślała o tych królikach.

Skrzyżowała nogi, a ja spojrzałem na zasłony.

– Wydał trochę pieniędzy. Zmusił mnie, żebym mu pomogła przy stawianiu płotu i skosiła cały teren za domem kosiarką, którą od kogoś pożyczył. Wszystko w ten upał. Ileś tygodni budowaliśmy kojec z siatki, a on głądził, że wystarczy kilka takich wielkich królików, może nawet para, a po miesiącu będzie całe stado. Wystarczy je karmić i poić. Potem trzeba je sprzedać w mieście. Na mięso i futra, bo te króliki miały dobre futra. Obie z mamą się zdziwiłyśmy, gdy dopiął swego. Miałam wtedy może jedenaście lat. Nie trzymaliśmy żadnych psów ani kotów i cieszyły mnie te wszystkie króliki wokół. Strasznie wielkie. Kiedy się je chwyciło pod pachami i podnosiło, tak że stawały na palcach stóp, sięgały do ramion. Białe, czarne i łaciate. Gary cały czas coś liczył, pisał na kartkach przy kuchennym stole, próbował oszacować, ile na tym zarobi, i wydawał w myślach pieniądze. Ale to było w sierpniu, potem przyszły upały, trawa wyschła, podwórko pokryło się kurzem. Nie mogliśmy wykarmić ich wszystkich, więc pozbył się połowy. Pojechaliśmy z nim do Lake Charles, na pace ciężarówki stały druciane klatki z królikami przeznaczonymi na sprzedaż. Nie dostał za nie tyle, ile sobie wyobrażał. Nawet ułamka. W sklepie futrzarskim powiedzieli, że nie działają w ten sposób. Wolą kupować prosto od rzeźników, bo taniej. On się wkurzył i mama się wkurzyła, że nie zarobił. Pamiętam, że strasznie żałowałam tych obdar-

tych ze skóry zwierzątek. Więc oboje się wściekają, a on mówi: „Jebać to. Idziemy się napić”. Idą, a ja zostaję w pokoju. Myślałam o tym ostatnio. Bo siedziałam tam przez parę dni. Oglądałam telewizję i jadłam płatki z bufetu śniadaniowego. Nienawidzę czekania. Wrócili dwa dni później i wyglądali jak psu z gardła wyjęci, oszczani, w poszarpanych ciuchach. Śmierdzący. Cała kasa poszła, mama musiała wrócić do roboty i pojechaliśmy z powrotem do Orange. A teraz, kiedy siedziałam w pokoju, przypomniało mi się, jak na nich czekałam. Jak musiałam jeździć z tyłu samochodu.

Przygryzła paznokcie i zaczęła się bawić papierosem.

– No, ale króliki. Pierwsze, co zobaczyliśmy po powrocie, to stado ptaków na podwórku. Wielkie stado, a wśród nich kilka ogromnych sępów. Rozpłakałam się. Gary wrzasnął, a wtedy jeden z nich się poderwał, unosząc kawał mięsa. Wszędzie leżały króliki. Ponad tuzin królików rozciągniętych na ziemi. Strzępy królików. Zdechły z przegrzania i braku wody, jakby się podusiły. Pamiętam, że mama zaczęła walić go torebką. Płakała i była wściekła. Wyłam, odkąd zobaczyliśmy ptaszyska, ale teraz zaczęłam wrzeszczeć. Obie wrzeszczałyśmy na Gary’ego, a on wyglądał żałośnie. Zapłakany, tłusty i skacowany. Cały on. Potem odpuścił sobie robienie pieniędzy, nie licząc sprzedaży słabego zioła, które sadydził za domem.

Odgarnęła kosmyk włosów i podniosła głowę. Jej wykrzywione w podkówkę usta wyglądały kanciasto, trochę nieporadnie, a ciężko opadające powieki podsuwały różne sugestie.

Podszedłem do drzwi. Jakaś część mnie jej pragnęła, a cokolwiek mnie powstrzymywało, nie dało się tego wyrazić słowami. Nie chciałem o tym myśleć.

– Zdrzemnij się trochę – powiedziałem.

Po powrocie do swojego pokoju uprzytomniłem sobie, że jeśli jej matka odeszła cztery lata temu, to coś się nie zgadza z wiekiem Tiffany. O tym też nie chciałem myśleć.

Usiadłem na łóżku, z trudem łapiąc oddech. Przez zasłony przenikał czerwono-niebieski blask policyjnego koguta. Syreny milczały, ale mnie ogłuszał huk własnego pulsu w uszach.

Sturlałem się, sięgnąłem po skrzynkę, z której wygrzebałem colta, i sprawdziłem stan naboju w bębenku. Zacisnąłem dłonie na rękojeści i kucnąłem przy metalowych drzwiach, skupiając się na wyrównaniu oddechu. Miał być spokojny i głęboki. Musisz zobaczyć równoległe linie światła przechodzące przez muszkę i szczerbinę. Wydech i naciskasz spust, jakbyś zaciskał pięść. Nie szarp.

Czekałem, aż ktoś zapuka do drzwi. Z zewnątrz dochodziły przytłumione poważne, chłodne głosy, podkradłem się do zamkniętego okna i wyjrzałem.

Przed dwójką czekały dwa radiowozy. Kolejny blokował wjazd na parking. Za oknem trwał paranoiczny karnawał świateł.

Zjawił się również ambulans.

Nancy stała na zewnątrz w długim szlafroku z rękami skrzyżowanymi na piersi. Lance trzymał dłoń na jej ramieniu. Drzwi dwójki były otwarte. To tam znajdowało się centrum wydarzeń.

Chwilę później dwóch mundurowych wyprowadziło ojca. Miał podbite oko, gołą klatę i ręce skute za plecami, znad paska dzinsów wylewało się brzuszysko. Wydawał się potulny, osłupiały i przerażony.

Zaraz za nimi pojawiło się dwóch sanitariuszy. Pchali przed sobą nosze, a na nich leżał kształt nakryty prześcieradłem, spod którego wysunęło się kobiece ramię. Drobną dłoń wyglądała jak niewielki pazur na końcu grubego haka. Skóra połyskiwała na niebiesko i czerwono.

Zobaczyłem dzieci w radiowozie, cień kratownicy odbijający się na ich twarzach. Zaciągnąłem zasłony i odszedłem od okna.

Nie umiałem zasnąć i przez kolejną godzinę skakałem po kanałach telewizyjnych, ale nie potrafiłem się skupić. Światła radiowozu zniknęły. Wyszedłem sprawdzić, czy Nancy albo Lance nie kręcą się jeszcze w pobliżu, i zapytać, co się stało pod dwójką.

Ale natknąłem się tylko na Rzeźnika Traya. Palił papierosa przed swoim pokojem i pił piwo. Podniósł butelkę i pomachał nią, przekrzywiając głowę.

Nie chciało mi się już spać, to jasne, a wizja zimnego piwa przyciągnęła mnie w stronę rudzielca.

– Trochę tak sobie leżała. – Skinął głową w stronę dwójki, której drzwi zaklejono taśmą policyjną. Wszedł do siebie na chwilę i wrócił z nowym piwem, podał mi je.

– Co nawywijał? – zapytałem. Piwo było ciepłe, ale działało jak powinno.

Wzruszył ramionami.

– Musiał to zrobić jakiś czas temu. Jedno z dzieci w końcu powiedziało Nancy. – Wy-studiowanym, ale wciąż niezgrabnym gestem podniósł papierosa do ust i lekko się zaciągnął. – Gliny zabrały dzieci. Jego też. Powiedzieli Nancy, że miała posiniaczone podbrzu-

sze.

Pamiętałem, jak bezsilny wydawał się ten koleś. To bezsilność skłoniła go do okrucieństwa.

– Te dziewczuszki to twoje siostrzenice? – Chłopak zaciągał wyuczonym teksańskim akcentem.

– Ta.

– Przyjechaliście na wakacje, co? Gadałem trochę ze starszą. Mówiła, że wzięłaś je na plażę. I że jej ojciec zmarł.

Pokiwałem głową. Ciepły podmuch wiatru zaszeleścił policyjną taśmą na drzwiach, zaterkotały palmowe liście.

– Przykro słyszeć. – Pstryknął petem na parking i przeczesał włosy palcami. – Też byłem na wakacjach. Musiałem się przyczaić.

Zignorowałem go, pociągając kolejny łyk piwa.

– Za co cię wsadzili? Nie obraż się, że pytam.

Zmierzyłem go surowym spojrzeniem i wywróciłem oczami.

– Aha. Wyluzuj, brachu.

Podrapał się po karku. W słabym świetle jego poszarzała skóra wydawała się ziarnista. Raczej nie bywał na plaży. Szczupła sylwetka i rude włosy nadawały mu kobiecy wygląd. Całym sobą zdradzał lata ubóstwa i niezaspokojonych pragnień. Być może dzięki temu wzbudzał we mnie odrobinę sympatii i współczucia, bo pamiętałem, ile mnie kosztowało, żeby nie wyglądać na przestraszonego, kiedy byłem w jego wieku.

– Pytam, bo coś mam – powiedział. – Tak się zastanawiałem, może szukasz roboty czy coś. W sensie: gdybyś chciał dorobić, W czasie, tego, no, wakacji.

Spojrzałem na niego kątem oka. Chudy, nijaki dzieciak. Uniósł brew, a w jego oczach pojawił się znajomy zapach. Przede wszystkim miałem ochotę na kolejne piwo.

– Co tam masz, Rzeźniku?

W pokoju zabezpieczonym folią aluminiową leżał worek na śmieci, z którego wysypywały się ciuchy, i płócienny wór z pralni wypchany jakimiś kanciastymi, ciężkimi przedmiotami. Doszyta do niego linka rowerowa umożliwiła przymocowanie go do motocykla. Poza tym prawie żadnych rzeczy – szkice rozrzucone na stole i dwie książki. Rzuciłem okiem na okładkę pierwszej z nich: *Nowoczesne alarmy elektroniczne*. Druga nosiła tytuł *777 i inne pisma kabalistyczne* i miała białą oprawę. Kartki żółtego papieru kancelaryjnego były pokryte rysunkami, odręcznymi notatkami i dziwnymi gryzmołami.

– Stary, wiem, że garowałeś. Po prostu wiem. Mam oko do takich rzeczy.

Poczęstowałem się kolejnym piwem i zapaliłem papierosa, przyglądając się, jak zgarnia papiery i kładzie je na książkach. Robił to z przesadną skrupulatnością, wyrównywał każdą krawędź stosu i ustawiał książki pod kątem prostym do powierzchni stołu. Wydawał się nieco zakłopotany, jakby to było silniejsze od niego. Okulary w okrągłych drucianych oprawkach i uczniowski wygląd, intelektualny sznyt charakterystyczny dla ćpunów.

– Dobra. Słuchaj, stary. Panie Robicheaux. Do rzeczy. Jak myślisz, czym się zajmuję? To znaczy jak zarabiam?

Zaciągnąłem się fajką, a dym owionął mi twarz.

– Nie mam pojęcia.

– Dobra. Wszystko jest tutaj, stary. Tym się zajmuję. Jestem złodziejem, i to naprawdę, naprawdę zajebiście dobrym.

Nie zareagowałem, zmrużyłem tylko powieki, żeby dym nie drażnił oczu.

– Dobra, dobra. Mówisz: „Co z tego?”. Wiem. Mówisz: „Krzyżyk na drogę”. A ja mam taki pomysł, żeby nigdy nie wrócić do pudła. No więc nie ruszam niczego, dopóki to nie jest pewne, dopóki nie ma ryzyka, ale jest duży zysk. – Sięgnął po żółte kartki pokryte prymitywnymi mapkami, planami pomieszczeń.

Sporo dobrych złodziei to ćpuny. Jeśli mają nałóg pod kontrolą, potrafią się wykazać zawodową skutecznością, ale to nigdy nie trwa zbyt długo. Przez jakiś czas są czysti, efektywni, robią kilka skoków, ale w końcu sukces uderza im do głowy, przesadzają z ćpaniem i wpadają. Po odsiadce cykl zaczyna się od nowa. Zauważyłem kilka strupków wśród pajęczyn wytatuowanych między palcami Traya, przypominały ukąszenia pcheł.

– Miałem kiedyś partnera, stary. Dobry koleś. Solidny. Był, można powiedzieć, podporą naszej operacji, coś w ten deseń. On mnie wprowadził. Załatwiał transport, czasem upłynniał towar. Pracuś. Naprawdę porządny gość.

W srebrnej folii na oknach odbijały się nasze rozmazane, pomarszczone sylwetki i prawie go zapytałem, po co ją tam trzyma.

– Już go nie ma, ale tworzyliśmy dobry zespół. Już po nim. Jakieś buraki wrzuciły go do bagna w Alabamie.

Chociaż moim zdaniem jumacz był z niego jak z koziej dupy trąbka, widziałem, że po-

smutniał od opowieści, i pomyślałem, że dzieciak musi się czuć samotny, trochę przypominał mi mnie samego z dawnych czasów. Jeszcze się nie nauczył sobie z tym radzić. Udawał, że mu nie zależy na tym, na czym mu zależało.

– A teraz mam znowu coś na oku. Nowe plany – powiedział.

– Co kradniesz?

Skrzywił się, jakbym zadał absurdalne pytanie.

– Leki, stary.

– Robisz lekarzy.

Wzruszył ramionami z tym samym grymasem.

– Słuchaj, stary. Chodzi o to, przysięgam na Boga, że mogę spuścić towar w dwa, trzy dni. Górna półka. To jest, stary, trzydzieści kawałków. To znaczy jest taki koleś z kliniką na Broadwayu. Znam jego sprzątaczkę, brachu.

Uznał moje milczenie za zachętę.

– Mogę to opchnąć w Corpus Christi i w Houston. Trzy dni. Trzydzieści to zaniżony kosztorys, poważnie. Ten koleś, lekarz, leczy wszystkich właścicieli letnich posiadłości w okolicy. Ich suczki i żony. Facet dostarcza im leków. A w klinice trzyma próbki każdego możliwego ćpania. Beton, lód, piguły na odchudzanie, amfę, eksey. Wiesz, co to jest? Mam to wszystko opracowane, stary. Ta sprzątaczką dała cynk o alarmach. Mam zdjęcia. To przyszcz. Alarm na pstryczek. Takie robię przez sen. Betka.

– A do czego ci jestem potrzebny?

– No tak. Dobra. – Zgasił peta, zapalił następnego, rozgarnął papiery na stole i pokazał mi toporny szkic kilku pomieszczeń. – Potrzebuję kogoś, kto podjedzie vanem, i potrzebuję montera. Kogoś, kto mnie wpuści i otworzy drzwi od zewnątrz. I pomoże wynieść towar. Ja przyczaję się w środku za dnia, kiedy będzie otwarte, i poczekam, aż się zwiną. Wyjdę, wyłączę alarm, trzeba tylko zamknąć obwód. Towar wyniesiemy szybko. Przez tylne wyjście do furgonetki. I naprawdę potrzebuję takiego gościa jak ty, żeby to opchnąć. Mam klientów, no wiesz, ale ludzie czekający na taki towar to straszne mendy. Nie można im ufać. Rozumiesz? Wilson był dobry do tej roboty. Wielki, tak jak ty. Zawsze splukany. Nikt by nie okantował Wilsona. Ale każdy chce okantować mnie. No i tak. Rozumiesz. Uważam, że tego typu sprawy toczą się gładko, kiedy po drugiej stronie stołu siedzi kafar. Ktoś jak ty.

– Skąd pomysł, że możesz mi ufać?

– Wiem, że siedziałeś. Ale widziałem cię z siostrzenicami, stary. Widziałem, jak je traktujesz. Jesteś porządnym białasem. I pewnie chciałbyś zapewnić jakiś grosz swoim ludziom. Czuję to, i to, że jesteś twardy. I nie ćpasz. To na pewno.

Postukałem palcami o blat. Za oknem szumiał gorący wiatr.

– Czemu się tym zajmąłeś? – zapytałem.

Zaśmiał się do siebie, odsłaniając drobne zęby.

– Byłem w domu dziecka w Houston. Zwiąłem, jak miałem piętnaście lat. Zacząłem kraść. Z początku szło dobrze. Spałem, gdzie popadło. Szlajałem się z innymi dzieciakami. Pewnego dnia spotykam Wilsona. Mam siedemnaście lat. Myślę, że nie dociągnę do dwu-

dziestki. Jestem w Maison Blanche, no nie, zwijam zegarki. Jak teraz na to patrzę, to była głupia zagrywka, ale wtedy myślałem, że jestem mistrz. Tak czy siak, mam towaru za parę stówek, a tu jakiś wielkolud wali mnie w plecy i mówi: „Neni, mały”. I idzie dalej. Przeraził mnie. Chowam towar w ubraniach na wieszakach. Na pewniaka idę do drzwi, a tam dwóch ochroniarzy zaczyna mnie przeszukiwać. Ale jestem czysty. Wychodzę ze sklepu, a tam czeka ten wielkolud. Opiera się o cadillaca eldorado i pali. Cały czas mnie obserwował. Powiedział, że ochroniarze też. No i jest Wilson, nie? Prawdziwy zawodowiec. Ja przy nim byłem amatorem. Bujaliśmy się przez osiem lat. Dobre czasy. Sporo mnie nauczył.

Wyjął dwa kolejne piwa.

– Ale jak mówiłem. Dopadli go w Alabamie.

Potrząsnął głową i otworzył piwo. Widziałem to wyraźnie, tę sierotę w nim. Opuszczanie.

Odstawiłem butelkę i pochyliłem się w jego stronę.

– Posłuchaj, młody. Wyglądasz mi na niezłego doliniarza. Ale źle to obmyśliłeś. Jakiś czas temu wyszedłem na prostą.

– Och, daj spokój, stary.

– Mówię serio. Opiekuję się dziewczynami, przyjechaliśmy tutaj popływać i się poopalać. Potem jedziemy dalej. Nie skorzystam z twoich pomysłów.

Rozczarowanie przygasiło blask w jego oczach. Rozdziawił usta.

– Jaja sobie robisz.

Potrząsnąłem głową, wstałem, dopiłem piwo i odstawiłem butelkę na stół, obok książki.

– Życzę ci powodzenia. Miej oczy dookoła głowy.

Ruszyłem w stronę drzwi.

– Przecież z taką kasą mógłbyś się lepiej zaopiekować dziewczynami – rzucił. – Stary, nie przyda ci się piętnaście kawałków?

Spojrzałem na niego przez ramię.

– Nie tam, dokąd się wybieram.

Podziękowałem za piwo i wyszedłem.

Na zewnątrz panowała cisza, zakłócana jedynie lekkim szumem wiatru wśród drzew i odległymi dźwiękami, rozrzuconymi jak klejnoty w tym bezmiarze spokoju. Popatrzyłem wzdłuż ścian, na wszystkie czerwone, metalowe drzwi pod brzęczącym neonem, na policyjną taśmę pod dwójką, na kilka samochodów i motocykl Traya. Przytłoczyła mnie otwarta przestrzeń.

Lektura gazety kilka dni później przekonała mnie, że najwyższy czas rozstać się z dziewczynami. Rocky poszła szukać pracy w centrum. Szukała trzeci dzień z rzędu. Odprowadziłem ją na autobus, bo chciałem, żeby zaczęła się orientować w okolicy. Nancy, wracając z zakupów, wypożyczyła kilka kaset z kreskówkami dla Tiffany. Zajrzała do ich pokoju i zapytała, czy mała chce obejrzeć na wideo *Kopciuszka* w jej biurze. Stare siostry już na nią czekały i zobaczyłem, jak dziewczynka podskakuje, idąc z nimi przez parking. Starsze panie spędzały z nią mnóstwo czasu. Małą wyraźnie cieszyło ich towarzystwo, a one były nią wprost zachwycone.

Siedziałem na parkingu i wystawiałem się do słońca – nabrałem zwyczaju opalania klatki piersiowej, jakby to miało wypalić chorobę. Popijając whisky z papierowego kubka, przeglądałem „Houston Chronicle” i „Times-Picayune”. Żadnych informacji o federalnym śledztwie dotyczącym machlojek w porcie. Ani słowa o Stanie Ptitce czy domu przy Jefferson Heights.

Pięłem coraz więcej. Już nawet nie czekałem, aż minie południe. Łyk z rana stawiał mnie na nogi. Musiałem sobie czymś dodawać otuchy. I pomagało mi to wytrzymać siedzenie na słońcu.

W prawym dolnym rogu działu kryminalnego „Chronicle” znalazłem coś takiego:

Zabójstwo na odludziu. Trwają poszukiwania żony i córek zmarłego

W ubiegły czwartek dwaj chłopcy z Orange w Teksasie odkryli zwłoki Gary’ego Benoita w jego domu przy Big Lake Road. Według raportu koronera mężczyzna zmarł w wyniku postrzału w brzuch, a ciało zostało naruszone przez zwierzęta. Biuro szeryfa potwierdziło, że zwłoki musiały leżeć przez kilka dni, ponieważ zmarły nie miał sąsiadów ani pracy. Według nieoficjalnych informacji policja poszukuje żony ofiary, Charmane, w celu jej przesłuchania, trwają też próby ustalenia miejsca pobytu ich córek: nieletniej Tiffany oraz osiemnastoletniej Raquel.

Poczułem serce w gardle. Łzy Rocky nabrały nowego znaczenia. Przypomniałem sobie wstrzemięźliwość, z jaką w moim pokoju opowiadała o swoim życiu, jej nerwy i jękanie oraz szeroko otwarte oczy. Niektóre szaleństwa są gorsze od innych.

Właśnie dlatego tworzysz zasady, jesteś w ruchu i możesz w każdej chwili odejść. Zgniotłem gazety i wyrzuciłem do beczki po oleju ustawionej we wnęce między pokojami i służącej za kosz na śmieci. Resztki zdrowego rozsądku nakazywały mi się natychmiast zwijać, wyplątać z tej sytuacji.

I tak zrobiłem.

Wrzuciłem graty do worka, zgarnąłem skrzynkę i butelkę walkera. Spojrzałem przez okno, zaczekałem, aż okolica opustoszeje, a potem wrzuciłem rzeczy do auta i odjechałem z parkingu. Dopiero gdy miałem pewność, że motel zniknął z pola widzenia, spojrzałem w lusterko wsteczne.

Krew dudniła mi w skroniach, jakbym uciekał z więzienia, a do tego męczyło mnie trudne do określenia uczucie zawodu. Przyznaję, że było w tej dziewczynie coś, co poruszało

moją wyobraźnię, jakaś głupia nadzieja ulokowana w złym miejscu. Lekarstwo.

Koniec z tym.

Powiedziałem sobie, że to już nie ma znaczenia. Byłem tylko ja i Teksas. Ja i rak.

Kilka przecznic dalej wjechałem w boczną alejkę, zatrzymałem się i wyczyściłem odebrany jej pistolet i tłumik. Rozmontowałem wszystko i wyrzuciłem po kawałku do kilku koszy na śmieci.

Kiedy wjechałem na autostradę, ruszyłem czterdziestką na północ i udawałem, że nie wiem dlaczego.

W Teague byłem poważnie nawalony i moje przejście od myśli do czynów na tyle przyspieszyło, że zanim zdążyłem się pohamować, już rozmawiałem przez telefon. Od lat nie odwiedzałem Dallas, ale zapłaciłem kiedyś detektywowi, żeby ją odnalazł. Trzymałem te informacje w skrzynce, choć nie wiedziałem po co. Kiedy dotarłem do miasta, potwierdziłem w książce telefonicznej adres. Nazwisko jej męża. Dziś każdego można tam znaleźć.

– Przejeżdżałem tędy, serio. Pomyślałem, że zadzwonię... Wpadłem na Clyde'a w Beaumont. Powiedział, że tu mieszkasz, wyszłaś za mąż, super. Akurat byłem w pobliżu. Jesteś w książce telefonicznej... No. Niespodzianka... Nie, już się tym nie zajmuję. Głównie spawam. Należę do kilku związków. Robię na platformach w Galveston. Właśnie wracam. Przypomniało mi się, że tu mieszkasz. Mam trochę czasu... Posłuchaj, a może byśmy poszli na lunch? Nie, nie... Tak tylko się chciałem przywitać... Nie, już się tym nie zajmuję.

Okolice Brentwood, nafcjarze i pomniejsze gwiazdki, prezesi, politycy na częściowej emeryturze, żony grające w tenisa. Gdzieś tu mieszkał były mistrz wagi ciężkiej. Nad płotami z kutej stali i pieczołowicie przystrzyżoną roślinnością, z dala od ulicy, pyszniły się posiadłości zdobione blankami, otoczone dywanami jaskrawozielonej trawy przyciętej na centymetr i rosnącej po obu stronach długich, krętych kamiennych podjazdów o własnych nazwach. Granitowe fontanny. Korony dębów, przez które prześwitywały promienie słońca, zwieszały się nad chodnikami, a samochody prywatnej firmy ochroniarskiej patrolowały okolicę.

Czarne wozy ochrony z niebieskimi kogutami na dachach zwalniały za każdym razem, kiedy je mijałem.

Znalazłem adres i zaparkowałem pod dębem. W głębi dziedzińca, między zraszaczami, goniły się dzieci. Mniej więcej w wieku szkolnym. Włożyłem słomkowy kowbojski kapelusz oraz ciemne okulary, ale mimo to musiałem mrużyć oczy.

Jej dom wyglądał jak góra z czerwonej cegły. Białe gonty i kolumny zdobiły główne wejście. Po prawej stał garaż większy niż domy, w których mieszkałem w Metairie. Wypiłem całą whisky i z trudem łapałem oddech.

Dało się tu mieszkać? Co tu można ze sobą począć?

Zobaczyłem ją w kuchennym oknie i ścisnęło mnie w gardle.

Z bliska ściany miały delikatny, prawie różowy odcień, a pomalowane farbą okiennice ktoś pieczołowicie postarzył. Bluszcz piał się po murze jak wypielegnowana profesorska broda. Moje buty chrzęściły na zwirowanym podjeździe okalającym skalne oczko wodne, w którym zmieściłoby się dwoje ludzi.

Ciężkie drzwi z mosiężną kołatką w kształcie orlej głowy. Nie używałem kołatek. Zastukałem pięścią.

Odwaga w płynie, pijacka logika. Słyszałem kiedyś, że morświny są zdolne do samobójstwa, ale nie wiem, dlaczego przyszło mi to do głowy.

Stukot obcasów na terakocie. Otwieranie zamków, skrzypnięcie. Maskę wyrafinowanej uprzejmości na twarzy Loraine sprawiła, że poczułem się gorszy, podludzki.

Zdjąłem okulary. Drżała mi dolna powieka. Przyglądałem się, jak markotnieje na mój widok.

– Hmm – westchnęła. – Tak właśnie myślałam.

Figura jej się nie zmieniła, ale na szyi pojawiły jej się zmarszczki od słońca, włosy, które zawsze miały kolor klonu w pałdzierniku, ufarbowała na inny odcień. Ciemne spodnie opinające biodra i biała bluzka. Sznur pereł i spory pierścionek z diamentem, dodatek do obrączki. Wpatrując się w moją twarz, machinalnie przesuwiała naszyjnik między palcami.

– Wyglądasz zupełnie inaczej – powiedziała.

– Cześć, Loraine. Loraine. Hej.

Skierowała wzrok na moje usta, potem na brzuch, i znów spojrzała mi w oczy. Miała lekko zapadnięte policzki i drobne zmarszczki mimiczne. Wolałbym też, by kobiety umiały oprzeć się pokusie ścinania włosów na krótko, która dopada je po trzydziestce.

– Roy. No cóż. Dobry Boże. – Rzuciła okiem przez ramię, jakby ktoś za nią stał. – Mówiłam ci, że jestem zajęta.

– Chciałem tylko przez chwilę porozmawiać. Powiedz tylko, a sobie pójdę.

– Mówiłam, że jestem zajęta.

– Nie będę wchodził.

– Czego chcesz?

– Pogadać – wymamrotałem. – Nadrobić.

Wzruszyłem ramionami, jakbym sam nie wiedział.

Przyglądała mi się z mieszaniną irytacji i rozbawienia, a mnie dopadło wspomnienie jej ciała, prawdziwe jak nigdy, poczułem ciepło pod palcami i smak jej wilgoci. Wąska talia przechodząca łagodnie w krągłości tyłka, krwawa mapa rumieńców zakwitających w ekstazie. Skrawki obciętych paznokci w wannie. Pamiętałem, jak jej szeroka, zwężająca się przy podbródku twarz wyglądała od dołu, gdy ona – zdyszana i szeroko uśmiechnięta – leżąc, patrzyła w sufit. Te wspomnienia swędziały jak stara rana, były jak dreszcze w czasie choroby.

Rozejrzała się uważnie po podwórku, popatrzyła w okna sąsiadów, a mnie się zdawało, że czuję jej szyję, świeży, cytrynowy zapach.

Widziałem, że obmyśla, jak się mnie najszybciej pozbyć. Ale musiałem jej powiedzieć parę rzeczy. Byłem mocno wstawiony i musiałem z nią pogadać.

– Boże – zaśmiała się ponuro. – Wejdz do środka w takim razie. Nie chcę, żeby ktoś zobaczył takiego bandytę na moim progu. – Z westchnieniem przepuściła mnie w drzwiach. – Ale tylko na chwilę.

Pod wysokim sklepieniem ciągnął się długi korytarz, w wypolerowanych deskach podłogi mogłem się przejrzeć jak w lustrze. Mnóstwo czerwonych i złotych akcentów. Idąc za nią, napawałem oczy kształtem jej tyłka i czułem, jak opuszcza mnie napięcie tkwiące w żołądku niczym kula, gdy przypomniałem sobie posuwanie jej od tyłu i wpychanie kciuka w tę mniejszą dziurkę, tak jak lubiła. To było coś więcej niż obraz tkwiący w głowie. Pa-

miętałem to całym ciałem, wciąż mogłem to poczuć, jej śliski uścisk, smak w ustach. Uniosłem palec do nosa, jakbym się spodziewał znajomego zapachu.

Nad elegancką komodą wisiało lustro w pozłacanej ramie, a tu i ówdzie stały stoliki ze słojami albo wazonami, szkarłatne kwiaty. Korytarz przechodził w salon, z którego sklepienia zwieszał się niewielki żyrandol, a po lewej ciągnęły się schody na piętro. Ciężkie kanapy w barwach piasku i ziemi, dwa fotele obite skórą w czekoladowym odcieniu. Czuję się niezręcznie wśród tych rzeczy. Czuję się niezręcznie, patrząc na jej twarz, gdy odwróciła się w moją stronę.

Było mi głupio, ponieważ brukałem plamy światła, które wpadało przez okna z widokiem na pluszowy trawnik z basenem i metalowe meble ogrodowe, i zrozumiałem, że tak właśnie chciała żyć. I jak bardzo ja tu nie pasowałem.

– Widzę, że zmieniłaś zdanie w kwestii małżeństwa.

– Cóż, trzeba spotkać właściwego człowieka. – Uśmiechnęła się złośliwie. Stała na progu salonu z założonymi rękami. – Naprawdę nie rozumiem, co tu robisz.

Wbijałem wzrok w jej buty.

– Przejeżdżałem. Chyba byłem... To znaczy byłem bardzo ciekawy, jak ci się wiedzie.

– Chyba? Chyba po ilu? Jedenastu latach? – Usiadła na fotelu, założyła nogę na nogę i znów zaczęła międląc perły. Przechylała głowę, jakby ją to rozbawiło.

– Pewnie. Jak ci minęło tych jedenaście lat?

– Niech no pomyślę. Wspaniale. To tyle.

– Dobrze wyglądasz.

– Kiedy obciąłeś włosy?

– Całkiem niedawno.

– Jednak nie jesteś taki przystojny, jak mi się kiedyś wydawało.

– Często to słyszę.

– Strasznie się postarzałeś.

– Ciebie też to czeka.

– Piłeś?

– Eee. Nie.

Poczułem, jak pali mnie twarz. Nie wierzyła mi. Chciałem jej powiedzieć o swoich płucach, zyskać trochę współczucia. Potem mógłbym wyznać, po co przyszedłem.

– Roy, naprawdę nie możesz długo siedzieć. Mam mnóstwo roboty.

Zacisnąłem palce na marmurowej krawędzi stołu. Prymitywna część mojego umysłu podpowiadała, żeby zacząć się do niej dobierać, tu, na kanapie. Jasne, najpierw zapytać. Ale i tak.

– Nie zostanę – obiecałem. – Wyjdę.

– A więc?

– Pamiętasz... – Zamilkłem i wziąłem do ręki porcelanowego klauna, po czym odłożyłem go na miejsce. – Pamiętasz, jak pojechaliśmy na tydzień do Galveston? Chyba w siedemdziesiątym szóstym.

Zmierzyła mnie zmęczonym, nieco znudzonym spojrzeniem. Wyglądała jak Nancy, gdy

Lance próbował naciągnąć ją na wspominki.

– Myślałem o tym. O plaży. To był udany tydzień. Opowiadałaś mi o swojej siostrze i ojcu.

– Jezu. Zrobiłeś się sentymentalny, Roy. Koleś w średnim wieku tęskniący za przeszłością. – Potrząsnęła ze smutkiem głową. – Wolałam, gdy byłeś silny i mrukliwy. I wolałabym cię takiego pamiętać.

– Tak mi się przypomniało.

– I co w związku z tym, jeśli mogę zapytać?

Wzruszyłem ramionami. Pod wysokim sklepieniem odbijało się echo tykającego w rogu zegara. Na szafce telewizyjnej stało kilka zdjęć. Jej mąż o pyzatej twarzy i przerzedzonych włosach kojarzył się z przyjaznym, zadbanym terierkiem.

– Masz dzieci?

Znów zaczęła bawić się perłami.

– Za czym tak właściwie się stęskniłeś, Roy? Koniec był paskudny.

– Zwykle jest.

Wolałem odpowiedzieć na jej pytanie wspomnieniem zmierzchu w Galveston, gdy na jej nagie ciało leżące na brzuchu spływało przez okno jasnoniebieskie światło, przypomnieć prześcieradła na podłodze, chłodny wiatr niosący zapach krewetek i soli znad zatoki i intensywnej, słodką woń mojito, które przez cały tydzień dostarczało nam sił, oraz to, jak bardzo wydawało mi się to w a ż n e. Było to dla mnie tak prawdziwe, że czułem tamte smaki i zapachy, wypukłość jej kręgosłupa pod swoimi palcami.

Ale nie mogłem. Wiedziałem, jak głupi i żaloszny jest brak lepszych wspomnień.

Podszedłem do telewizora, żeby przyjrzeć się zdjęciom. Ona i jej mąż w kombinezonach narciarskich, uśmiechnięci, na tle ośnieżonej góry. Toast wznoszony przez nich na jakiejś plaży, o wiele bardziej błękitnej i tętniącej życiem niż ta nad zatoką.

– Opowiadałaś mu o mnie?

– Trochę. Ale tak. Wie o mnie wszystko.

– Pamiętam taki dzień. Zalaliśmy się mojito przed południem. Żarliśmy kraby. Nie mogliśmy się pozbyć tego zapachu. Śmialiśmy się, cali umazani sosem. Pijani. Bez zahamowań.

– No dobra, kowboju. Uspokój się.

– Potem się rozpadało i przez dwa dni nie wychodziliśmy. Kabłówka i pieprzenie się do utraty tchu.

– Tak, tak. Jestem kosmiczną dupą. Dzięki, Roy.

Usiadłem na fotelu naprzeciw niej. Skóra tapicerki piszczała przy najmniejszym ruchu.

– Nie mam całego dnia – powiedziała.

Nie potrafiłem ułożyć tego, co chciałem jej powiedzieć.

– Chodzi o to. Że wyjeżdżam. Opuszczam ten kraj. I to mi dało do myślenia. Był taki czas, nie, inaczej, teraz mi coś umknęło. Coś, czego nie znałem. – Nagle sobie uświadomiłem, jak bardzo jestem pijany. Na jej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania i współczucia, który znów sprowadził mnie do parteru. – Chciałem odzyskać te wspomnienia.

– Ale wspomnienia czego? Ciągłego ćpania? Albo tego, jak pobiłeś jakiegoś kowboja, bo powiedział mi „cześć”? Albo mojego rzygania krwią z przepicia? O tym mi właśnie mówisz. To pamiętam.

– Ale mieliśmy też, chyba mieliśmy, trochę uciechy.

– Och, Roy. – Zasłoniła usta dłonią i potrząsnęła głową. – Ja się ucieszyłam, kiedy trafiłeś do pudła.

– Moje życie dobiegło końca – powiedziałem.

Rozejrzała się wokół, jakby czuła się zażenowana moim zachowaniem.

– Mówiłem ci o Port Arthur. O czarnuchach w liceum. Mówiłem ci o sobie.

Westchnęła z rezygnacją.

– Mówiłeś, że jak mnie znalazłeś?

– Przez Clyde’a. Spotkałem go w Beaumont. Powiedział mi, że tu mieszkasz.

– Skąd o tym wiedział?

Wzruszyłem ramionami.

– Jezu – westchnęła. – Dopadły mnie stare grzechy.

Tykanie zegara brzmiało jak stukot szpilek kobiety, która w żółtym tempie spaceruje po marmurowej podłodze.

– Jestem umówiona. Jadę na spotkanie małej ligi, Roy.

– Ta noc, kiedy zostaliśmy na wydmach.

– Daj spokój. Poważnie.

– Tak się wtedy śmialiśmy. Nie pamiętam. Co nas wtedy tak rozbawiło?

– Weź się w garść, kowboju. Naprawdę. Trochę godności.

– Przez chwilę chciałem się zająć spawaniem. Pamiętasz. Miałem zamiar olać klub, tamtych gości. Pamiętam, że chciałem. To ty mnie powstrzymałaś. Podobało ci się, że robię to, co robię.

– Co z tego? Byłam dzieckiem.

– I całe to pieprzenie.

– Daruj sobie.

– Hej, to ty byłaś...

– Przeszłość nie istnieje, Roy.

Zamilkłem, zaskoczony jej uwagą.

– Posłuchaj mnie – poprosiła. – Przeszłość nie istnieje.

Poczułem się jak uderzony obuchem.

– Pamiętasz to, co chcesz – mówiła. – A ja pamiętam, jak wracałeś w zakrwawionej koszuli. Prosiłeś, żebym ukryła broń. Kiedy przez tydzień chodziłeś trzeźwy, gadałeś, że się zmienisz. A potem chlałeś trzy tygodnie. Nie było spotkania, które nie skończyłoby się jakimś kwasem. I te wszystkie rzeczy, które wygadywałeś. Szarpałeś mnie. Pamiętasz? Pamiętasz ciągle kłótnie? Byłeś zazdrosny o każdego, Roy. Wiecznie rozżalony. Dostawałeś szału, gdy ktoś czuł się szczęśliwy. Pamiętam, jak myślałam: „To jest najbardziej przerażony człowiek, jakiego znam”. I wiesz co? Poznałam gorszych. Ale i tak poczułam ulgę, gdy cię zwinęli.

– To co ci się we mnie w ogóle podobało?

Postukała się palcem o brodę.

– W zasadzie nie pamiętam. Pewnie siła, coś takiego – westchnęła. – Ale niewiele udało ci się dzięki niej osiągnąć.

– Nieczęsto mnie tak trafiało.

Oparła głowę na dłoniach, częściowo zakrywając twarz.

– Nie mam pojęcia, co ci się roi w głowie. Byłam głupim dzieckiem. Tyle. Popełniałam błędy. Twardziel. Och, ale towar. Byłam głupia. Jak dziecko. Kocham mojego męża. To dobry człowiek. Kocham nasze wspólne życie.

Wyglądała na złą i bezradną, rozbawienie zniknęło, jej ładna twarz zastygła. Odwróciła się do okna, a światło ponownie zmiękczyło jej rysy. Czuję się tak, jakby coś ze mnie wyciekało. Próbowałem to łapać, wspominając, jak siedzieliśmy na golasa ze skrzyżowanymi nogami na łóżku i graliśmy w karty, ale bez skutku, chciałem znaleźć sposób, żeby jej powiedzieć o czasie, o tym, jak ruch potrafi wszystko zagmatwać, jak potrafi człowieka zetrzeć, jak uniemożliwia wielu rzeczom pozostanie na dłużej.

– Co robi? – zapytałem. – Twój mąż.

– Dość tego. Chcę, żebyś się wyniósł.

Wstałem i podszedłem bliżej.

Zmierzyła mnie znudzonym, zmęczonym spojrzeniem i podniosła niewielkiego pilota.

– Widzisz to? Przywołuje chłopaków z Halliburtona, którzy krążą po okolicy.

Zgarbiłem się.

– Jezusie. Chciałem się tylko pożegnać.

– Na pewno.

Odprowadzając mnie, trzymała się kilka kroków z tyłu. Otworzyłem drzwi, wyszedłem na zewnątrz. Oślepiło mnie słońce. Spojrzałem na nią.

– Umieram.

– Jak wszyscy.

Drzwi zamknęły się z głuchym trzaskiem.

W aucie dostałem gwałtownego ataku kaszlu. Kiedy zapalałem silnik, dopadły mnie nudności, a ust ściekła mi strużka śliny z żółcią i kapnęła na siedzenie. W drodze na międzystanową minąłem dwa wozy ochrony. Wiedziałem, że przeszłość nie istnieje. Istniało tylko jej wyobrażenie, idea, a to, czego chciałem dotknąć, o co chciałem się otrzeć, uczucie, którego nie potrafiłem nazwać – stało się zupełnie nierzeczywiste. Ono też było tylko ideą.

Wydaje mi się, że trzeba bardzo ostrożnie sięgać do wspomnień.

Chodzi o to, i przyznaję się do tego, że wszystko, co się dotąd wydarzyło, nadal jest dla mnie ważne, może nawet ważniejsze. Coś jak paragon za życie.

Zatrzymałem się przed zjazdem na autostradę, a samochody wijące się po betonowej wstędze nad moją głową wypełniały powietrze głośnym szumem i szarymi kłębamii spalin.

Pomyślałem, że powinienem sobie zorganizować pokój i whisky. Mógłbym pić i palić

w jakimś motelu już zawsze.

Wiatr przyniósł ostry, żelazisty zapach i pomyślałem o Matildzie, starej czarnej kucharce z rodzinnego domu dziecka. Przygarbiona, z twarzą pomarszczoną jak orzech, przypominała ciemnobrązowego pajaka. Lubiła wystawiać się na słońce i nikt nigdy nie wiedział, co jej chodzi po głowie. Leczyła się tabaką i doprawiała sznapsami, robiła kaszankę z krwi, którą w wiadrach przynosili jej myśliwi, ojcowie i ich synowie, zjawiający się z posoką utoczoną z ofiar, a ja przyglądałem się tym mężczyznom i rozmyślałem, jak w ciszy przed wschodem słońca przemykają po trawie mokrej od rosy, jak synowie podążają za ojcami. Często dostawaliśmy kaszankę, a jej smak – jak opiłki żelaza zmieszane z płatkami kukurydzianymi – długo pozostawał mi ustach i był to ten sam smak, który poczułem, gdy opuściłem komisję poborową i wsiadłem do autobusu do Beaumont; smak, który towarzyszył mi, gdy znalazłem knajpę Robicheaux na Bagnach i zapytałem o Harpera.

Oblizalem wargi i patrzyłem na samochody wjeżdżające na autostradę, a smak w ustach przypomniiał mi o ciężkich promieniach słońca na skórze, zielonej gęstwinie, o cichym bzyczeniu, nieodłącznej części ciszy nad polami bawełny, o dłoniach poranionych cierniami, oślepiającym, brudnym pocie i dniach spędzonych na pochylaniu karku przy zbiorach.

W głowie zabrzmiał mi nagle śmiech Tiffany, ten, którym wybuchła, gdy wszedłem z nią między fale. Zobaczyłem również udręczoną twarz Rocky, przypominającą źle rozstawiony namiot targany gwałtownymi porywami wiatru.

Miałem wrażenie, że krążąca przy moim uchu ważka próbuje mi coś powiedzieć. Wieczorne powietrze było rozgrzane i czułem, jakbym oddychał popiołem. Szum samochodów brzmiał jak puls gigantycznej bestii, która mnie połknęła.

Amarillo to stacje benzynowe, magazyny i tanie speluny ze striptizem porozrzucane pomiędzy motelami przy pasażu, po którym hula wiatr. Można jechać całymi godzinami, a wciąż będzie się mijać równiny i pojedyncze wieże ciśnień oraz niewielkie kiwony poruszające się jak huśtawki. Przyglądałem się kierowcom i dziwkom snującym się w deszczu pomiędzy pralnią a stacją benzynową, przy której w świetle halogenów parkowały olbrzymie ciężarówki. Z jednej z nich wysiadła kobieta w bardzo wysoko upiętym koku i natychmiast wsiadła do sąsiedniej. Stałem przy oknie. Dziewczyna w pokoju mierzyła mnie skruszonym, przepraszającym spojrzeniem. Leżała na łóżku, widziałem w szybie jej odbicie.

– Coś jest nie tak? Niech pan powie, co mogę zrobić. Na co ma pan ochotę?

Mignęły mi przed oczami jej blada twarz i czarne włosy. Całkowicie nagi spoglądałem na zewnątrz i popijałem walkera.

Nie odpowiedziałem.

– To pewnie przez wódkę – stwierdziła.

Nie planowałem, że wyląduję z nią w pokoju, ale po całym dniu jazdy w złym kierunku noc zastała mnie w Amarillo. Wysepka jasnych świateł, bardziej parking dla ciężarówek niż wioska, z pralnią i stojącym naprzeciwko barem oraz parterowym motelem z pokojami do wynajęcia.

Najpierw zajrzałem do knajpy, ale odstraszyły mnie krzykliwy wystrój i załzawione oczy kelnerki, która zmaterializowała się w półmroku jak meduza wynurzająca się z najmroczniejszych głębin oceanu. Szum telewizora przywodził na myśl szelest zgniatanych w nieskończoność gazet. Gdy barman z półotwartymi ustami odwrócił się w moją stronę, na jego bezmyślną twarz padł promień złowróbnego błękitnego światła. W lokalu nikt nie pił.

Wyszedłem z powrotem na deszcz. Faceci w czapkach z daszkiem ciągal tam i z powrotem swoje olbrzymie brzuszyska. Zobaczyłem tę dziewczynę, gdy mijałem pralnię. Młoda, w wieku trudnym do określenia, spojrzała i powiodła za mną wzrokiem. Stała z założonymi rękami przed pralką i wyciągała szyję, w tej pozie wyglądała jak modliszka. Na szybę padał deszcz, a ja czułem się tak, jakby ława przysięgłych wskazała mnie palcami.

Na tyłach stacji benzynowej mieściła się niewielka restauracja z boksami i kilkoma stolikami, i to właśnie tam znalazło się paru facetów. Wielcy goście przypominający kształtem szyszki, w gaciach nisko wiszących na dupach, w dresach i dżinsowych ogrodniczkach. Ciemne okulary po zmroku. Kiedy wszedłem, spojrzeli w moją stronę. Nikt się nie śmiał, trwały poważne ciche rozmowy, ważne kwestie podkreślali gestami dłoni z papierosem. Jedni sączyli kawę i kopcili, kilku innych podawało sobie flaszkę burbona. Ci, którzy akurat mieli wolne ręce, co chwila sięgali do pudełka z precelkami.

Chwilę stałem w przejściu: półka z chipsami i suszoną wołowiną po lewej, leki bez recepty po prawej. Ostre światło miało księżycową barwę, ale było o wiele jaśniejsze. Faceci cały czas mierzyli mnie wzrokiem. Kobieta za ladą życzyła mi jak najgorzej. Za oknem

zobaczyłem tamtą dziewczynę, gapiła się na mnie przez szybę zalaną deszczem. Nie chciała odpuścić. Pytała, czy mam pieniądze. Tak to właśnie działa. Wystarczyło nawiązać kontakt wzrokowy.

Znów powiodłem spojrzeniem po facetach siedzących w barze, skrzywionej grubasce za ladą i poczułem oblepiające mnie wilgotne powietrze, a kiedy wyszedłem na zewnątrz, dziewczyna na mnie czekała. Staliśmy naprzeciw siebie i w milczeniu patrzyliśmy na siebie.

– Chce się pan zabawić? – spytała.

Zapytałem, czy ma pokój. Nie.

– A opiekuna?

Potrząsnęła głową i mocniej objęła się ramionami. Na jej kark kapąły ostatnie krople deszczu. Przestawało padać.

– Jestem sama – odpowiedziała. – Co pan myśli?

Uciekinierka. Bez szans w świecie alfonsów, psycholi i glin. Wyjąłem butelkę, upiłem łyk i poczęstowałem ją. Patrzyliśmy na facetów kręcących się przy pompach i kobiety wyskakujące od czasu do czasu z zaparkowanych ciężarówek. Często się zdarza, że uciekinierka nie wie, na co się pisze. Jeśli może, wraca do domu. Ale jest już za późno.

Spojrzałem na nią raz jeszcze, zastanawiając się, dlaczego tak dziwnie wygina szyję. Koścista twarz, zbyt duże i zbyt blisko osadzone oczy, trochę owadzie, i cera zdradzająca oznaki niedożywienia. Ale miała silne ramiona i zgrabną figurę. Była ubrana w dżinsową spódniczkę, czerwone rajstopy i czarną koszulkę na ramiączkach. Wielką torebkę tuliła do boku jak niemowlę. Odgarnęła z czoła mokre czarne włosy.

– Pójdziemy?

– Dobra – powiedziałem. – Chodź za mną.

Okazało się, że zupełnie nie mam na nią ochoty. Zależało mi tylko na towarzystwie. Próbowałem rozmawiać, poruszyć jakieś tematy. Ale miała w sobie zbyt wiele z dziwki, w ogóle się nie odzywała, tylko dobierała mi się do rozporka. Okazała się też młodsza, niż myślałem. Po chwili, kiedy ja się wkurzyłem, a ona zawstydzona, sięgnąłem po whisky i stanąłem nago przy oknie. Znów zaczęło padać.

– Po prostu niech mi pan powie, na co ma pan ochotę.

– Od jak dawna tu pracujesz? – zapytałem, choć nie wiedziałem, skąd mi to przyszło do głowy. Tydzień temu na pewno bym jej o to nie spytał.

Wyciągnęła się na łóżku, a jej odbicie w szybie wyglądało jak smuga białego dymu.

– Kilka dni. Wczoraj musiałam spać na ulicy.

– Tamte dziewczyny są niebezpieczne. Potną cię. Albo ich faceci.

Przykryła się kołdrą.

– Wkrótce się stąd zrywam. Jadę na zachód.

Moja twarz odbita w ciemnej szybie nakładała się na refleksy jej ciała i świat za oknem.

– Tam wszystko może wyglądać dokładnie tak samo.

– Nie chcę niczyjej łaski – powiedziała. – Sama na siebie zarabiam. Niech pan tu przyj-

dzie i powie mi, czego chce.

Kiedy nie odpowiedziałem ani się nie ruszyłem, przewróciła się na bok, skuliła i szczelnie owinęła kołdrą. Nie miała w sobie nic z Loraine czy Carmen, to był zwykły dzieciak przerażony miejscem, do którego trafił. Krople postukujące delikatnie o dach i zachlapane okno sprawiały, że robiłem się zgryźliwy, wiedziałem, że ona nie da sobie rady. Znałem jej przyszłość. Ubrałem się i podszedłem do drzwi, a ona, nie podnosząc głowy, warknęła:

– Kasa.

Położyłem kilka banknotów na klimatyzatorze i wsiadłem do auta. Zostawiłem jej swój pokój.

Przychodzisz na świat, a jakieś czterdzieści lat później wytaczasz się z knajpy i dziwią cię własne bolączki. Nikt cię nie zna. Jedziesz pogrążoną w ciemnościach autostradą i obierasz nowy kierunek, bo wiesz, że kluczem jest pozostawanie w ruchu. Pędzisz więc w stronę tego, czego jeszcze nie udało ci się stracić, choć nie masz pojęcia, co zamierzasz z tym zrobić.

Wiatr zawiewający z boku wzbija nad ulicą kłęby pyłu. Sage siedzi spokojnie i patrzy czujnym wzrokiem. Czekamy, aż ruch nieco zelżeje, żebyśmy mogli przejść na drugą stronę jezdni, minąć parking domu opieki i ruszyć Pabst Road w stronę motelu. Cecil wynajmuje pokoje na tydzień, a jedną z zalet mieszkania w tym miejscu jest pewność, że nie zostaniesz tu na długo.

Mieszkam tak od pięciu lat, śpię na rozkładanej kanapie, która mogłaby pomieścić dwie osoby. Kilka miesięcy temu padł mi telewizor, pod ścianą piętrzą się stosy książek ułożonych jedna na drugiej jak cegły, przyzwyczałem się do tego w więzieniu, nie potrzeba więc regałów.

Worek z krabami ląduje w umywalce i biorę się do karmienia Sage. Po jedzeniu zwija się w kłębek na swoim legowisku obok kanapy, a ja się zastanawiam, czy ten facet w jaguarze przyjechał sam, czy przywiózł ze sobą jakichś kumpli. Podkręcam klimatyzację, gaszę światło i o wpół do dziesiątej stawiam się w biurze kierownika motelu.

Cecil przegląda dział plotkarski w „USA Today”. Mieszka w biurze od rozwodu, choć jego była żona wyprowadziła się do Austin i zostawiła mu pusty dom. Ostatnio zaczął coś przebąkiwać, że go wynajmie i zostanie w biurze do chwili, aż znajdzie sobie nową dziewczynę. Dziś miałem zacząć tam malować.

Jest ode mnie ponad dwadzieścia lat młodszy, spod jego kołnierzyka wystaje fragment czarnego tatuażu. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych dorobił się na czymś w Waszyngtonie i szukając lepszej pogody, trafił ze swoją dziewczyną tutaj. W końcu się z nią ożenił, a ona jakiś czas później odeszła z didżejem z Austin. Od tego czasu powtarza, że lepiej by zrobił, gdyby wyjechał z nią na Florydę.

Kiedy mimo mojej więziennej przeszłości dał mi robotę, powiedział: „Właściwie nie spodziewałem się, że znajdę kogoś mówiącego po angielsku”. Zależało mu, żeby mieć kogoś stale pod ręką, posada obejmowała zatem także pokój, ale odkąd mieszka w motelu, nie potrzebuje zbyt często mojej pomocy. Pozwolił mi zatrzymać Sage, choć nie wolno tam trzymać zwierząt. Uważam go za porządnego gościa.

– Widziałeś, jak się ten huragan rozkręca? – pyta, przygryzając policzek.

– Jak co dwa lata we wrześniu. I wciąż nie wiadomo, co mają zamiar zrobić.

– Ano nie. Omawiają teraz wprowadzenie stanu klęski żywiołowej. Być może za jakiś dzień albo dwa każą się nam ewakuować.

– A kiedy tylko wszyscy wyjadą, huragan skończy się burzą nad Padre Island.

– I tak mnie to przeraża. Od czasu Nowego Orleanu.

– Słuchaj. – Oparłem się o ladę. – O co chodzi z tą wiadomością, którą mi zostawiłeś?

– A, tak. Gadałeś z tym gościem?

– Nie. Powiedz coś o nim.

– Taki raczej urzędas. Facet w garniturze, typ zawodowca. Ponurak. Pytał, czy się tu kręcisz. Po nazwisku. Chciał wiedzieć, czy pracuje tu Roy Cady.

Metal w mojej czaszce pulsuje bólem, a chaotyczne myśli towarzyszące mi przez cały ranek wyją z mocą syreny alarmowej.

– Byłem w Koniku Morskim. Zerwałem się wcześniej.

– Tak sobie pomyślałem. Ale nic mu nie mówiłem. Nie wiedziałem. Nie chciałem zostawić wiadomości. Coś mi w nim nie pasowało.

Przesuwa w moją stronę klucze od domu.

– W korytarzu jest dziura, mógłbyś ją załatać, jeśli miałbyś ochotę – mówi.

Jego brązowe włosy są za cienkie, żeby stawiać je na żel, a ciemne wory pod oczami mocno go postarzają.

– Farba jest w samochodzie. Kupiłem też szpachlówki do tej ściany, gdybyś chciał ją machnąć. Byłbym wdzięczny.

– Jasne.

– Myślałem o tym gościu – mówi, składając gazetę. – Miał w sobie coś... Coś jakby z komornika. Prawnicy biorą takich typów. Dlatego nie powiedziałem, gdzie możesz być.

– Nie mam u nikogo długów.

– No i super.

Włączył telewizor pod kontuarem.

Mam jednak inne długi.

– Jak on wyglądał? – spytałem.

– Tak jak mówiłem. Dość szeroki. Włosy zaczesane do tyłu. Raczej twardziel. Mam mu coś powiedzieć, gdyby znowu się pojawił?

– Wspominał, że wróci?

– Kiedy pytałem, czy mam coś przekazać, powiedział, że spróbuje wpaść później. To też mi się nie podobało. To jego zachowanie.

– Nic mu nie mów.

Gapi się na prognozę pogody i drapie po podbródku, więc zgarniam klucze i idę do wyjścia, ale zatrzymuję się w pół kroku.

– Powiedz mu, że mnie nie ma. Nawet jeśli będę. Daj znać, gdyby wrócił. Spróbuj się dowiedzieć o nazwisko.

– Znasz go?

– Nie mam pojęcia, kto to.

– Dobra. Nie zapomnisz o tej dziurze w korytarzu?

Idę do szopy, skąd wyciągam dwie wielkie płachty folii malarskiej, wałki i tacki na farbę i pakuję do ciężarówki Clive'a. Pożycz mi ją na czas roboty. Wciąż myślę o komornikach i dłużnikach oraz o facecie, który gadał przez telefon w jaguarze i informował szefów, że mnie znalazł, i nadal martwię się tym, czy spodziewać się jeszcze kogoś.

Przed odjazdem polewam podwórko wodą z węża. Widok pistoletowej końcówki wzbudza we mnie dreszcz przerażenia.

Moje dłonie drżą.

Opieram się plecami o szopę i wypalam połówkę skręta, mam nadzieję, że nie wpędzi mnie w paranoję, tylko uspokoi. Kończą się tak, że mam jedno i drugie: jestem całkowicie

pewien, że nadciąga zagłada, która przyniesie ból i upokorzenie, a jednocześnie ogarnia mnie buddyjski spokój wynikający z pogodzenia się z faktem, że cierpienie jest nieuniknione.

Może powinienem kupić broń.

Na górze wygrzebuję ze swojej szafy piętnastocentymetrowy nóż myśliwski z ząbkowanym ostrzem, który wygrałem kilka lat temu w karty. Przesuwam kciukiem wzdłuż ostrza. Jest nieco stępione, idę więc do szopy po kamień i ostrzę nóż tak długo, aż jest w stanie przeciąć opuszkę kciuka bez przyciskania. Wsuwam go do kieszeni bluzy, spoglądam na parking w poszukiwaniu czarnych jaguarów i schodzę do auta.

Wyjeżdżam wozem Cecila ze Spanish Grant i mijam zjazd na Point San Louis, na plażę ciągnące się daleko na zachodzie. Przy Lafitte's Cove wracam myślą do czasów brawury i ognisk nad morzem. Przypomina mi się również Rocky.

To chyba moja najdłuższa podróż od pięciu lat. Nie licząc nocnych wypadów do Najlepszych Pączków albo Konika Morskiego, kiedy musiałem mieć wokół siebie ludzi, żeby nie zapaść się na śmierć, zwykle nie ruszałem się z pokoju. Nawet kiedy zarządzono ewakuację z powodu huraganu, siedziałem u siebie i patrzyłem na liście niesione podmuchami szalonego wiatru i deszczu. Tłumię w sobie myśl, żeby ruszyć samochodem Cecila do Montany albo do Wyoming, albo może na Alaskę.

Chyba właśnie w tej chwili dociera do mnie, że nie będę uciekał.

Dom Cecila jest parterowy, ma podniesione fundamenty i ściany w kolorze wypłowiałego zboża, chaszcze dziko porastają podwórze. Przez roztrzęsione ręce i kulawą nogę rozładowanie materiałów zajmuje mi kilka minut. Dom jest pusty, a przez okna pozbawione zasłon wpadają wielkie snopy białego zakurzonego światła.

Rozkładałam folię i gazety, oklejam taśmą listwy podłogowe. Dziwnie się czuję w tych pustych pokojach pełnych światła. Jest takie jasne i złośliwe. To zdecydowanie dom, przestrzeń zbyt duża dla jednej osoby. Miejsce dla rodzin. Gdy krążę po pokojach, szurając lewą nogą, wchodzę w kolejne plamy światła słonecznego. Przypomina mi się to, co czytałem kiedyś o którymś wielkim malarzu. O tym, jak rodzaj światła wszystko zmienia – nie tylko to, co widzisz, ale i to, co czujesz, kiedy na to patrzysz.

Czytałem też, że niektórzy zawałowcy widzą rozbłysk ostrego białego światła, światła, które bije z wnętrza ich mózgu.

Tak bym opisał jasność tych pustych pomieszczeń.

Czekam na nich cały dzień. Każdy trzask zamykanych drzwi samochodu sprawia, że sięgam po nóż do kieszeni bluzy, a pod wieczór najpierw okrążam motel w poszukiwaniu czarnego jaguara, a dopiero potem rozładowuję graty, oddaję Cecilowi kluczyki i wracam do siebie.

Zdjęcie ogrodniczek to jak zwykle drobna potyczka ze sobą, lewe kolano nie lubi się zginać. Dopalam drugą połówkę mojego codziennego skręta, wkładam wiatrówkę i zabieram Sage na plażę.

W połowie schodów robię w tył zwrot i wracam po nóż.

Przy tej pogodzie nad morzem kręci się niewielu ludzi. Kilku z nich spogląda w moją

stronę, ale szybko odwracają wzrok. Rzucam żyrafkę w płyciznę, a Sage wpada za nią do wody. Kilka dzieciaków biegnie za nią ze śmiechem, kiedy wraca na brzeg. Pies zatrzymuje się u moich stóp, zauważają mnie, stają jak wryte. Mamy słońce za plecami, powietrze już nie parzy. Trójka małych sterczy u podnóża wydmy, przyglądają się Sage, mnie obrzucają uważnymi spojrzeniami. Pewnie próbują ustalić, czy zabawa z nią jest warta rozmowy ze mną.

– Jak on się wabi? – pyta w końcu najmniejszy blondasek.

– Ona. Sage.

– Gryzie?

– Czasem tak, czasem nie.

Mały spogląda na przyjaciół i zaczyna wdrapywać się na wydmy. Pozostała dwójka, dziewczyna i chłopak, starsi i wyżsi od niego, rusza ostrożnie za nim. Ludzie zbierają się z plaży, pakują rzeczy i porzucają zamki z piasku ulepione przez dzieci.

Tamtych troje kuca przy Sage, która kręci się w kółko i poddaje pieszczotom na sześć rąk. Wsłuchuję się w ich śmiech, trzymając dłoń na rękojeści noża, żeby nie wysunął się z kieszeni kurtki.

– Co się panu stało w oko? – pyta blondynek.

– Sutton! – strofuje go dziewczynka. – To niegrzeczne!

Uśmiecham się do niej i przypominam sobie inne dziecko.

– Nie szkodzi – mówię. – Miałem wypadek. Dawno temu.

– I dlatego ma pan taką buzię?

– Sutton!

Dziewczynka próbuje złapać Sage w objęcia, ale ona się wymyka, przechodzi pod jej brzuchem.

– Tak. To był ten sam wypadek.

– Bolało? – dopytuje chłopak.

– Nie pamiętam.

Wykonuję trzy rundki dookoła motelu, zaczynam sprawdzać ulice i parkingi trzy przecznice dalej, robiąc coraz mniejsze kółka, szukam jaguarów, facetów w wypasionych brykach, gości w ciemnych okularach, jakichkolwiek podejrzanych typów. Ściany motelu są pokryte beżową sztukaterią, budynek stoi na ceglanych fundamentach. U siebie wydobywam poranne kraby z worka leżącego w umywalce, wrzucam je do wrzątku, a powietrze uwięzione pod ich skorupami wydobywa się na zewnątrz z cichym, ludzkim piskiem.

Kiedy są gotowe, wyłączam palnik, ale nie jestem głodny. Z dnia na dzień coraz mniej jem. Jakbym nie potrzebował.

Roluję kolejnego skręta i biorę powieść o wspinaczce górskiej. Czasem czytanie pozwala zapomnieć o upływie czasu.

Mimo że od dwudziestu lat tkwię w nałogu czytania, nie stałem się przez to innym człowiekiem. Odkąd nie mogę pić, jest to najlepszy sposób na zabicie czasu.

Ale dziś to nie działa. Dziś książka sprawia, że pamiętam więcej. Przypominam sobie plecy Rocky pod moimi dłońmi, gdy tańczyliśmy w tej kowbojskiej spelunie w Angleton, światła parkietu. Kończę skręta i wrzucam kraba do miski Sage. Na zewnątrz szaleje gorący wiatr, ocean huczy.

Myślę o facecie w jaguarze i mam nadzieję, że najgorsze nadeszło. Wkładam kurtkę i wsuwam nóż za cholewkę.

W Koniku Morskim siedzą stali klienci, głównie robotnicy związkowi, kilku starych rybaków, czerwonych od soli poławiaczy krewetek; marynarze i ich kobiety garbią się wokół stołów zrobionych ze szpul po linach, z krokwi zwisają sieci, a na ścianie wiszą czaszka aligatora w okularach przeciwsłonecznych i prawie trzymetrowa, kuriozalnie rozciągnięta niszczuka. Ludzie rzucają orzeszki i łby langust płowemu labradorowi, który wyłania się spod stołu bilardowego i krąży wokół krzesła, gdy tylko ktoś zamówi jedzenie. Pachnie papryką, rybami, piwem, trocinami i nadmiarem perfum. Żarówki w Koniku znajdują się za iluminatorami ze szkłem, które rozszczepia światło tak, że na wszystkim kładą się cętki. Chłopaki z Paczków tu nie zaglądają, by nie narażać się na pokusy, ale miałem do tej knajpy tylko parę kroków i lubiłem się czasem upalić, a potem siedzieć przy barze ze szklanką mleka i paczką cameli. Przychodzili tu tylko biedacy i kłamcy.

– Odtłuszczone czy normalne? – pyta Sara.

– Normalne. Za kogo ty mnie masz.

Robi minę, jakbym zadzierał nosa. Pracuje tu przez sześć dni w tygodniu, jej grube ręce ciągle sięgają po coś z lodówki lub z baru, skubie wargę, gdy słucha ludzkich historii, i dogaduje dziadom chlejącym od rana do wieczora.

Twarze wzdłuż baru kryją się w cieniu albo z dziwnym przejęciem gapią się w telewizor za kontuarem. Ekran pokazuje komputerową mapę pogody: nad Zatoką Meksykańską, tuż obok wybrzeża Teksasu, krąży wir jaskrawej czerwieni i purpury, odcisk bożego palca. Wszyscy o tym gadają.

- Źle to wygląda.
- Nie dotrze do nas.
- Ale może.
- Nawet się nie zbliży. Mam przy sobie stowę. Załóż się.
- Spierdalaj. „Stowę”. Co ty w ogóle do mnie mówisz?

Ale huragan był bliżej, niż ktokolwiek chciał przyznać. Ike, tak na niego mówili. Łaskoczą mnie śruby w kościach, a ciśnienie pod czaszką zaczyna męczyć, więc zbieram się do wyjścia

Zatrzymuję się przy drzwiach. Zauważam go przez okratowane okno.

Czarny jaguar, ciemne okna, między fordem a japońskim maleństwem, naprzeciwno baru. Wysiada z niego facet w garniturze. Jest wielki i myślę, że tym razem nie będzie czekał, aż wyjdę.

Wycofuję się i kuśtykam korytarzem do tylnego wyjścia za ubikacjami. Idę dwie przecznice na wschód, zawracam inną drogą i znajduję sobie miejsce za budką telefoniczną, skąd obserwuję samochód na parkingu przed knajpą. Światła wjeżdżającej akurat ciężarówki pozwalają stwierdzić, że jaguar jest pusty.

Kucam, wyjmuję nóż z buta i chowam pod kurtką.

Mam zamiar wracać okreśną drogą do motelu. Mógłbym zgarnąć graty, wziąć Sage i złapać autobus do Carson City, Eureka Springs czy Billings. Ale gdy patrzę na ten wóz, wiem, że tak się nie stanie. Czuję rosnące zniecierpliwienie, czuję się znieważony. Irytuje mnie to już.

Niech to się skończy. Raz na zawsze, na ubitej ziemi. Nagle zaczyna mnie cieszyć myśl o szybkiej śmierci w ostatnim starciu. Ruszam w stronę samochodu.

Podchodzę od tyłu, kucam za bagażnikiem i podkradam się do tylnych drzwi po stronie kierowcy. Klamka ustępuje, więc pakuję się do środka. Szukam jakichś wskazówek, ale wewnątrz jest czyste, w samochodzie unosi się tylko mdląca woń wody kolońskiej. Kładę się i obserwuję. Chwilę później facet wychodzi z baru i rozgląda się po parkingu. Kiedy zajmuje miejsce za kierownicą i wtyka kluczyk do stacyjki, przytykam mu czubek noża do karku.

- Jezu!
- Odwróć się. Ręce na kierownicę.

Wykonuje polecenie, zaciskając mięsiste łapska na kółku, na palcach połyskują złote sygnety, włosy z tyłu głowy ma podgolone i wyrównane. Faktycznie jest wielki, samochód wypełnia się przesłodzoną wonią jego płynu po goleniu.

- Wy i te wasze makaroniarskie pachnidła – pryham.

Samochód jest zadbany, oświetla go zielony blask padający z deski rozdzielczej, tapicerka z gładkiej skóry, w radiu transmisja meczu towarzyskiego. Nachylam się i w mdłym świetle przyglądam się jego twarzy. Pulchna, kanciasta, w jej krzywiznach kryje się wrodzona arogancja. Nie znam go.

- Szukasz kogoś – mówię. – Nie odwracaj głowy.
- Roy Cady?

– Zamknij się. – Dociskam nóż do jego szyi. Jękniecie. – Mam dla ciebie wiadomość. Powiedz, żeby po mnie przyszli.

– Chwileczkę.

– Morda w kubek. – Krzywi się, gdy czubek noża utacza kroplę krwi. – Siedź cicho, szmacciarzu. Masz tylko przekazać wiadomość. Niech tu przyjdą. Jestem tu i zajebię ich na śmierć.

Raczej nie słyszysz, że mam roztrzęsiony głos. Drżenie dłoni powstrzymuję, zaciskając ją mocniej na rękojeści.

– Powiedz im, że czekam. Powiedz, że mogą się tu zwalić z całym cyrkiem.

– Zaczekaj...

Nie chcę tego słuchać, więc dźgam go, żeby się zamknął. Zaczynam się dusić w tym luksusowym wózku wypełnionym oparami perfum.

– Przekaż im, co powiedziałem. – Drugą ręką szukam klamki. – A jeśli cię jeszcze raz zobaczę, wykopię ci zęby przez mózg i powiem, że to było w samoobronie.

Wyskakuję z samochodu i tak szybko, jak umiem, kuśtykam w cień, facet w aucie coś do mnie woła, ale słowa giną na wietrze. Od łomoczącego serca bolą mnie żebra, metal w oczodole pulsuje. Trzymam się cieni i bocznych zaułków, omijam oświetlone miejsca, a gdy docieram do motelu, czarnego jaguara nie ma.

Gramolę się po schodach i zatrzasuję za sobą drzwi. Pokój cuchnie jak doki, skorupy krabów walają się na podłodze w kuchennej wnęce. Zdejmuję kurtkę i padam na kanapę, nie włączam światła. Sage patrzy ze swojego legowiska i popiskuje. Uznała, że gniewam się na nią za ten bajzel, więc drapię ją za uchem, żeby się uspokoiła.

Jedyne światło pada z lampki przy okapie nad kuchenką, siedzę na kanapie, gapię się w szary ekran telewizora i stosy książek pod ścianami i wodzę kciukiem po ostrzu noża, za każdym razem zacinając się nieco głębiej. Nie dosłyszałem, co krzyczał ten koleś.

Wyjmuję mostek i odkładam zęby do szklanki z płynem miętowym. Przyglądam się im przez chwilę, unoszą się i opadają jak duch.

Siedzę sztywno na kanapie, ostrzem noża drapię się mechanicznie w podbródek.

Patrzę na drzwi. Kiedy przyjdą, wyważą je kopniakiem.

Z kciuka kapie mi krew.

Wróciłem na wyspę w czwartek wczesnym popołudniem, trzy dni po wyjeździe. Taśma policyjna spod dwójki zniknęła, a obok drzwi stał wózek sprzątaczkowy. Nie było również wozu kempingowego, motocykl dzieciaka stał pod jego oknem. Po parkingu dreptały wyniosłe mewy, wyglądały jak księża.

Zapukałem do pokoju Rocky i Tiffany. Cisza.

W żołądku załęgło mi się ciężkie, obrzydliwe przecucie, myśli rozpoczęły gonitwę, plecy przeszył ból. Przeciąłem parking, a kiedy otwarłem drzwi do recepcji, usłyszałem melodyjną piosenkę. Na ekranie telewizora rozśpiewane animowane zwierzątka szyły sukienkę, wokół księżniczki uwijały się ptaszki i oplatały ją wstążeczkami. Rozchichotana Tiffany siedziała na podłodze i jadła płatki z miski, towarzyszyły jej Nonie, Dehra i Nancy.

Wszystkie na mnie spojrzały.

– Dzień dobry – powitała mnie zimno recepcjonistka.

– Cześć – dodała Dehra, a jej siostra pokiwała głową.

Nie odwróciły wzroku do telewizora, tylko nadal się na mnie gapiły. Tiffany mi pomachała i wróciła do kreskówki. Miała na sobie jasny dres, wyglądał na zupełnie nowy.

– Oglądamy to już dziesiąty raz – wyjaśniła Dehra i obie siostry prychnęły wymuszonym śmiechem, który sprawił, że wisząca w powietrzu atmosfera niechęci zgęstniała. Nie wyglądałem najlepiej: zaczerwienione oczy, wymęczona twarz.

– Gdzie Rocky? – zapytałem Nancy.

Siostry skupiły się na telewizji. Nancy przeszyła mnie ostrym spojrzeniem.

– Mówi, że chodzi do pracy. Ostatnio rzadko się tu kręci. Myślałam, że wiesz.

Oparłem się o ladę i pokręciłem głową.

– Pojechałem do znajomych. Znalazła pracę?

Odwróciła się i przez chwilę milczała.

– Chyba nie była pewna, czy wrócisz.

– To przecież oczywiste. Zapłaciłem za pokój. A jak dzieciak?

– Pieścidełko – rozczuliła się Dehra.

– Nasz skarbeniek. Taka kochaniutka – dodała Nancy. – Zasługuje na coś lepszego.

– Zgadza się – powiedziałem.

Nancy darowała sobie kolejne uwagi i patrzyliśmy, jak zasnana Tiffany ociera usta, wspina się na kolana Nonie i ziewa. Nancy podniosła się z kanapy i obeszała kontuar.

– Chodź – przywołała mnie cicho i ostro.

Wyszliśmy na zewnątrz, zatrzymując się w cieniu rzucanym przez wiatę. Spojrzałem na pokój Traya; pomięta folia, zaciągnięte zasłony.

Nancy zaciskała szczęki. Mierzyła mnie takim wzrokiem, jakbym ją obrabował.

– Powiem tyle – zaczęła. – Co jest z tą dziewczuchą? Nie potrzebuję tu takich rzeczy. Wcale. Nie toleruję tego.

– Niezbyt rozumiem.

– Miała jakiegoś chłopca w pokoju. Tej nocy, co pojechałeś. Dobra, nic takiego. Jej sprawa. – Podrapała się w zgięciu łokcia. – Ale wczoraj przychodzi Lance i się kaja. Mówi, że zaproponowała mu dobrą cenę. Że mnie przeprasza, że kocha, że nie chciał, ale jest słaby. I inne takie bzdury.

Jej zaciśnięte usta wyglądały jak bezkrwawa rana. Czujnie patrzyła mi w oczy.

– Nie miałem pojęcia, Nancy.

– Serio? Bo jeśli ty o tym nie wiesz, to kto wie? To znaczy nie rozumiem, jaki masz układ z tą dziewczyną, i szczerze mówiąc, nie chcę rozumieć, ale to na pewno nie jest twoja siostrzenica. A ta mała tam? Wyjątkowe dziecko. I zasługuje na coś dużo lepszego niż to, panie Robicheaux. – Skinęła głową w stronę biura. – Mała nie musi stać się kimś takim jak ta druga.

– Co było dalej? Po rozmowie z Lance'em?

– Nie robimy tego dla niej, rozumiesz. Ani dla ciebie. Normalnie wykopałabym jej dupsko na ulicę. A może i zadzwoniłabym po szeryfa. Ale nie. Tylko dlatego, że jest z wami ta mała.

– Ale co się stało? Potem.

Zaczęła się bawić kolczykiem.

– No tak. Idę z nią pogadać. Wścieka się i drze, wbiega do siebie. Wychodzi w miniówie, z upiętymi włosami, puka do Nonie i Dee, i pyta, czy może im zostawić małą, bo idzie do roboty. Ma pracę. Widzę to wszystko, bo się akurat przyglądam, jak Lance pakuje swoje graty.

– Gdzie ta praca?

– Jakaś restauracja przy plaży. Pirandello. Coś makaroniarskiego. Mówi, że jest kelnerką. I widziałam też, że kręci się przy tym koleśku spod ósemki, Jonesie. Pili razem. Podwiózł ją do roboty. Wiesz, ta dziewczyna nie umie chodzić w szpilkach. Ktoś jej powinien powiedzieć, żeby sobie odpuściła takie buty. Rzuciła mi wredne spojrzenie, ale ja mam wredniejsze. Poszła. Od tego czasu żeśmy jej nie widzieli. Nonie i Dee, rozumiesz, one naprawdę są szczęśliwe, gdy mogą się zajmować małą. Pewnie mają nadzieję, że cały czas będą mogły to robić. Ale po tym, co się zdarzyło tej rodzinie spod dwójki...? Cóż. Doszłam do wniosku, że powinnam się lepiej orientować, co się tu dzieje.

– Co za gównno.

Zastanawiałem się, jak ją udobruchać. Takie rzeczy zawsze przychodziły mi z trudem. Piekły mnie oczy i miałem sucho w gardle.

– Gównno to dobre określenie, Robicheaux. No dobra. Wiesz, że mogłabym zadzwonić po opiekę społeczną? Powiedzieć im, że ta mała została porzucona. Że jej siostra, czy kim tam jest, daje dupy, i wtedy ją zgarną. Mogłabym też powiedzieć, że ten wielki ochleń z paskudną mordą to jej alfons.

– To nieprawda.

– Co nieprawda? Skąd mam wiedzieć? Mówię tylko, co mogłabym zrobić. Zadzwonić do kogoś. I dobrze wiesz, czemu tego nie zrobiłam.

– Ta.

– Ta. Bo mała.

– Nic o tym nie wiedziałem. Przysięgam.

Wbiła wzrok w moją twarz.

– Kim wy jesteście?

Wyjąłem papierosa, poczęstowałem, ale odmówiła. Zapaliłem i oparłem się o ścianę, od jaskrawego światła bolała mnie głowa.

– Pomogłem jej się wyplątać z paskudnej sytuacji. Szczerze mówiąc, oboje byliśmy w paskudnej sytuacji. Nie znałem jej. Chciała, żeby ktoś podrzucił ją i jej siostrę do Teksasu. I tak jakoś z nimi zostałem, nie wiem czemu. Chyba chciałem przez chwilę mieć na nie oko. Nie wiem.

– Znakomita robota.

– Posłuchaj. Wiem, że żal ci tej małej, ale przysięgam, że miejsce, z którego pochodzi... sytuacja, w której się znajdowała? To było dużo, dużo gorsze. Widziałem jej dom.

– W to jestem w stanie uwierzyć. – Popatrzyła na moje buty i potarła ramiona. – Kuli się, gdy człowiek szybciej obok niej przejdzie. Zauważyłeś? Nerwowe dziecko.

– Tak. Zauważyłem, kiedy bawiłem się z nią na plaży.

– Spójrz mi w oczy, Robicheaux.

Spojrzałem.

– Jesteś alfonsem tej dziewczuchy albo coś?

– Nie. Nic z tych rzeczy. Próbowałem jej pomóc i tak wylądowałem tutaj.

– Mhm.

Rzuciła mi lodowate, oskarżające spojrzenie. Pomarszczona ruina twarzy. Łeb pulsował mi bólem i musiałem sobie przypomnieć, że nie pozwalam nikomu mówić do siebie w taki sposób.

– I co mam teraz robić? Co? Może mam wskoczyć do auta i je zostawić? W końcu to nie mój problem, tak? Sam mogę zadzwonić po opiekę. Zrobię to dla ciebie. Zgarną małą do domu dziecka. Będę miał to gównno z głowy. Mogę przecież powiedzieć, że podwiozłem jakąś wariatkę, która zostawiła mnie ze swoją małą siostrzyczką.

Uniosła podbródek i skrzyżowała ramiona, nie ruszyła się o krok, gdy na nią warczałem.

– Coś mi się zdaje, że wolałbyś nie gadać z szeryfem. Słyszałam, że mówiła do ciebie „Roy”. Tak myślę, że twoje nazwisko też nie jest prawdziwe, i jestem pewna, że za cholere byś nie chciał, żeby ktoś sprawdził twoje odciski palców.

Pstryknąłem petem na ziemię, fontanna iskieł przyciągnęła jakąś mewę.

– To może się stąd po prostu zwinę. Możesz wpakować Rocky do pudła, małą do domu dziecka, a ja nie będę miał nic wspólnego z tym gównem.

– Pewnie tak. Tyle że gdybyś chciał, już byś to zrobił. Może nawet próbowałeś. Ale nie wyszło.

Powiodłem wzrokiem po motelu.

– Nie chcesz jej zostawić – dodała. – Też polubiłeś tę małą.

Potarłem oczy i podniosłem ręce.

– Dobra. Przestańmy sobie wciskać kit.

Zaśmiała się cicho i nie bez złośliwości.

– Da się zrobić. Ale powiem jedno: cokolwiek się stanie, ktoś musi się zaopiekować tą dziewczynką.

Przytaknąłem. Oparci plecami o ścianę przyglądaliśmy się ptakom na parkingu. Pomiedzy budynkami szumiał ciepły wiatr, chmury piasku przesuwały się po betonie. W gęstniejącym powietrzu unosiła się woń oceanicznych alg.

– No i? – zapytała.

– Możesz jeszcze chwilę popilnować małej? Spróbuję znaleźć Rocky.

Zastanowiła się.

– Jak długo?

– Niedługo.

Podszedłem do drzwi ósemki, a kiedy się odwróciłem, Nancy wciąż na mnie patrzyła. Odczekałem, aż wróci do środka, i zapukałem.

Najpierw spojrział przez wizjer, a potem uchylił drzwi, i skrzywił się od słońca. Wepchnąłem się i zamknąłem za sobą. Był bez koszuli i się garbił, jego patyczkowate ramiona zwisały bezwładnie, jakby ważyły tonę. Ciemny pokój wypełniał smród papierosów i potu.

– Co tam, kowboju? – wymamrotał Tray i opadł na łóżko. Rozłożył ramiona i zagapił się w sufit. Miał rozedrgane powieki, a jego twarz pokrywała warstewka potu. Odlatywał. Naćpany. Wychudzony jak Chrystus.

– Wiesz, gdzie jest Rocky?

Słowa płynęły powoli.

– Mówiła... poszła do roboty.

– Co się między wami dzieje?

– Dzieje? – Usiadł i potarł twarz. Widziałem jego żebra i zarys wątlých mięśni. – Nic się nie dzieje, człowieku. Pogadaliśmy. Wypiliśmy piwo. Podwiozłem ją do roboty.

– Płaciłeś jej?

– Co? Stary... – Pokręcił z rozbawieniem głową, siedząc na brzegu łóżka. – Rzeźnika la-ski nie kręcą. Kumasz?

Podszedłem bliżej.

– Gdzie ją zawiozłeś?

Wciąż gapił się w podłogę, ręce zwiesił między nogami.

– Hm. Na koniec plaży. Tylko ją podwiozłem.

Ciuchy z worka walały się po podłodze, podobnie jak jego rysunki, i zauważyłem, że na stole leżały pootwierane książki.

Miałem już wyjść, ale się zatrzymałem.

– Skąd masz towar?

– Co?

– Skąd wzięłeś ćpanie? Wcześniej byłeś czysty.

– Oj. No wiesz. Jest wszędzie, jeśli trzeba.

– Zarobiłeś jakąś kasę?

Jego wzrok leniwie powędrował w moją stronę. Tray uśmiechnął się, wzruszając ra-

mionami.

– Myślałeś o tym, co ci mówiłem? – zapytał.

– Nie. Nie jestem zainteresowany.

– Hmm – przetoczył się po łóżku i wstał.

Wygrzebał z worka T-shirt, włożył, podszedł do zlewu, ochlapał wodą twarz i przeczeszał mokrymi dłońmi włosy.

– Widziałem, jak wyjeżdżałeś – powiedział.

Przyglądałem się, jak wsuwa na nogi tenisówki i rozgarnia papiery w poszukiwaniu papierosów. Zapalił, włączył lampę i usiadł, wypuszczając powoli chmurę dymu, jakby nigdzie mu się nie spieszyło. Nagle jego głos stał się trzeźwy, a teksański akcent gdzieś zniknął.

– Widziałem, jak wybiegłeś z gazetą w ręce. Patrzyłem przez wizjer. Wyrzuciłeś ją i odjechałeś.

Poczułem ciężar w piersiach, tak jakby tężał w nich beton.

– Znalazłem ją w śmieciach. Czytam sobie i nagle patrzę... przecież te dziewczyny z artykułu mają takie same imiona jak te tutaj. Skojarzyłem fakty. To proste.

Zazgrzytałem zębami, zacisnąłem pięści. Nie zauważył.

– Nie moja sprawa, stary. – Uniósł rękę. – Nie mam ci zamiaru w żaden sposób bruździć. Tak tylko mówię. Gdyby do tego doszło.

– Do czego doszło?

Pochylił się. Przyciągnął do siebie popielniczkę i strzepnął popiół, turlając końcówkę po żłobkowanej plastikowej krawędzi.

– Wiesz, stary, pracując bez partnera, ryzykuję, że prędzej czy później mnie dopadną. Jak nie gliny, to ktoś inny. Masz to? No, spójrz na to w ten sposób. Wyobraź sobie, że stoję w bransoletkach i się pocę przed gliniarzami. Zaczyna mi odbijać, wiesz, skręca mnie i nosi, chcę się wydostać. A gliny, te zaszrane mendy, to uwielbiają. No i taki jeden chce mnie dopaść od dłuższego czasu. Zmarnować mi przyszłość. Więc jestem w czarnej dupie, na głodzie, tracę głowę. Mogę spekać. Mogę im powiedzieć: „Hej, dajcie mi trochę luzu, zapomnijcie o tych oskarżeniach, a ja wam dam mordercę. Wiem coś o tych zaginionych siostrach”.

Świerzbiały mnie dłonie, za uszami coraz mocniej pulsowała mi krew. Tray zaczął się bawić nożem wygrzebanym spod papierów. Machał motylkiem w górę i w dół, żeby niewielkie ostrze błyskało w jego dłoni. Chciał mi pokazać, że potrafi o siebie zadbać. Potem dłubał ostrzem w zębach.

– Przemyśl to, stary. Tak tylko mówię. Naprawdę nie chcę ci bruździć. Mówię, zrobmy jakąś kasę. Ja pomogę tobie, ty mnie. A na koniec zgarniesz piętnaście kawałków. Zrobmy jakąś kasę. – Głos załamywał mu się co chwila, stawał się piskliwy, chłopak wciąż unikał mojego spojrzenia i wbijał wzrok w buty. – Albo obaj ryzykujemy.

Gapiałem się w jakiś punkt, wściekłość zniknęła, bo niemal zrobiło mi się go żal. Nie przemyślał tego. Nie znał mnie ani nie wiedział, w co się pakował, mówiąc mi takie rzeczy. Postukał papierosem w krawędź popielniczki, poprawił spodnie, podrapał się w ramię

i po głowie, wreszcie, z braku innego wyjścia, popatrzył na mnie. Miał niespokojny wzrok.

– I tyle, tak? – powiedziałem. – Skąd mam wiedzieć, że nie będziesz do tego wracał, kiedy ci pomogę? Skąd mogę mieć pewność, że nie będziesz tego w kółko wykorzystywał? Że nie założysz mi smyczy?

– Oj, stary. Właśnie o tym mówię. To nie o to chodzi. W ogóle. Przysługa za przysługę. Tylko tego chcę. I będziemy po równo.

Spojrzałem na czerwone mrówki paradyjące w ledwie widocznym szeregu przy listwie podłogowej, a moje westchnienie przesunęło leżące na biurku papiery, mapy i diagramy. Wiele kartek pokrywały gryzmoły w kształcie pentagramów, kozich łbów i rozkładanych noży.

– Chyba będziesz musiał mi zaufać, stary – ciągnął. – Ale jestem szczery. Nie ma tak, że mówię jedno, a robię drugie. Tylko się temu przyjrzyj. Wysłuchaj mnie. Zobacz, co wymyśliłem, daj mi opowiedzieć. Popatrz na to.

Siedzieliśmy nieruchomo, czułem, że ciepło bijące od folii zaklejającej okna staje się coraz słabsze i skądś wiedziałem, że na zewnątrz się ściemniło, jakby nad naszymi głowami zawisła chmura.

– Dobra – powiedziałem. – Ale to musi poczekać do wieczora. Najpierw znajdę Rocky.

– No tak. Dobra. Mówię ci.

Kiedy się uśmiechał, przestawał wyglądać jak dziecko – jego twarz pokrywały zmarszczki, a pokrzywione, drobne zęby wyglądały jak garść kamyków.

Wstałem.

– Pewnie nikt nas nie powinien widzieć razem. Spotkajmy się przy Circle K, przecnicę dalej. O ósmej.

– Bracie, ale masz paranoję. Nikt się tutaj o niczym nie dowie.

– Jeśli chcesz ze mną pracować, to zacznij uważać. I to od teraz.

– Dobra, dobra. Naprawdę jesteś taki jak Wilson, wiesz?

– Więc rób, co mówię.

Pożegnał mnie parodią salutu. Wyszedłem, nie oglądając się za siebie. Miałem rację: szare chmury wisiały nisko na niebie i sprawiały, że wyglądało ono jak góra widziana od spodu.

Znalazłem restaurację przy Dwudziestej Drugiej; pomiędzy serwisem silników do łodzi a targowiskiem. Pirandello zajmował parter kamienicy z brunatnego piaskowca, a wejście okalała kompozycja żarówek w kształcie płomieni. W poprzek przeszklonych drzwi biegł napis z nazwą lokalu wykonany kursywą, górne połowy okien były przysłonięte burgundowymi zasłonami. Na chodniku jakiś mężczyzna darł się na psa.

Gdy tylko stanąłem w drzwiach, podeszła do mnie kelnerka. Obsługa nosiła czarne spodnie lub spódniczki, białe eleganckie koszule i czarne muszki. Była siedemnasta. Dziewczyna powiedziała, że kuchnia już jest otwarta i spytała, czy chcę stolik. Jedną trzecią miejsc w sali okupowały kobiety w bluzkach obwieszane biżuterią, każda miała wysoko upięte włosy, jak to w Teksasie.

– Rocky w pracy?

– Kto?

– Rocky? Raquel? Taka mała blondynka. Prawdziwa, nie farbowana.

Zmarszczyła czoło, myśląc nad moim pytaniem, a potem popatrzyła na kartę gości.

– Chyba nie kojarzę.

– Nie pracuje tutaj?

– Jestem tu od kilku tygodni. Pewnie nie znam wszystkich.

– Ale znasz inne kelnerki, tak? Naprawdę jej nie widziałaś? Niewielka, takie jakby pie-rzaste włosy, bardzo ładna. Malutka.

– Wydaje mi się, że widziałam kogoś takiego raz czy dwa przy barze. Ale raczej tu nie pracuje.

Wskazała głową tył lokalu, gdzie ciągnął się długi elegancki bar obsługiwany przez faceta w kamizelce i zarękawkach na łokciach, takich, jakie noszono sto lat temu albo i wcześniej.

Był w moim wieku i miał skórę w kolorze rzeczno błota, a kiedy na mnie spojrzał, jego jasne brwi stały się praktycznie niewidoczne. Skinął mi głową. Precyzyjnymi ruchami przygotowywał właśnie kilka drinków dla czekającej kelnerki. Zwykle można ocenić stopień profesjonalizmu człowieka w każdym zawodzie, patrząc na to, co robi z rękami, czy ich ruchy są kontrolowane i dokładne, czy chaotyczne. Powitał mnie, a ja zamówiłem millera, zostawiając napiwek równy cenie piwa.

– Dziękuję. Spotkanko?

– Właściwie szukam jednej dziewczyny. Wydawało mi się, że tu pracuje.

Znów opisałem Rocky i znów nazwałem ją Raquel.

– Znasz ją? Krótkie blond włosy, prawie cytrynowe. Ładna, szczupła buzia. Mówiła, że tu pracuje.

Uniósł brew, a jego spalona słońcem skóra zmarszczyła się na czole. Pogładził się po równo przystrzyżonej bródce.

– Chyba wiem, o kogo ci chodzi, stary. Ale nie pracuje u nas. Pojawiła się parę razy,

siedziała przy barze. Czekwała, aż się ktoś przysiadzie. Palila i czekała, aż ktoś jej postawi coś do picia.

– Serio?

Znów pokiwał głową, jakby nieco rozbawiony.

– Jeśli szukasz towarzystwa, to znam parę dziewczyn. Mogę podzwonić, gdybyś chciał.

– Nie, tylko ta mnie interesuje.

– Cóż. Z tego, co pamiętam, była tu dwa razy. Kierownik mówił, że mam coś z tym zrobić. To raczej szanujący się lokal, wiesz.

Powiodłem wzrokiem po ścianach pomalowanych za pomocą gąbki i ozdobionych złotymi liśćmi, po modelu Koloseum i krzywej wieży z papier-mâché.

– To nie moja sprawa, ale powinna raczej próbować w którymś z hotelowych barów. To nie miejsce dla niej.

– W porządku.

Podniosłem się ze stołka i zostawiłem kolejną piątkę za rozmowę. Bez problemu wyobraziłem sobie, jak Rocky wchodzi tu po raz pierwszy i zamiast wypełnić podanie o pracę, od razu siada przy barze, zupełnie sama. Ktoś się przysiadła, ona obrzuca go spojrzeniem, bo doskonale wie, jak to zrobić, a kilka godzin później wraca do motelu, ma kasę i mówi wszystkim, że znalazła robotę.

Pokrzyżłem trochę po Harborside i Rosenberg Avenue, zmierzając w stronę bulwaru, przejechałem wolno wzdłuż plaży. Na szarym piachu kłębiły się tłumy, a wszystkie krawędzie jarzyły się ognistym blaskiem słońca, którego grube czerwone promienie wpadały przez przednią szybę do samochodu. Wciąż wypatrywałem tych charakterystycznych jasnych włosów. Na ławce na przystanku drzemał facet, twarz nakrył gazetą i podkulił nogi, kobiety w bikini chroniły się przed upałem, jakiś tłuścioch chodził z magnetofonem, z którego płynął teksański rock.

Jeden kawałek plaży okupowała młodzież. Szczupłe, opalone ciała tych ludzi, to, jak brali ten czas i sytuację za coś oczywistego, to, że czuli się do tego upoważnieni, wzbudzało we mnie lekkie rozzalenie. Nad ich głowami latało frisbee i wychodziło na to, że w świecie niektórych trwało wieczne południe; słuchając ich głosów i śmiechu, patrzyłem, jak gonią się po piasku, podobni do szczeniąt. Nie potrafiłem wyobrazić sobie wśród nich Rocky. Mnóstwo rzeczy nigdy nie będzie wyglądać tak, jak powinno.

W drodze do motelu zatrzymałem się przy sklepie, gdzie kupiłem wzmocnione worki na śmieci i dziesięć metrów grubej linki.

Zajrzałem do recepcji w Szmaragdowym Wybrzeżu, gdzie Dehra i Nancy grały przy stoliku w jakąś grę z Tiffany, która miała na sobie czystą żółtą lnianą sukienkę i wyglądała na wykapaną. Dziewczynka klasnęła, patrząc na toczącą się kostkę, podniosła głowę i pomachała mi na powitanie.

Nancy uniosła brew, a ja mogłem tylko pokręcić głową. Podeszła bliżej.

– Miałaś rację – powiedziałem. – Nie pracuje w tej knajpie. W ogóle nie pracowała. Nie wiem, co jest. Pojeździłem po okolicy, ale niczego nie widziałem.

– Jezusie, Maryjo i Józefie święty. – Oparła dłonie na biodrach. – I co teraz?

– Jak długo jeszcze mogą tu mieszkać? Nie pamiętam, za ile zapłaciłem.
– Jakoś do pojutra. Tak mi się zdaje.
– Założę się, że do tego czasu wróci.
– Och, serio?
– Na pewno wie, kiedy muszą się wyprowadzić. Wróci po małą. Jeśli nie, to zacznę szukać w innych motelach.
– Zakładasz, że nic jej nie jest? Że nic się jej nie stało?
– Zbyt krótko jej nie ma, by myśleć o takich rzeczach.
Nie chciałem tego jeszcze rozważyć.
Nancy zerknęła do biura. Zachodzące słońce schowało się za budynkami i okryło niebo fioletową mgiełką. Patrzyliśmy przez szybę na Tiffany pochłoniętą zabawą.
– Co jej chodzi po głowie tak w ogóle? Robić małej takie rzeczy. Co się z nią dzieje?
– Nie wiem. Wiesz, jak to jest. Są tacy ludzie. Zdarzają im się różne rzeczy. Zwykle w młodości. I nigdy im się nie poprawia.
– Ale niektórym tak.
– Chyba. Częściej jednak trafia się na tych pierwszych.
Przytaknęła i szurnęła nogą, wpatrując się w pusty papierowy kubek po kawie, który ktoś wyrzucił na parking. Toczył się tam i z powrotem. Pochyliłem głowę.
– Posłuchaj. Ta mała... Gdyby coś... Nie wiem... Zaopiekujesz się nią? Zrobisz to?
Wyprostowała się, jakbym ją czymś uraził.
– Słucham?
Dostrzegłem nagle motocykl Traya. Wieczór nadszedł niepostrzeżenie, a my staliśmy po-
grążeni w coraz głębszym smutku.
– Która godzina?
– Ósma za piętnaście. Co mówiłeś wcześniej?
– Nic. Muszę się z kimś spotkać.
– Znowu zostawiasz nam dziecko?
– Mogę ją ze sobą zabrać. Chyba. Ale masz do niej takie same prawa jak ja. – Podałem jej czterdzieści dolarów. – Trzymaj. Na jedzenie. Albo rozrywki. Jeśli Rocky nie wróci do jutra, coś wymyślę.
Bez wahania wzięła pieniądze, złożyła i wsunęła do kieszeni dzinsów.
– Ona nie zawsze jest szczęśliwa, wiesz o tym? Ta mała.
– Co?
– Tiffany. Nie zawsze się śmieje. Czasem się wścieka. Tak na serio. Płacze i rzuca je-
dzeniem. Pyta o tę drugą i znowu się wścieka. Odskakuje, gdy ktoś podejdzie zbyt szybko.
Mówiłam ci już.
Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc pokiwałem głową.

Rzeźnik Tray przyczał się za budką telefoniczną na stacji Circle K, garbił się jak człowiek smagany wiatrem. Widząc mój wóz, pomachał i podbiegł. Worki i lina leżały na pace. Otworzył drzwi.

- W porządku – powiedziałem.
- Chcesz zobaczyć miejscówkę?
- Jedźmy – westchnąłem.

Pokierował mnie w stronę Broadwayu i powiedział, że nie trzeba się spieszyć.

– Wszystko tak właściwie mają w magazynie. Jest też szatnia, gdzie wiszą ołowiane fartuchy i inne takie, ale za tym pomieszczeniem, w środku, jest szyb, którym się wychodziło na dach czy dokądś. Właz zabili na amen, ale między kondygnacjami jest trochę przestrzeni. Sprzątaczką wpuści mnie, jak będą zamykać. Posiedzę spokojnie tak do pierwszej, a potem wyjdę i zrobię te alarmy. Potrzebujemy jakiegoś furgonu. Musisz się tym zająć. Podjedziesz i załadujemy towar, góra dwadzieścia minut. Zawieziemy go do Houston. Biorę na siebie najgorszą robotę.

- Adres?
- Broadway czterdzieści pięć piętnaście.
- Jeszcze raz, kogo tam masz?
- Sprzątaczkę, człowieku. Kiedyś robiłem z jej bratem.
- Jakiś dojazd od tyłu? Ulica, zaułek?
- Ta. Pewnie. Skręć tutaj.

Jego kolana podskakiwały, dłońmi uderzał o uda, zagryzał dolną wargę. Przemyślałem wszystkie możliwe scenariusze naszych rozmów. Nawet jeśli akcja pójdzie gładko i wypchamy sobie kieszenie, tylko go to zachęci. Jego gadanina nie miała znaczenia, jedna z podstawowych zasad wszechświata mówi, żeby nie ufać ćpunom. Nie zapomniał, czego się dowiedział o Rocky i Tiffany.

Próbowałem o tym nie myśleć, bo za bardzo przypominał tamtą dziewczynę z motelu w Amarillo: nigdy nie złapie oddechu. Będzie tylko gorzej.

- W jakim domu dziecka się chowałeś? – zapytałem.
- Hm? A. Jaspers.
- Kazali wam zbierać bawełnę?
- Yyy... nie.

– Mnie kazali. Wywozili nas co roku, od sierpnia do października. Mówili na to Program Robót Społecznych.

- Hm.
- Dali cię do jakiejś rodziny?

– Ta – odpowiedział. – Kiedy miałem osiem lat. Okazali się w porządku. Ale potem się musieli przeprowadzić. Nie mogli mnie zabrać. On znalazł jakąś robotę. – Wskazał palcem przez przednią szybę. – To tu.

- Zaparkuję w sąsiedniej przecznicy. Podejdziemy od tyłu.
- Jasne. Nie ma sprawy.

Przecieliśmy zaułek, trzymając się cienia. Śmietnik, papierzyska smagane wiatrem. Żadnych okien. Wskazał mi klinikę.

- No, nie wiem. Jesteśmy dość na widoku.
- Ale to nie tu. Tam jest drugi zaułek. Rozładowują w nim towar.
- No, nie wiem – powtórzyłem.

Pozwoliłem, żeby prowadził. Wyjąłem z tylnej kieszeni spodni solidne robocze rękawice i wstrzymałem oddech, wciągając je na dłonie. Mogłem to załatwić na tysiące sposobów, ale chłopak był słaby jak kociak, więc powinno się udać. Zachowywałem całkowitą ciszę.

Podskoczył, kiedy zobaczył, jak blisko stoję. Za późno. Chwyciłem go za szyję. W jego oczach zobaczyłem nagłe zrozumienie i strach, wyszły mu z orbit jak podbiegłe krwią pęcherze.

- Ćśśś – powiedziałem.

Ta sama mina co zawsze. „Czekaj. Czekaj”.

Miotał się, ale ramiona miałem jakieś dwadzieścia centymetrów dłuższe. Jego twarz spurpurowiała, naczynka pod skórą zaczęły pękać, próbował sięgnąć po ten swój nożyk, ale motylek stuknął o ziemię, gdy zmiażdżyłem mu kciukami grdykę. Powieki zadrżały, oczy uciekły w tył głowy. Z charkotem uszły z niego resztki powietrza i puściły mu zwieracze. Wywalony jęzor przypominał tłustego, wymęczonego ślimaka.

Gdy kładłem go na ziemi, chciałem mu wszystko wyjaśnić, przekonać go, że to ze względu na dziewczyny. Choć niczego to nie zmieniło.

Sprawdziłem oba zaułki, gdzie światło latarni ginęło w mroku, i zaparkowałem samochód tak, żeby drzwi otwierały się na wylot z alejki. Wrzuciłem go na fotel pasażera i oparłem jego głowę o przyciemnioną szybę.

Planowałem wjechać w jakąś ciemną boczną uliczkę, owinać go w plastik i wrzucić na pakę. Ale oparty o drzwi wyglądał tak zwyczajnie, jakby po prostu przysnął, i pomimo smrodu gówna wypełniającego kabinę, wyjeżdżając z miasta, odnosiłem wrażenie, że jest między nami jakaś intymna więź.

Czułem wspólnotę doświadczeń. Tak jakby wiedział coś na temat pustych pól ciągnących się w nieskończoność, mieszkania w jednym pokoju, kawy podgrzewanej na kuchence elektrycznej i głosów nawołujących: „Zgasić światła”. Ja zaś byłem jedyną osobą zdolną pojąć jego przerażenie u kresu wszystkiego, kiedy znalazł się ze mną w tym zaułku.

I tak go wywiozłem, opartego o drzwi. Mojego nawalonego przyjaciela. Mojego ostatniego kumpla. Moje młodsze ja, takie słabe i nieostrożne.

La Porte leżało jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Galveston, a tutejsze moczary ciągnęły się aż do zatoki Galveston. Znałem to miejsce jeszcze z czasów roboty dla Sama Gina, byłem tu kilka razy. Dawno temu. Nic się nie zmieniło. Moczary zwane Marais du Chien, olbrzymia połać ciemnych niecek i grzęzawisk układających się w kręgi, otoczona labiryntem cyprysów, sosen i wierzb, w których roiło się od aligatorów, węży i niszczuk większych od kajaków. Zapuszczona droga na wale prowadziła do odseparowanego skrawka lasu otoczonego bagnem. Wszystko to wciąż tam było, tyle że jeszcze bardziej zarośnięte; przez gigantyczne trzciny, splątane pnącza i drzewa pokryte płaszczem kudzu las wyglądał jak żywy organizm, prehistoryczna istota, liściasta sylwetka odcinająca się na tle jaśniejszego kawałka nocnego nieba.

Zatrzymałem się między sosnami w pobliżu zakrętu, nie wyłączałem świateł. W jednym z plastikowych worków zrobiłem dziurę i włożyłem go przez głowę jak fryzjerski fartuch, a potem wywlokłem ciało z samochodu. Zabrałem klucze i portfel, zdjąłem mu koszulę i spodnie, a potem naciąłem skórę po wewnętrznej stronie jego stygnących ramion, skąd leniwie pociekła gęsta krew.

Miałem zamiar owinąć go w kilka worków i obwiązać liną, ale usłyszałem za plecami plusk. Kiedy wpatrzyłem się w ciemność, zauważyłem ogon aligatora zanurzający się pod wodę z cichym „chlup”. Gdzieś zatrzepotały skrzydła.

Zawlokłem go na wzniesienie przy zakręcie. Nawet jako bezwładny nieboszczyk ważył tyle co nic. Rzuciłem go przez ramię, zniknął z pluskiem w ciemnościach. Nasłuchiwałem szelestów i bulgotów, gdy zwierzęta ruszyły na rekonesans. Potem wpakowałem jego ciuchy do worka, związałem go i cisnąłem do bagna. Woda poniżej kotłowała się coraz głośniej.

W drodze z La Porte wywaliłem jego portfel do kosza na śmieci przy jakimś McDonalddie i zatrzymałem się przed pierwszym sklepem, żeby kupić flaszkę jima beama, którego nie znoszę, ale niczego innego nie mieli.

Rocky wciąż nie wróciła, światła w jej pokoju były pogaszone. Zajrzałem do nory Rzeźnika. Nie zostało po nim wiele, ale zgarnąłem ubrania i książki do worka, upewniłem się, że na zewnątrz nikogo nie ma, i wywaliłem to wszystko do śmietnika przecnicę dalej.

Wróciłem do siebie, wziąłem prysznic, zmieniłem ubranie i usiadłem na wprost ciemnego okna. Z drżącymi kolanami i zaciśniętymi pięściami popijałem whisky i paliłem papierosy.

W okolicach pierwszej mrok na parkingu przecięły reflektory długiego, ciemnego cadillaca. Tego rodzaju wózki raczej się tu nie pojawiały. Przyciemnione okna i cichy warkot silnika, w którym skrywała się olbrzymia moc.

Rocky wysiadła od strony pasażera. Zachwiała się troszkę na wysokich obcasach i wyglądało na to, że ma na sobie nową sukienkę, coś jakby ze skóry zebry, ciasno opinającą jej kształty. Zamknęła drzwi i się zatoczyła, a gdy samochód odjeżdżał, zmrużyła oczy przed

blaskiem światel, a potem zasłoniła dłonią usta na widok mojego wozu.

Kiedy otworzyłem drzwi, miała zadowoloną, otumanioną minę, która natychmiast zniknęła, gdy się zbliżyłem. Z jej ust wydobyło się jedynie wystraszone, piskliwe „Roy”.

Złapałem ją za nadgarstki i wciągnąłem do środka.

Rzuciłem na ziemię. Upadła na kolana, uderzając nieco teatralnie głową o materac. Zamknąłem drzwi kopniakiem. Zaciągnąłem zasłony.

– Roy! Zaczekaj! – Cofnęła się o kilka centymetrów. – Zaczekaj.

Jedno ramiączko sukienki opadło, dół się podwinął, odsłaniając szare sińce na jej udzie.

– Nie powinnaś się malować – powiedziałem. – Nie umiesz. Wyglądasz idiotycznie.

Chciała coś powiedzieć, gdy zdejmowałem pasek od spodni, ale kiedy spojrzała mi w oczy, jej głos zamarł, a źrenice rozszerzyły się ze strachu na widok sprzączki. Inaczej to sobie wyobrażała, myślała, że będzie mogła wyjaśnić, zwyzywać mnie i jakoś się z tego wykręci.

– Myślałam, że zniknąłeś – wyjąkała.

Podniosłem ją za włosy i trzymałem tak, że musiała balansować na czubkach palców, po jej szczupłej twarzy ciekły łzy.

Nie odrywałem od niej wzroku. Zapuchnięty, czerwony nos, szkliste spojrzenie przestraszonych oczu, białka nabiegłe krwią. Pewnie nadal na haju. Szlochała.

Uderzenie w policzek rzuciło ją na łóżko.

– Ten gość! – jęknęła. – Tray! Powiedział mi, że wiesz. Pokazał mi gazetę!

– Moje życie – odpowiedziałem. – Życie tej małej. Opowiadałaś mu o nas?

– Co? Nie...

Strzeliłem paskiem trzymanym w obu dłoniach.

– Roy, Roy – wymamrotała, wyciągając przed siebie dłonie. – Ten koleś się o ciebie wypytywał. Od razu, jak tylko go spotkałam, pytał o ciebie, wtedy, rano, jak tu przyjechalismy. Powiedziałam mu, że jesteś twardzielem, naszym wujkiem, takim groźnym. I tyle. Myślałam, że wyjechałeś. Przyniósł mi piwo. Nic mu nie mówiłam. Pokazał mi tę... tę gazetę...

– A ta cała gadka o szczerości? Nie wpadłaś na to, żeby wspomnieć, że popełniłaś morderstwo?

Potrząsnęła głową i wlepiła wzrok w podłogę.

– Ty nie... On... on...

– Zrobiłaś ze mnie współnika. A na dodatek ta mała.

Znów potrząsnęła głową.

– I wystarczyło, że wyszedłem za próg, żebyś zaczęła się kurwić.

– Za próg? Myślałam, że zniknąłeś. Nic nie powiedziałeś. Zwiąłeś. A potem ten Tray przyniósł piwo i powiedział, że widział, jak zabierałeś swoje graty. Musiałam skądś wziąć kasę. Co niby miałam zrobić? I co cię to obchodzi? – Była zbyt nieprzytomna, żeby wstać,

głowa jej opadała, słowa więzły w ustach.

– Gdzie się dorobiłaś tych siniaków?

Obciągnęła sukienkę, skrzyżowała nogi i wzruszyła ramionami.

– W tym samym miejscu, gdzie zarabiasz na ciuchy?

Nagle przeciągle jęknęła, jakby nie potrafiła złapać oddechu, i pochyliła się gwałtownie, chowając twarz między kolanami, zatrzęsała się.

– Boże, jestem tępym skurwielem. – Kucnąłem obok niej i zakołysałem kłamrą paska przed jej oczami. – To nie miałoby znaczenia, ale jest z tobą ta mała. Zabrałaś ją z domu, a teraz pakujesz w coś takiego. Mnie też. A jeśli cię wsadzą za dawanie dupy? Pomyślałaś o tym? Kurwa, chyba wiesz, że to nielegalne, tak? Olać już godność, bezpieczeństwo i resztę tego gówna – ale co ty, kurwa, wyprawiasz?

Złapałem ją za brodę mocno i zmusiłem, żeby spojrzała w górę. Jej nozdrza pulsowały, w oczach sparaliżowanych strachem płonęła gorączka, która jak dla mnie zdradzała ledwie hamowany prawdziwy obłęd.

– Ta kobieta stąd. Podnieś głowę. Patrz na mnie. Ta kobieta chce zadzwonić po gliny. I do opieki społecznej, żeby zabrali Tiffany. Powie, że jakaś kurwa porzuciła tu dziecko. Wiesz, co się wtedy stanie z Tiffany? Wiesz, jak wygląda dom dziecka? Słuchasz mnie? Patrz na mnie. To nie czas, żebyś się teraz rozklejała, głupia cipo.

Odwróciła wzrok i potrząsnęła głową. Cały czas powtarzała „nie, nie, nie”.

– Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam!

– Skończ z tym. Mam to gdzieś. Rozpieprzasz sobie życie i udajesz, że jesteś za głupia, żeby to zauważyć.

Patrzyłem na nią z nienawiścią, aż przestała szlochać. Podniosłem ją za rękę.

– Spójrz na mnie. Powiedz mi, co ty wyprawiasz.

– Nie chciałam. To znaczy pogubiłam się.

– Z Lance'em? O co ci chodziło? Co się stało w Nowym Orleanie? Kim był koleś w twoim pokoju?

– A co ja...? – syknęła wściekle. – Jak miałam się nią zająć? Co? Potrzebujemy pieniędzy, Roy. A ty zniknąłeś! – Wytarła nos i poprawiła sukienkę. – Wiedziałam, że z nami nie zostaniesz. Co mogłam zrobić? I dlaczego cię to w ogóle obchodzi? Miałam wyjście?

– Jest kilkaset innych rozwiązań niż kurwienie się. Co to za gość? Ten z cadillaca?

– Jakiś tam. Poznałam go przedwczoraj. Siedział w mieście od paru dni i szukał towarzystwa. Dobrze płacił. Mogłam kupić jedzenie, wynająć pokój na następny tydzień. Znaleźć sobie jakieś ubrania.

– Popatrz na siebie.

– Myślisz, że mnie to obchodzi?

– Nie. Chyba nie wiem, co cię obchodzi. Nie mogę sobie tego wyobrazić. Spójrz na siebie. Jesteś naćpana.

– Nie. Ja nie...

Znów zaczęła szlochać i czkać. Zwinęła się na łóżku i schowała głowę w dłoniach.

– Szlag by cię, Rocky. A mogło być dobrze.

– Gdzie zniknąłeś? Dokąd pojechałeś?

– A, teraz to moja wina. Nie musiałem już się z tobą trzymać. Kapujesz?

– Wszystko jedno.

Owinałem pasek wokół dłoni i stanąłem nad nią. W świetle pojedynczej lampy rzucającej długie, wąskie cienie jej twarz miała makabryczny wyraz. Zapach soli i seksu, wilgotny, piżmowy. Zaskrzypiała skóra owinięta wokół moich palców. Nie chciałem tego, ale to jak karanie psa, którego się kocha.

Trzeba go wytresować; to wstyd, że te głupie zwierzęta tylko tak się uczą.

Atak kaszlu dopadł mnie jak postrzał z dwururki, uderzył z całej siły w pierś. Zgiąłem się w pół i odcharknąłem, wypluwając krew.

Przed oczami rozbłysły mi gwiazdy, w głowie wirowało. Nie umiałem złapać tchu i osunąłem się na kolana. Ból był przepotworny, każde swoje szcęknięcie czułem jak cios kafarem w pierś. Bolały mnie żebra, miałem obite wnętrzności, światła tańczyły przed oczami, tak jakby sama śmierć maszerowała przez miękką tkankę moich płuc, wybijając rytm kaszlu swoim kosturem.

– Roy? – Podpełzła bliżej mnie. – Roy? Co jest, chłopie? Czy ty...? Mam gdzieś zadzwonić?

Sięgnąłem przed siebie, aby ją powstrzymać. Złapałem jej rękę i trzymałem ją w zbyt silnym uścisku, jak kotwicę, wstrząsany kolejnymi atakami – charczenia, rżenia i kaszlu – a ona nie starała się uwolnić. Ścisnęła moją rękę obiema dłońmi, nawet gdy mi już przeszło.

Potrzebowałem czasu, żeby się pozbierać, a kiedy mi się to w końcu udało, twarz miałem mokrą od łez i smarków. Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że wyczuwa mój strach.

Otarłem usta, nie było na nich krwi.

– Ile to jeszcze potrwa? – wycharczałem jak staruch, który nałykał się wybielacza. – Ile? Co?

– Przestań. Po prostu zostań z nami, człowieku. Nie mogę... – Otarła twarz, znów ścisnęła moją dłoń, tym razem mocniej, i puściła.

– Chryste.

Pomasowała wnętrze dłoni palcami drugiej ręki i spojrzała na mnie niespokojnie.

– Nie powinieneś iść do lekarza?

– Potrzeba ci pogodyni, żeby wiedzieć, czy leje?

– No, ale jesteś chory, tak? Wiem, że mam ci nie przypominać. Tylko nic z tym nie robisz. Chlejesz. Palisz.

– To, na co choruję... Z tego się nie da wyzdrowieć.

– Roy... – Skrzywiła się jak dziecko, które powoli zaczyna rozumieć, że istnieją złe wieści. – Tam, w Orange... Ja... ja...

Zaczęła się jąkać tak bardzo, że zakryła usta.

– Uspokój się. Nic ci nie będzie. Nie mogą tego z tobą połączyć. Pozbyłem się tej spluwy.

Wbiła wzrok w swoje kolana i znów zaczęła płakać, ale tym razem inaczej, bardziej ze

smutku.

– Ej. Już po wszystkim. Koniec. Nikt ci tego nie wyciągnie. Musisz tylko sama to jakoś ogarnąć.

– Ja... – Potrząsnęła nagle głową. – Nie. On ciągle powtarzał, że to moja wina...

Na jej twarzy pojawiły się smutek i wstyd i przez chwilę znów była małą dziewczynką, mogłem poczuć, jak mocno się nienawidzi.

– Nie mam wątpliwości, że sobie zasłużył. Rozumiesz? Żadnych. Gdybyś mi o wszystkim powiedziała, pewnie sam bym to zrobił. Ale to nie ma znaczenia. Stało się. Trzeba o tym zapomnieć.

Wstałem i pomogłem jej się podnieść, a gdy oparłem dłonie na jej ramionach, wtuliła głowę w moją pierś i znów się rozplakała.

– Tak to już jest z tymi rzeczami. Niczego nie musisz czuć. Możesz mówić o tym, co czujesz, a czego nie. Przemilczeć to, co chcesz. Możesz odpuścić, jeśli coś się nie sprawdza.

Objęła mnie ramionami, zwinnymi i silnymi.

– Wierysz w piekło, Roy?

– Nie – odpowiedziałem. – Jeśli nie liczyć tego tu. Na ziemi.

– Muszę się zająć Tiffany. Powinnam...

– Pogadam z Nancy. Dlatego nigdzie nie zadzwoniła, że wszystkie zakochały się w Tiff na amen.

– Wiem. To prawda. O tym właśnie myślałam, Roy, to znaczy widziałam je, wiedziałam, że nie pozwolą jej skrzywdzić ani...

– Nie możesz tak robić.

– Nie. Wiem.

Zachwiała się, więc posadziłem ją na krześle. Wciąż musiała się przed kimś wygadać.

– Opowiedz mi o nim – powiedziałem.

Pokręciła głową.

– Nie chcę.

Zastanowiłem się przez chwilę.

– Ona nie jest twoją siostrą, prawda?

Spojrzała na mnie zaskoczona, a potem pochyliła się i znów wybuchła płaczem.

– W porządku – powiedziałem. – Wszystko jest w porządku.

– A ja ją zostawiłam. Porzuciłam ją.

Pozostawiłem to bez odpowiedzi, żeby złapała oddech. Masowałem dłonią własną pierś i czekałem.

Kiedy znów się odezwała, głos miała spokojny i uderzająco trzeźwy.

– Chorowałam, kiedy się to stało. Jej nie było, mamy, znaczy. Czasem zniknęła na parę dni dorabiać na zjazdach albo czymś tam. Wtedy też pojechała. Przeziębiliśmy się albo coś po nocy spędzonej pod estakadą. Ale to inna historia. Dostałam gorączki i nie mogłam wychodzić z łóżka. Zostałam sama z Garym, przeniósł telewizor do mojego pokoju i pamiętam, że pomyślałam, że to miłe z jego strony. Nie mieliśmy lekarstw, a on pociągał ze swojej butelki. Mówił, że to dobre na przeziębienie. Że kiedy on albo któryś z jego braci cho-

rowali, matka dawała im trochę whisky. Więc siedzieliśmy przed telewizorem, a on co jakiś czas polewał mi odrobinę do papierowego kubeczka. Pamiętam, że był papierowy. Chwilę później czułam się lepiej, poweselałam, zapomniałam o chorobie. On opowiadał dowcipy albo śmialiśmy się z tego, co leciało w telewizji. Zrobiło się ciemno, tylko kilka świec i ten telewizor, on siedział obok na łóżku, a ja czułam się tak dobrze, że wcale mi to nie przeszkadzało. Ale taki był tłusty, że łóżko się pod nim ugięło, i kiedy mi się przysnęło, sturlałam się na niego. Potem nie wiem, w nocy się obudziłam, chociaż chyba już wcześniej musiałam nie spać. Nie mam pojęcia, jak to się stało. Ale otwierałam oczy i to się właśnie działo. Leżał na mnie. – Potrzęsnęła głową z zakłopotaniem, jakby opowiadała cudzą historię. – Olbrzymi spaślak. Dusiałam się. Miał jakieś czyraki na ramionach, wielkie czerwone pryszczki i śmierdział błotem, jak langusty.

Pomyślałem o rzeczach, których nie sposób przetrwać, nawet jeśli cię nie zabiją.

Dziewczyna mówiła dalej:

– Tak czy siak, kiedy mama wróciła... Nie wiem. Musiał jej powiedzieć albo coś. Że to moja wina albo jakoś tak. Zaczęła mnie traktować inaczej. Za każdym razem, kiedy go widziałam, chciałam wrzeszczeć. Nie wiedziałam, co się dzieje. Nie miałam o niczym pojęcia. Zaczęłam grubnąć i wtedy mama odeszła. A Gary powiedział, że to dobrze. Mógł się wystarać o zapomogę. – Podparła brodę dłońmi. – Zrobiłam się taka wielka, że nie mogłam wyjść z domu. Dopiero na sam koniec zawiózł mnie do szpitala.

Pochyliłem się.

– Wróć do siebie. Wykap się, cokolwiek. Odpręż, uspokój. Pozbieraj myśli. To, czym się zajmowałaś, już się skończyło.

– O czym ty...

– Zostaję tutaj, w pokoju. Też miałem ciężką noc. Rano pogadam z Nancy, coś wymyślę. Ale nie możemy tu zostać. Musimy spadać.

– Dobrze. Dobrze. Przepraszam.

– Daj spokój.

– Przepraszam, że musiałeś tego wysłuchać.

Otwarłem drzwi i wyszła, ale zatrzymała się na chwilę, widząc motor Traya wciąż stojący na parkingu. Spojrzała na mnie przez ramię. Milczałem. Z progu patrzyłem, jak wchodzi do swojego pokoju i odwraca się, żeby jeszcze raz na mnie spojrzeć, jakby się bała, że zniknę, a potem zamknęła drzwi.

Jakiś czas spędziłem na myśleniu, co dalej. Chciałem, żeby dziewczyny miały jakieś pieniądze. Rocky przepełniał pochodzący z doświadczenia lęk przed brakiem środków do życia.

Może i tak będzie robić to samo, co dotychczas. Nie byłem pewien, czy to takie ważne.

Podrapałem się po torsie, wciąż obolałym od ostrego kaszlu.

Choroba zmuszała mnie do pośpiechu. Gdybym miał przed sobą całe życie, mógłbym trochę przypilnować tych dziewczyn, postarać się wyprowadzić je na prostą. Ale tak długo nie pociągnę.

Obserwowałem dym z papierosa, który snuł się po odłóżkowej tapecie, a im mniej zosta-

wało w butelce, tym bardziej intuicyjne i szalone stawały się moje myśli, aż w końcu zrodził się z nich plan.

Wygrzebałem teczkę z domu Sienkiewicza.

Przegadałem sprawy z Nancy i wydawała się tymczasowo zadowolona, że zajmiemy się potrzebami Tiffany i opieką nad nią. Powiedziałem, że wyjeżdżamy. Szedłem właśnie do wyjścia, kiedy zapytała:

– Widziałeś ostatnio pana Jonesa?

Zatrzymałem się i pokręciłem głową.

– Gadałem z nim wczoraj po południu. Pytałem o Rocky. – Spojrzałem w kierunku jego pokoju. – Motor wciąż stoi.

Nie skomentowała.

– Wisi ci za pokój?

– Nie. Właściwie zapłacił parę dni naprzód.

Nic już nie powiedziałem i poszedłem do pokoju dziewczyn. Rocky siedziała na łóżku i czesała Tiffany, oglądały telewizję, jakiś talk-show.

– Dziś musisz zostać z siostrą – powiedziałem. – Bądź grzeczna. Wróć.

Wyglądała na potulną i wymęczoną, garbiła się. Mówiła cicho, nie patrząc w moją stronę.

– Co zamierzasz?

– Coś wymyśliłem. Wróć później. Wszyscy będziemy z tego coś mieli.

– Dobra.

Nieuważnie przyglądała się włosom Tiffany. Gładziła ją mechanicznie, przebierając palcami jak zębatka.

Upewniłem się, że mają pieniądze, i pojechałem do San Marcos, żeby założyć konto w banku.

Raz jeszcze przestudiowałem zawartość teczki. Listy przewozowe, harmonogram rejsów i powrotów, odręczne notatki opisujące zaginięcie niektórych kontenerów, oznaczone czerwonymi kółeczkami i porównane z księgami rachunkowymi, obrazujące w zaskakująco prosty sposób wydatki i straty, bez żadnych szyfrów czy tajemniczych cyfr na marginesach. Wciąż trafiałem na nazwisko Ptitki. Zapewne Frank Sienkiewicz sądził, że zdobył polisę, coś, co zapewni mu bezpieczeństwo.

Dość głupie. Może chciał dogadać się z prokuraturą i ktoś o tym doniósł. A może chciał zaszantażować Stana. Nie wiem.

Filie First National dało się znaleźć wszędzie, także w Nowym Orleanie, i mogłem dzwonić do nich zewsząd, aby uzyskać informację o stanie konta, wystarczyło wcisnąć kilka klawiszy w telefonie.

Potrzebowałem jedynie prawa jazdy i drugiego dokumentu ze zdjęciem. Jako adres kontaktowy podałem ten, który widniał na prawku, gdzieś w Alexandrii.

Zajął mi to większość dnia, a po powrocie zajrzałem jeszcze do dziewczyn. Rocky leżała w łóżku. Gapiła się w sufit, telewizor szumiał, a Tiffany bawiła się pluszowym miśkiem, którego dostała od którejś ze staruszek.

– Hej. Wszystko dobrze?

Rocky zamrugała, wciąż patrząc w mapę brązowo-szarych plam na suficie.

– Jesteś chora?

– Nie.

– To co jest?

Odpowiadała monotonnym głosem, ledwie poruszając ustami, ale jej oczy rozbłysły, jakby skupiała się na filmie wyświetlanym na kostropatym suficie.

– Odpoczywam. Jestem zwyczajnie zmęczona, Roy.

Mała patrzyła na nas, przekrzywiając głowę i trzymając misia obiema dłońmi za szyję, jakby chciała go udusić.

– Na pewno nie jesteś chora? – zapytałem.

– Nie. Naprawdę. Nic mi nie jest.

Tiffany wodziła między nami wzrokiem, jakby szukała wskazówek, a ja poczułem lekkie ukłucie strachu pulsujące z tyłu głowy. Kolejny raz zastanawiałem się, co ją czeka, i przypomniała mi się dziewczyna z postoju ciężarówek w Amarillo.

Rocky znów się odezwała.

– Potrzebuję odpocząć, Roy. Leżę normalnie i zbieram myśli. Nie martw się. Nic mi nie będzie. – Jej źrenice poruszały się tam i z powrotem, jakby obserwowała rój os. – Prześpię się i będzie dobrze.

– Muszę na trochę wyjechać. Parę godzin, nie więcej. Potem już nie będę się musiał nigdzie ruszać. O nic się nie martw. Pilnuj siostry. Wrócę późno. Zostawiam wam trzydzieści dolców. Zamów jakąś pizzę czy coś.

– W porządku.

Tiffany miętosila w dłoniach zabawkę, łapki miśka latały na wszystkie strony.

– Pomyślałem, że jutro moglibyśmy gdzieś wyskoczyć – powiedziałem i brzmiało to dość głupio, ale czułem, że powinienem jej coś zostawić, jakąś obietnicę, która pomoże przetrwać noc. – Sami, we dwojkę. Kolacja, coś w ten deseń.

– Jasne, brzmi nieźle, Roy.

– No dobra. Widzimy się później, dziewczyny.

– Co tak właściwie zamierzasz zrobić?

– Zadzwoń.

Na zewnątrz panował bezgwiezdny mrok, a gęste powietrze zapowiadało nieuchronny deszcz. Jeden z reflektorów w moim samochodzie zdechł, światło drugiego migało i drżało w lekkim płaszczu mżawki. Uznałem, że lepiej się ruszyć za miasto, mogli w końcu mieć jakiś sposób na ustalenie kierunkowego czy coś. Przez kilka godzin jechałem w głąb Luizjany, aż do Leesville. Tak na wszelki wypadek.

Telefon stał na opuszczonej stacji benzynowej, która z jednej strony zapadła się w miękką ziemię. Neony z cenami paliwa były wyłączone, okna do biura przy garażu zaklejone porozcinanymi i rozciągniętymi workami na śmieci. Przypomniałem sobie worki kupione dla Traya i zaczęły mi się trząść dłonie. W budce pociągnąłem kilka łyków J&B i wypaliłem papierosa. Gęsty las po drugiej stronie starej autostrady brzęczał milionem owadów, z po-

pękane go betonu wyrastały chaszczce, które przypominały sztywne włosy, bladożółte w świetle lampy ulicznej, zwieszającej się nad budką jak opiekuńcza matka. Z dala od jej blasku niewidoczne drzewa szumiały na wietrze.

Skończyłem papierosa i zapaliłem następnego. Wtedy podniosłem słuchawkę, wrzuciłem monety i wybrałem numer.

Najpierw musiałem się przebić przez barmana George'a i niemal zapytałem, jak tam jego ucho.

– Powiedz mi, że dzwoni Roy.

Czekałem kilka długich minut, nim podszedł do aparatu, patrzyłem na ćmy i komary kłębiące się w żółtym świetle, słuchałem ich bzyczenia. Zanim się odezwał, usłyszałem kliknięcie i nieco większy szum w słuchawce; wiedziałem, że ma urządzenie, które chroni linię w jego biurze przed podsłuchiwaniami rozmów.

– Chyba ktoś leci sobie ze mną w chuja – odezwał się głos po drugiej stronie. Głęboki i chrapliwy, jak u gigantycznej ropuchy, z wystudiowanym nowoorleańskim akcentem. No i zawsze precyzyjnie wymawiał każde słowo. – To naprawdę ty?

– To naprawdę ja. – Usłyszałem, jak zaciąga się papierosem, syk żaru. Wyobraziłem sobie Carmen uśmiechającą się do niego przez ramię. Czuję się odsłonięty w świetle lampy, sam przy opuszczonej drodze, w ciemnościach buzujących życiem.

– Niezła robota. W sensie, że imponująca.

– Nie miałem wyboru.

– Nie. Potrafię to zrozumieć. Posprzątaaliśmy. Ale niech to. Zastanawiałem się, czy jeszcze się odezwiesz, wiesz?

– Niespodzianka.

Znów usłyszałem cichy syk palącego się papierosa i mogłem sobie wyobrazić owalną, zmarszczoną twarz tego człowieka, pogardę kryjącą się w wyrachowanym spojrzeniu paciorkowatych ślepi i kłęb dymu wypuszczony nosem.

– Zamierzasz wrócić? – zapytał.

– Nie sądzę.

– No tak. Logiczne.

– Ale czemu? Nie rozumiem.

– Co czemu?

– Czemu nam to zrobiłeś, Stan. Za co?

– Źle na to patrzysz, Heston. To nie my. To Ormianie. Nie pasował im ten gość. Ich sprawa. Wy tylko zjawiliście się nie w porę. Nasz pech. Nic do was nie mieli. Chcieli jego.

– Mówisz?

– Naprawdę. Pech. Ale hej, ich pech, co nie?

– Nie wciskasz mi kitu?

– Słowo honoru.

Przyjrzałem się swojemu odbiciu w brudnej i popękanej szybie budki telefonicznej. Wyglądałem jak nie ja. Przez tydzień straciłem jakieś cztery kilo i pozbyłem się włosów.

– Tyle tylko – powiedziałem – że zabroniłeś nam zabrać spluw. Pamiętasz?

Cisza. Chyba zgasił papierosa.

– Stan?

– Ach. No dobra. Tu mnie masz.

– Jeśli masz taki problem z każdym, kto jej wsadził, będziesz musiał położyć trupem parę setek koleś.

– Zważ, na co srasz, Heston.

– Żeby tak nas załatwić. I po co? Dla niej? Żałosne.

– Ach. To nie do końca tak. Ty. Angelo. Sęk w tym, że nie byliście kluczowi dla interesów, wiesz? A skoro się trafiło, to czemu nie? To jak zdeptać pająka. Trzy sroki jednym kamieniem. Was dwóch za Sienkiewicza. Rozumiesz? Czemu nie skorzystać? A dlaczego? Bo tak, kurwa, powiedziałem. Dlatego, że ja decyduję.

– Masz nasrane we łbie.

– Rozumiesz.

Przełknąłem ślinę i wziąłem głęboki oddech. Skupiłem się na liściach kołyszących się na skraju ciemności.

– Mam coś – powiedziałem.

– No.

– Listy przewozowe. Dokumenty. Księgę rachunkową, która ładnie wszystko wyjaśnia. Wszędzie twoje nazwisko. Długi i szczegółowy list opisujący operacje. Całość spisana ręką tego gościa. Pewnie tego szukali ci komandos.

Po drugiej stronie słuchawki coś się roztrzaskało.

– Chuja tam wiesz – powiedział. – Na moje oko...

– No to chuj ci w to oko. Sprawdź mnie, jebany polski klopie. Po to właśnie przyszli, prawda? Sienkiewicz sobie to wszystko poskładał.

Szum w słuchawce. Owady wirujące wokół lampy jak płatki śniegu w szklanej kuli. Ruch – przesuujące się cienie drzew. Droga rozbłyskująca blaskiem reflektorów. Warkot silnika. Na moment stanęło mi serce, gdy polizały mnie światła furgonetki sunącej w kłębach spalin, a mój cień rozciągnął się na cały parking.

– Skąd dzwonisz? – zapytał.

– Nieważne.

– Czego chcesz?

– Siedemdziesiąt pięć kawałków. Na konto.

– Ha.

– Prawie darmo.

– Moim zdaniem trochę za dużo.

– Wypuszczę kopie. „Times-Picayune”. Stolica stanu. Jakiś ogólnokrajowy tytuł. Oryginał do federalnych. „Ptitko”. Tak tu jest napisane. Prawie na każdej stronie. „Ptitko”.

– Dalej nie.

– Weź coś do pisania, bo zaraz się rozłączę.

– Ale weź. Jaką mam gwarancję?

– Masz gwarancję, że jeśli coś mi się stanie, na pewno to wypłynie.

– Nie chcę o tym słuchać do końca życia. Nie chcę, żebyś znów zadzwonił, kiedy rozpieprzysz kasę.

– Pewnie zauważyłeś, że jestem bardziej słowny niż ty. Dopóki żyję, materiał jest bezpieczny. Czytałem o prokuratorze federalnym Whitcombie, tym, co dowodzi tą sprawą. Pisali w gazecie, że mocno się wkurzył zniknięciem Sienkiewicza.

Milczał.

– Dzięki temu się wykupię. Kończę z tym. Masz coś do pisania?

– Czekaj.

– Nie.

Odczytałem mu numer konta. Powiedziałem, żeby wysłał przelew do szesnastej następnego dnia albo pójdę na pocztę. I odwiesiłem słuchawkę.

Drżały mi kolana, dłonie znów się trzęsły. Pociągnąłem solidny łyk z butelki, wyszedłem z budki i puściłem pawia. Komary i ćmy obsiadły wymiociny, inne wirowały wokół mojej głowy jak korona.

Przez zepsuty reflektor musiałem w drodze powrotnej wyteżać wzrok w ciemności,jechałem w ciszy i pociągałem z butelki. Moja stopa wciąż ześlizgiwała się z pedału gazu.

Na wyspie połyskiwały ogniska. Od wody wiał silny wiatr. Motel tonął w mroku, jeśli nie liczyć ledwo świecącego neonu i lampki nad recepcją. Grill Lance'a znów stał przed drzwiami jego pokoju.

Zajrzałem przez szczelinę w zasłonach do pokoju dziewczyn, otulał je migocący błękit włączonego telewizora. Rocky kulila się wśród rozkopanych prześcieradeł, Tiffany – w ogromnym T-shircie – leżała obok niej z rozrzuconymi rękami i nogami. Znów ogarnął mnie ten sam lęk co w dzieciństwie, kiedy sztywniały mi plecy i bolał żołądek, a ja marzyłem tylko o tym, żeby wałęsać się przez kilka dni samotnie po polach jak chory pies.

Następnego ranka powiedziałem staruszkom, że zaczynamy się powoli zbierać. Był to kolejny szary, słony i wilgotny dzień. Chcieliśmy wziąć Tiffany po raz ostatni na plażę, a one zapytały, czy mogą iść z nami. Ze względu na nie wyprawa znacznie się przeciągnęła, ja taszczyłem ich aluminiowe krzeselka ogrodowe, a Rocky torbę, do której wszyscy powrzucaли swoje ręczniki i rzeczy. Wzięła się trochę do kupy, nawet rano dopytywała, kiedy pójdziemy na naszą randkę. Zdążyłem o tym zapomnieć.

Nadal emanowały od niej znużenie i smutek. I rezygnacja, którą widywałem przez całe życie na twarzach ludzi, którzy się poddali, odeszli w miejsce, gdzie nie muszą się szamać; chciałem ją z tego wydobyć.

Staruszki nawet na plażę włożyły swoje czarne poliestrowe ubrania i brodziły w piasku wokół Tiffany; grube brązowe pończochy nie zdołały ukryć plątaniny sinych żyłaków. Rozstawiłem krzeselka, moja przyduża hawajska koszula łopotąła na wietrze. Siostry usadowiły się bardzo ostrożnie, obie chroniły się przed słońcem za pomocą szerokich kapeluszy i ciemnych szkieł nałożonych na zwykłe okulary. Kiedy Rocky rozebrała się do kostiumu, wyglądała na nieco speszoną ich spojrzeniami. Usiadłem na piasku obok staruszek i we troje patrzyliśmy, jak prowadzi Tiffany między fale.

Nawet stąd widziałem siniak na jej udzie, ale wciąż dobrze wyglądała: szczupłe ciało, zaróżowiona jasna skóra, wyraźnie zarysowane mięśnie i naprawdę pierwszorzędny tyłek. Jakaś część Rocky nie pozwala temu pięknu w pełni rozkwitnąć, bo jeszcze nie znalazła odpowiedniego miejsca. Wierzyłem w to.

Weszła z Tiffany do wody, mała nadal reagowała piskiem zaskoczenia, a po chwili wybuchała śmiechem, gdy uderzała w nie fala. Rocky również się śmiała, podnosiła dziewczynkę i pozwalała grzywaczom obmywać jej nogi, a odgłosy ich radości mieszały się z szumem oceanu.

Na plażę ściągало coraz więcej ludzi. Mijające nas rodziny, dzieci, smarkacze i strzaskani słońcem faceci z utlenionymi włosami wlepiali wzrok w Rocky.

Staruszki cmokały i chichotały, słysząc piski Tiffany niosące się od wody. Podawały sobie chusteczkę i ocierały spocone wola.

– To taka dobra duszyczka – powiedziała Dehra. – Taka ciepła.

– Tak – zgodziła się jej siostra. – Takie cudowne usposobienie.

– Bardzo, tego, doceniam, że zaopiekowałyście się małą – powiedziałem.

– To wyjątkowe dziecko.

– Tak jest.

– Też tak sędzę – zgodziłem się i odczekałem chwilę. – Może zdarzyć się tak, że dziewczyny tu na trochę zostaną po moim wyjeździe.

Ich twarze pod osłoną kapeluszy i okularów zdradzały pewne zakłopotanie.

– Potrzebuję kogoś, kto będzie dla nich miły. Jeśli tu zostaną, tej małej przyda się ktoś, kto się o nią zatroszczy.

– Co masz na myśli? – spytała Dehra.

– To, że może mnie nie być. Że mała będzie kogoś potrzebować.

– Ach. – Popatrzyły po sobie.

– Wiem, że byście się nią zaopiekowały.

– No wiesz, my nigdy tak naprawdę...

– W porządku. – Machnąłem ręką. Wstałem i ruszyłem w stronę plaży. Piasek oblepiał mi stopy i sprawiał, że robiły się ciężkie.

Dziewczyny uśmiechnęły się do mnie pośród fal, a Tiffany wyciągnęła ręce w górę i zaczęła nimi potrząsać, żebym ją podniósł. Stojąc w ciepłej wodzie, złapałem ją pod pachy i podrzucałem w powietrze, a ona, piszcząc i machając nogami, robiła wszystko, co w jej mocy, żeby wyrwać się z uścisku grawitacji. Pluśnięcie, szczypiąca sól.

Rocky przygładziła mokre włosy, a na jej policzkach pojawiły się na sekundę dołeczki od szczerego uśmiechu. Na mokrej skórze, na zębach i w oczach migotało światło, ja jednak wciąż widziałem niewielkie szare chmury na jej udzie.

– Zdecydowałeś już, dokąd zabierasz mnie na kolację? – spytała.

Odwróciłem się i spojrzałem na plażę. Jedna ze staruszek opuszczała przyniesiony ze sobą aparat. Potem obie zwyczajnie siedziały, nieruchome, w czarnych ciuchach jak zakonnice, z pozbawionymi wyrazu twarzami ukrytymi w cieniu. Ich podwójność wydawała się podejrzana. Pomyślałem o koncie bankowym.

W motelowej recepcji stały trzy bukiety świeżych kwiatów, pewnie prezent od Lance'a. Chciałem zapłacić Nancy za opiekę nad Tiffany dzisiejszego wieczoru, ale staruszki zaproponowały, że wezmą ją do siebie, co mnie zdziwiło, bo pamiętałem ich reakcję na plaży. Wstąpiłem do wypożyczalni i przyniosłem im do oglądania jakieś kreskówki.

O wpół do piątej zadzwoniłem do banku, pieniądze wciąż nie przysły, było tylko pięćdziesiąt dolców, które wpłaciłem na rozruch.

Zatrzymałem się przed kabiną telefoniczną przy winiarni, gdzie na krawężnikach siedzieli nielegalni, klepali się po brzuchach i popijali piwo z butelek zawiniętych w papierowe torebki. To, skąd zadzwonię, nie miało znaczenia. Rano już mnie tu nie będzie.

– Co jest, kurwa? – powiedziałem do słuchawki.

– Musiałem wykonać kilka przelewów, kasa nie spłynie aż do jutra. Powiedziałbym ci, ale nie zostawiłeś numeru.

– Wypisałem adresy, wpakowałem wszystko do kopert, nakleiłem znaczki.

– Daj spokój z tym gównianym przedstawieniem. Chcesz kasy, będzie jutro. Tyle ci mogę powiedzieć.

Odwiesiłem słuchawkę. Meksykańcy gapili się na mnie, kiedy wyszedłem z bodegi i napiłem się z gwinta na chodniku. Co dziwne, patrzyli mi prosto w oczy, a ich milczące, niezyczliwe spojrzenia osądzały mnie tak samo, jak spojrzenie tej dziewczyny z Amarillo. Kiedy wsiadałem do auta, wciąż na mnie patrzyli.

To wtedy byłem najbliżej pieprznicia tym wszystkim.

Rocky musiała się wybrać na jakieś zakupy. Ładnie się ubrała. Włożyła długą cienką spódniczkę z wzorem w chabry i bluzkę bez rękawów i dekoltu; ta skromność miała mnie zadowolnić, ale wołałem nie myśleć, skąd wzięła na to kasę.

Wyglądała na podekscytowaną, jakby taka dawka normalności wystarczyła, aby znów obudzić w niej potrzebę zostania kimś dojrzałym i prawdomównym. Udało jej się nawet poprawnie nałożyć tusz, cienka warstewka zmieniła jej rzęsy w czarne pióra, pomyślałem, że tak mogą wyglądać oczy kobiety, którą kiedyś będzie.

Lance ustawił magnetowid w pokoju starszerek; patrzyłem, jak siostry prowadzą Tiffany do siebie, a dziewczynka skacze podczas oglądania wypożyczonych przeze mnie kaset.

Wychodząc, minęliśmy recepcję i Lance'a stojącego przed kontuarem. Spojrzał na nas i powrócił do gorączkowego błagania o coś Nancy, która siedziała z założonymi rękami i także na nas patrzyła.

– Gdzie chciałybyś pojechać? – zapytałem. – Centrum? Jeden z tych eleganckich lokali? Pomyślała przez chwilę i pokręciła głową.

– Wolałabym miejsce podobne do tego, w którym pierwszy raz piliśmy. Zaraz jak się poznaliśmy, no nie? W Lake Charles. Tam było fajnie. Knajpka country albo coś.

– Na pewno znajdziemy coś takiego.

Obmywało nas zachodzące słońce, ona opowiadała, jak bardzo lubi ocean, z radia leciała muzyka. Jej towarzystwo wprawiało mnie w dobry nastrój, choć czułem się trochę głupio, napawając się iluzją wolności, którą dawało mi morskie powietrze wpadające przez okno, zapach ognisk i fal. Próbowałem rozmawiać z Rocky o tym, co mogłaby robić w przyszłości, wciąż jednak zmieniała temat i mówiła o oceanie i pogodzie.

Pojechaliśmy na zachód, do Angleton, gdzie nie brak przydrożnych knajpek. Zdecydowaliśmy się na jedną z większych, Długorogą Krowę, ładne miejsce o ścianach z długich cyprysowych bali, nieco zbyt eleganckie, by przyciągać klientelę skłoną do bójek, z parkingiem wysypanym skorupami ostryg, na którym niedbale zaparkowano kilka samochodów.

Stoliki pokryte lśniącą politurą otaczały drewniany parkiet i niewielki podest dla didżeja lub zespołu. Kilka dyskretnych lampek rzucało sepiowe światło na oprawione kadry ze starych westernów zawieszane pod krokwiami. Bar z drugiej strony ciągnął się wzdłuż całej ściany. Zamówiłem dla nas dzbanek piwa.

Czekała na mnie z rękami na stoliku, siedziała prosto. Podziękowała, gdy napełniłem jej kufel, a jej uprzejmość była tak ujmująca, jakby chciała wynagrodzić mi w ten sposób swoje wcześniejsze zachowanie.

Kelnerka, której marszczył się nos, gdy mówiła, przyniosła nam dwie karty i powiedziała, że chętnie zajmie się uzupełnianiem zawartości dzbanka. Rocky zaczęła przeglądać listę dań. Mieli tylko hamburgery i steki, poprosiliśmy o chwilę do namysłu.

Pogadaliśmy trochę, popijając piwo.

– Sporo tych kelnerek nieźle zarabia. Starcza im na wychowanie dzieci.

Skinęła.

– Albo możesz odbierać telefony i uśmiechać się do ludzi.

– Wiem, wiem.

Napełniła mi szklanę. Podałem jej ogień i siedzieliśmy w milczeniu, aż w dzbanku pokazało się dno. Do knajpy schodzili się ludzie, głównie kowbojskie pary, kobiety w dzinsach, faceci w stetsonach.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Co do wczorajszej nocy. Nie chcę, żebyś musiała znowu przez to przechodzić. Nie dasz rady.

– Nie. – Momentalnie zaszklily jej się oczy. – Nie. Nie musisz się martwić. Ja... – Potrząsnęła głową i wbiła wzrok w swój kufel, oplatając go obiema dłońmi. – Nie wiem, o co chodzi. Z moim mózgiem jest czasem coś nie tak. Coś sobie wymyślę, no nie? Jakiś pomysł. I od razu w to wierzę. Tak jakby ten pomysł istniał naprawdę. I ja... Przeraza mnie to, człowieku. Boję się tego, jak się wtedy zachowuję. Normalnie postukałabym się w czoło, „Co ty robisz, dziewczyno?”. Ale mnie się wydaje, że mam rację. Coś w stylu, że to się dzieje na serio i że mam rację. I robię głupoty.

Drżały jej usta, spuściła wzrok, wodziła palcem po krawędzi kufla.

– Tak jakbym się psuła.

Pokiwałem głową.

– Znam to.

Wciąż była podłamana, kręciła kuflem i ścisnęła go tak mocno, że zbieleły jej knykcie. Zrobiłem coś dziwnego. Sięgnąłem po jej rękę i położyłem na stole. Cała jej dłoń mieściła się w mojej. Odwróciła ją, by odwzajemnić uścisk.

– Myślałam, że odszedłeś – powiedziała.

– Nie. Naprawdę.

– Wiem. Teraz.

Kelnerka napełniła dzbanek i nie spytała, czy coś zamówimy. Światła nad parkietem przygasły, rozległ się naznaczony południowym akcentem, głęboki i trzeźwy głos George’a Straita, ludzie wstali z krzeseł: wiekowe pary, które wyszły się zabawić wczesnym wieczorem, mężczyźni noszący paski ze sprzączkami wielkości ludzkiego serca.

– Nie pociągnę tego, Rocky. Czy będę tutaj, czy nie.

– Wiem o tym. Wiem.

– Teraz masz tę małą. Tamto skończone. Na zawsze.

– Wszystko mi się miesza.

Piliśmy kolejny dzbanek i patrzyliśmy na obracające się powoli pary, po czwartej czy piątej piosence rozblęły bladozielone i fioletowe światła, które snuły się po wypolerowanych deskach i między tańczącymi jak upiorne ryby. Następny kawałek okazał się spokojny i smutny, choć pobrzmiwała w nim jakaś duma. Kobiety o wysoko upiętych włosach i wielkich tyłkach w ciasnych dzinsach promieniały miłością. Wisząca nad nami chmura tytoniowego dymu rozpraszała światło.

– Zaczynam się bać – powiedziała. – O Tiffany. Martwi mnie, co zrobiłam. Że ją tu

przywiozłam. Co ja zrobiłam. Człowieku... Co ja zrobiłam.

Nachyliłem się, żeby musiała na mnie spojrzeć.

– Przeszłość nie istnieje.

– Co?

– Tak sobie mów. Przeszłość nie istnieje. To tylko jeden z tych pomysłów, które wydają ci się prawdziwe. Nie ma jej, słonko.

Zmarszczyła brew i rozchyliła usta, milczała.

– Wszystko zaczyna się teraz. Właśnie tak. W tej chwili.

Otarła oczy i spojrzała na ludzi na parkiecie.

– Nie nakręcaj się – powiedziałem – ale mam coś na tapecie. To was ustawi na jakiś czas.

– To znaczy?

– Powiedzmy, że masz trochę kasy. Co robisz?

– Ile?

– Wystarczająco. Opłacony czynsz. Jedzenie i rachunki też. Przez dłuższą chwilę.

Odwróciła wzrok i zaczęła się nad tym zastanawiać, wodząc machinalnie palcem po mokrym odcisku kufła na stole.

– No dobra. Powiem ci, co zrobisz. Spróbujesz zdać egzaminy do szkoły średniej. – Widząc jej skrzywioną minę, dodałem: – Mówię poważnie. Naprawdę. Zatrudnisz kogoś do opieki nad małą. I pójdziesz się czegoś nauczyć w szkole.

– Szkoła?

– Właśnie tak.

– Ale jak...

– Powiedzmy, że cię na nią stać. I tak właśnie zrobisz. Teraz już wiesz. Nieważne, jaki wybierzesz kierunek. Ale czegoś się nauczysz. Jesteś bystra. Naucz się czegoś pożytecznego. – Przytrzymałem jej dłoń. – Zrób to dla siebie albo dla niej, ale zrób. – Wpatrywała się we mnie tak długo, aż lęk w jej oczach zniknął prawie zupełnie. – Byłaś wystarczająco silna, żeby żyć jak dotąd, czas żyć inaczej. Od teraz.

– Dobrze, Roy. Dobrze.

Piosenka dobiegła końca, pary zaczęły schodzić ze swoich orbit. Zauważyłem, że wciąż trzymam jej dłoń. Puściłem ją i podwinąłem palce.

– Kiedy będziesz wiedział?

– Co?

– No wiesz. Pieniądze.

– Jutro.

– A co, jeśli nie?

Wzruszyłem ramionami i dopiłem piwo.

– Wymyślę coś innego.

Opróżniła swój kufel, otarła usta dłonią i spojrzała na mnie wzrokiem nieco mętnym od alkoholu.

– Czy ty...? – Pytanie zamarło jej na ustach.

– Co?

Przełknęła ślinę i splotła palce.

– Zrobiłeś coś temu całemu Trayowi?

– Nie. – Uśmiechnąłem się. – Pewnie go trochę nastraszyłem. Powiedziałem, żeby trzymał się z daleka od ciebie i żeby stąd spieprzał. Pewnie grasuje teraz po aptekach w Corpus Christi i stara się skubnąć działkę.

– Och.

Patrzyła na mnie dłuższą chwilę, choć z mojej twarzy niczego nie dało się wyczytać, a potem oboje spojrzeliśmy na światła wirujące nad parkietem. Leciał Glen Campbell.

– No? – W jej szklistych oczach coś błysnęło, a na twarzy pojawił się uśmiech, który zadziałał jak otwarcie okiennic w słoneczny dzień. – Poprosisz mnie w końcu do tańca czy nie?

Parsknąłem śmiechem i potrząsałem głową, a ona spojrzała z udawanym zawodem. Pociągnęła mnie na parkiet z takim samym łagodnym uporem, z jakim prowadziła Tiffany między fale, a ja byłem na tyle pijany, że nie czułem się jak kompletny idiota.

Odprowadziło nas kilka par oczu, ale nikt się długo nie gapił. Przewyższałem ją wzrostem, musiałem się więc pochylać i ciągle patrzeć pod nogi.

Wtuliła twarz w mój mostek i kołysaliśmy się powoli, otoczeni przez kilka kowbojskich par wirujących w chłodnym blasku podwodnego światła, jej włosy pachniały morską solą i słońcem.

Nie wiem, ile minęło piosenek, ale w końcu niczego nie zjedliśmy. Wypiliśmy jeszcze trochę piwa, rzuciła kilka naprawdę świetnych dowcipów, pamiętam, że pękałem ze śmiechu.

Mówiła o sobie. Opowiedziała mi o tym, jak czekała na tylnym siedzeniu samochodu, gdy jej matka wybrała się na dziwną randkę na postoju przyczep w środku lasu. O szkolnym zespole tanecznym, z którego wyleciała, gdy zaszła w ciążę. O tym, jak rzuciła szkołę i przesiadywała całymi dniami w małej chacie pośród pól.

Potem jeszcze trochę potańczyliśmy.

Wyszliśmy późno, poruszała się lekko, kołysząc się i chwiejąc odrobinę. Nie przestała mi dziękować. Na obrzeżach parkingu niebo miało granatową barwę, gęstniejącą pod drzewami, gdzie zaparkowałem.

Kiedy zbliżaliśmy się do samochodu, pomyślałem, że dziwnie stoi. Sięgając po kluczyki, zauważyłem, że w lewej tylnej oponie mam kaptur, zupełny flak, a potem popatrzyłem na dziewczynę po drugiej stronie maski i powiedziałem:

– Hej...

Za jej plecami stali jacyś mężczyźni. Pojawili się znikąd. Zachrobotwały pękające skorupy ostryg.

Oberwałem rurą po oczach.

Ktoś trzymał mnie za ręce. Zacząłem wierzgać i eksplodował mi tył głowy. Oślepiająca, rozsadzająca czaszkę fala bólu.

Wiedziałem, że coś we mnie pękło, w mojej głowie.

Smakowałem kurz i krew, przed oczami przesuwały się skorupy ostryg, haratały moją twarz, gdy ciągnęli mnie po ziemi. Były skąpane w mojej krwi. Wykręcone do góry ramiona. Moje pole widzenia pękło na dwie niepasujące do siebie połowy. Dobiegł mnie stłumiony krzyk.

Usłyszałem odgłos rozsuwanych drzwi furgonetki, a potem znów oberwałem.

Ostry ból w ramionach. Ktoś ciągnął mnie za ręce, stopy szurały po żwirze. Zdjęli mi buty. Chrząst kroków, ciężkie oddechy. Próbowałem ruszyć rękami, ale nic z tego. Widziałem tył ich kolan i pięty. Gwiazdy wiszące nad horyzontem. Wykręciłem głowę, zobaczyłem chropowate, brązowe cegły i sztyld Miejscówka Stana. Zawyłem.

Nigdzie nie widziałem Rocky. Nie słyszałem jej, krzyczałem.

Puścili mnie i kopali tak długo, aż znowu straciłem przytomność.

Ocknąłem się z twarzą na zimnym betonie. Solidne, ciemne mury, niewielkie pomieszczenie. Wyczuwałem chłopaków stojących wokół mnie w cieniu. Zastanawiałem się, co to za jedni i czy Lou i Jay też tu są. Widziałem na jedno oko i wszystko mi się dwoiło.

Rozpoznałem magazyn. Metalowe drzwi do chłodni i kolejne prowadzące do pomieszczenia gospodarczego. Wiedziałem, że po prawej ciągnie się korytarz z kilkoma pokojami.

Znów usłyszałem Rocky, trwało to moment, krótki zduszony dźwięk dobiegał gdzieś z głębi korytarza.

Ktoś blisko mnie się zaśmiał. Ktoś rzucił teczkę z dokumentami na podłogę obok mojej twarzy. Oplułem ją skrzepem krwi.

Któryś z nich się odezwał:

– Trzymaj się, Heston. Czekamy na Stana. Coś musi dla niego zostać.

Próbowałem się ruszyć, ale mogłem się tylko wić. Miałem bezwładne ręce. Stopniowo odkrywałem coraz nowsze i głębsze pokłady bólu. Z półmroku wyłaniały się zarysy nóg, połyskliwe spodnie dresowe i zaprasowane kanty, lakierki i trampki.

Kolejny głos.

– Coś jakby jesteś chory czy jak? Co, Heston?

– Ten lekarz mało się nie posrał ze strachu.

– Tak go nastraszyłeś, że poszedł w długą. Kilka dni szlajał się po kasynach w Bay St. Louis.

– A potem przyszedł do Stana i chciał, żeby cię sprzątnąć. Stan zadzwonił do swojej panny z telekomunikacji. A ona znalazła twój numer.

Dopiero wtedy przypomniałem sobie o telefonie do lekarza.

– Strasznie głupie, stary. Naprawdę zajebicie głupie, Heston. Ty durny wsioku.

Wydawało mi się znów, że usłyszałem dobiegający zza drzwi cichy, narastający krzyk Rocky, który ktoś natychmiast zdławił. Potem cisza.

Buty podeszły bliżej, między kolanami kołysały się kije bejsbolowe i stalowe rurki. Zeszcząłem się. Chciałem się podnieść i coś, kij albo rura, złamało mi szczękę.

Wyplułem zęby. Miałem poharatany język. Znów wzięli mnie w obroty.

Kiedy się ocknąłem, byłem przywiązany do krzesła i nie potrafiłem oddychać. Czuję ogień w piersiach, w połamanym nosie bulgotało. Zarzygałem sobie kolana, beton pode mną połyskiwał krwią. Wiedziałem, że nadal jestem w magazynie. Żarówka wisząca wysoko w rogu pod sufitem rzucała słabe światło na wylot przewodu wentylacyjnego, z którego kapiała woda. Przypomniał mi się pomarańczowy klosz w domu Sienkiewicza. Uświadomiłem sobie, że nigdy stamtąd nie wyszedłem. Nadal jestem w tym korytarzu i tylko śnię, że uciekłem.

Kiepsko widziałem na jedno oko, ale dostrzegłem dziwne guzy i wybrzuszenia na swojej twarzy.

Solidne drewniane krzesło było ciężkie, ręce miałem skrępowane mocno i pod takim

kątem, że ból przenikał całe plecy. Sznur wrzynał się w pierś, dociskając mnie do oparcia krzesła, i w kostki. Śmierdziało, jakbym się zesrał. Czułem to mimo zmiażdżonego, zatkanego krwią nosa.

Wiedziałem, że zabawią się ze mną dłuższą chwilę. Nasłuchałem się opowieści o tym, co robi Stan z palnikiem.

Rozpłakałem się.

Nie myślałem o Rocky ani o jej siostrze. Po prostu nie chciałem, żeby nadal zadawano mi ból. Ryczałem, a każdy szloch czułem jak ostrze wbijające mi się w piersi i żebra. Nie miałem najmniejszych szans na przetrwanie. Chciałem błagać. Zrobiłbym cokolwiek.

Z przewodu wentylacyjnego wciąż kapały krople, gdzieś z tyłu docierały do mnie przytłumione głosy, dobiegały z baru i towarzyszył im jednostajny, ledwie słyszalny pomruk. Uświadomiłem sobie, że musieli tam oglądać telewizję.

Piją piwo, gapią się w ekran, czekają na Stana.

Rozpłakałem się jeszcze głośniej.

Usłyszałem za sobą miękkie skrzypnięcie zawiasów i cichy trzask zamykanych drzwi. Czułem, że ktoś tu jest, za moimi plecami, jakby powietrze zgęstniało od czyjejś obecności.

Nie mogłem złapać tchu, a po twarzy ciekły mi łzy zmieszane z krwią. Delikatne kroki na betonie. Wydaje mi się, że chciałem powiedzieć „proszę”. Albo „czekaj”.

Czekaj.

Nagle z mroku przyplłynął zapach: mentolowe camele, dzin, puder, perfumy. Choć było to mało możliwe w moim stanie, czułem to, powietrze nabierało kształtu i zrozumiałem, kto do mnie przyszedł.

– Óóóó – szepnęła. – Cicho. Żadnych dźwięków.

Szept ogrzał mój kark. Szarpnięcie za przeguby, potworny ból w ramionach. Jęknąłem.

– Zamknij się – syknęła.

Kabel krępujący moje nadgarstki plasnął o podłogę, ręce opadły bezwładnie po bokach. Sznur wokół klatki piersiowej zniknął.

Zobaczyłem ją dopiero wtedy, gdy podeszła od przodu. Przykucnęła i popatrzyła na mnie; to twarde, przebiegłe spojrzenie wypełniał lęk, a nawet współczucie, poruszyła się, ale nie spuszczała ze mnie wzroku, skrzywiła się. Klęknęła w półmroku na zakrwawionym betonie i przecięła taśmę oklejającą moje kostki, a ja patrzyłem na to z brodą przyciśniętą do piersi.

Wstała. Mrugnęła, krzywiąc usta z obrzydzenia i wstydu. Tusz do rzęs spłynął jej po policzkach, jak gdyby płakała atramentem. Zerknęła przez ramię na drzwi i wcisnęła nóż w moją moką dłoń.

Zacisnęła mi palce wokół rękojeści. Jęknąłem, zgięcie palców wywołało okropny ból.

– Podnieś się, Roy – szepnęła, nie puszczając zaciśniętej dłoni. – Podnieś się.

Chyba zapytałem o Rocky, bo zadrżały jej powieki i potrząsnęła głową. Pomogła mi wstać, a kiedy puściła, prawie upadłem. Z nogami nie było najgorzej. Cała reszta wyglądała fatalnie.

– Spadaj stąd – powiedziała. – Uciekaj, Roy. Nie patrz za siebie. Uciekaj stąd.

W jej zachrypłym szepcie brzmiały płacz i jakaś wściekłość, jakbym ją czymś uraził.

Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem ruszyć szczęką, opuchnięty język wypełniał całe usta. Carmen zniknęła, usłyszałem tylko stłumiony stukot obcasów i skrzypnięcie zawiasów, kiedy otwierała drzwi.

Oparłem się o zimną ścianę, przyciskałem twarz do cegieł. W okaleczonej ręce ścisnąłem nóż. Druga była zupełnie bezużyteczna. Miałem połamane wszystkie palce.

Kiedy próbowałem się ruszyć, uderzył mnie otepiający, wnikający w kości ból w stopach i piszczelach. Od drzwi na korytarz dzielił mnie kawał drogi, a z każdym krokiem pękała we mnie każda kolejna rzecz, choćby najmniejsza.

Jeśli mrugnę, znajdę się na kolanach wpatrzony w lampę w kącie. Kapiące krople.

Później wysoka trawa i jezioro.

Plantacja bawełny nocą, cykanie świerszczy.

Czarnuchy z gimnazjum. „Na chuj się gapisz, białasie? Zbieraj stąd to wyruchane dupsko”.

Wygramoliłem się z magazynu, przeciąłem ciemny korytarz, na końcu, przy wyjściu ewakuacyjnym, lśniła czerwona lampka. Pomieszczenie gospodarcze, ubikacja, kolejne biuro. Gdzieś daleko za mną głuchy śmiech z telewizora, szedłem dalej, opierałem się o ściany i znaczyłem drogę krwią, jak ślimak, który zostawia ślad. Minąłem biuro. To tam trzymali Rocky.

Zrzućli wszystko z biurka i rozciągnęli ją na nim. Na podłodze, między papierami i przyborami do pisania, wałały się jej rzeczy. Lampa stojąca na szafce z aktami oświetlała jej ciało na miedzianożłoto. Głowa bezwładnie zwieszała się w stronę drzwi, w szarych, zasnutych mgłą oczach wyczytałem przerażenie i wyrzut. Krawat zaciśnięty wokół szyi. Pamiętam, że był w orientalne wzory.

Zostawiłem ją.

Opadłem całym ciężarem na szeroką metalową klamkę, brzęknęła stal i znalazłem się na zwirowanym parkingu, pod jednocześnie jasnym i ciemnym nocnym niebem, wśród rozmażanych żółci i fioletów. Potknąłem się, a w poplamionym krwią ostrzu noża – wciąż trzymałem go w dłoni – odbiło się światło latarni. Ruszyłem chwiejnym krokiem i wpadłem na dopinającego rozporek faceta, który wyłonił się zza śmietnika.

Jay Meires skrzywił się na mój widok, a potem warknął i sięgnął po coś. Rzuciłem się na niego. Wbiłem mu kciuk w oko i przygniatając go swoim ciężarem, wepchnąłem palec głębiej. Chciał krzyknąć, ale sprawy potoczyły się szybciej. Wbiłem mu nóż w drugie oko.

Usiadłem na nim i wciąż dźgałem go w głowę.

Pozbierałem się, nadal sam, stanąłem nad zmasakrowaną gębą Jaya.

Krzaki. Zaparkowane samochody. Byliśmy na tyłach knajpy, a jakąś przecnicę dalej, za opuszczoną działką, noc przecinały światła pędzących pojazdów. Najszybciej jak mogłem pokuśtykałem w stronę drogi. Z tyłu dobiegały jakieś głosy.

Znalazłem się wśród pól, ciemne źdźbła chłostały mnie po ramionach, słyszałem wrzaski sprzed knajpy.

Znów zacząłem śnić, a kiedy otwarłem oko, stałem na środku drogi. Promienie światła, pisk hamulców. Oślepiający blask popękanego reflektora.

Zacząłem krzyczeć, machać ręką. Kilka aut niemal mnie rozjechało, jedno rąbnęło mnie bocznym lusterkiem w łokieć, obróciło mnie i zatrzymało się z głośnym wizgiem.

Biel błysnęła mi w oczach. Klaksony. Wrzeszczałem i płakałem. Myślałem, że chłopaki są tuż za mną.

Szarpnięciem otworzyłem drzwi po stronie kierowcy, facet próbował odjechać. Wciąż widzę jego twarz, rozdziawione usta, szeroko otwarte oczy. Machnąłem mu nożem. Chwyliłem za koszulę i wywlokłem z samochodu.

Znaleźli mnie trochę ponad kilometr dalej, rozwalonego o ścianę biura rachunkowego, z kierownicą wbitą w piersi.

Ocknąłem się wśród sterylnie białych szpitalnych świateł, tak spragniony, że nie potrafiłem tego znieść, kiedy jednak otworzyłem usta, potworny ból prawie pozbawił mnie przytomności. Za drzwiami postawiono dwóch policjantów. Gaza zakrywała mi lewe oko, później się dowiedziałem, że je straciłem. Pokiereszowane czoło, brwi poprzecinane chropawymi szwami, nos spłaszczony i rozsmarowany na twarzy jak margaryna.

Nikt mi niczego nie mówił. Zjawił się jakiś facet z prokuratury w towarzystwie kilku gliniarzy i poinformował mnie o zarzutach, ale nie mogłem mu nic odpowiedzieć ani niczego podpisać z powodu okaleczonej ręki. Język miałem opuchnięty, szorstki jak papier ścierny, a szwy drażniły podniebienie. Bez dotykania głowy wyczuwałem żelastwo w czaszce.

Kierowca, którego dźgnąłem, przeżył. Prokurator nie wspomniał ani słowem o zwłokach Rocky czy Jaya Meiresa. Nazwisko Ptitki nie padło ani razu.

Dwa tygodnie później funkcjonariusze nowoorleańskiej policji odeskortowali mnie ze szpitala do więziennego lazaretu. Dostałem adwokata z urzędu, któremu opowiedziałem o wszystkim – Ptitce, Angelu Medeirasie, Franku Sienkiewicz i Rocky. Wszystko. Dowiedziałem się, że będę musiał powtórzyć to pod przysięgą, ale z tym należało poczekać, aż zejdą ze mnie środki przeciwbólowe i lekarstwa, bo obrona mogłaby tym zagrać. Z jakiegoś powodu miejscowi stróże prawa woleli trzymać mnie z dala od federalnych. Zastępca prokuratora powiedział, że odstawią mi leki na kilka dni, żebym mógł złożyć pełne zeznania.

Bez tabletek pulsujący ból głowy zwał mnie z nóg. Przyszedł kolejny prawnik. Gliniarze pewnie myśleli, że to mój adwokat. Zaprowadzili mnie do sali widzeń, która wyglądała jak wnętrze tramwaju przedzielone na pół długim stołem i drucianą siatką. Więzienne zielone ściany, odurzający metaliczny smród rozpaczy. Usiadłem, patrząc przez siatkę na faceta w garniturze.

Był miękki i różowutki jak gumka do ołówków, od ucha do ucha rósł mu wianuszek krótkich ciemnych włosów, miał okulary, mięsiste czerwone usta, puciołowatą tępą gębę. Okrągły nos, zaokrąglony podwójny podbródek, małe, okrągłe uszy. Garnitur nieco go wyszczuplał, podobnie jak okulary w grubej oprawie, na stole położył otwartą aktówkę, ale nie miałem jak do niej zajrzeć.

Dotarło do mnie, że go poznaję, że gość jest od Stana.

– Proszę pana – zaczął. – Przypadła mi rola zewnętrznego doradcy z ramienia klienta pragnącego zachować anonimowość, zaniepokojonego, że może być niebezpośrednio zamieszany w pańskie ostatnie przestępstwa. Jak rozumiem, aktualnie ma pan znacznie ograniczoną możliwość komunikacji werbalnej, postaram się to uwzględnić, gdy będę panu wyjaśniał powody naszego dzisiejszego spotkania.

Kosztowny złoty zegarek na nadgarstku, gęste kłaki pod nim. Wypolerowane paznokcie, ręce podsuwające jakieś dokumenty, zamykające teczkę. Kolejna fala oślepiającego bólu

głowy nadciągała jak rozpedzony pociąg.

– Na polecenie reprezentowanego przeze mnie klienta mam ustalić, czy w ramach przysługującego panu prawa do obrony zamierza pan zeznawać na temat osób trzecich rzekomo zamieszanych w pańskie zbrodnie, aby tym samym zapewnić sobie mniejszy wymiar kary.

Mogłem tylko na niego patrzeć, lekko przechylając głowę. Słowa w jego ustach były równie okrągłutkie jak on sam i aż wibrowały od przesadnie wystudiowanego południowego akcentu.

– Ujmując to inaczej, muszę zapytać, czy zamierza pan sobie ułatwić życie i wskazać na kogoś innego.

Pokiwałem głową: odpowiedziałem *t w i e r d z a c o*. Śruby wwierciły mi się mocniej w czaszkę. Przy drzwiach stał jeden z zastępców szeryfa, nie patrzył w naszą stronę, ale zachowywał czujność.

Prawnik poprawił okulary.

– Muszę to ustalić, aby mój klient zyskał szansę na przygotowanie skutecznej linii obrony. I to natychmiast. Co oczywiste, obrona ta będzie się opierała na świadkach, którzy potwierdzą lub podważą podawaną przez pana wersję zdarzeń.

Obserwując go, czułem pulsujący ból wokół oczodołów, skupiłem się więc na oblażącej farbie i rdzy pokrywającej kratę między nami.

– A zatem do rzeczy. Jak przypuszczamy, na liście świadków pojawią się osoby, z którymi był pan ostatnio powiązany, zgadza się? Ludzie, którzy z panem podróżowali tudzież utrzymywali z panem kontakty. Między innymi Nancy Covington, właścicielka i kierowniczka motelu Szmaragdowe Wybrzeże w Galveston w Teksasie, zgadza się?

Położył na teczce jakiś dokument i skupił się na nim.

– Oraz dziecko. Zgadza się? Czteroletnia dziewczynka, jak wynika z mojej wiedzy.

Śruby wkręcały mi się w czaszkę coraz głębiej i myślałem o metalowej kracie. To zdumiewające, jak wiele zależy od cienkiego arkusza stalowej siatki. Prawnik nie zdawał sobie tego sprawy, albo może domyślał się tego tylko w jakimś stopniu, ale w tamtej chwili właśnie ta krata była najcenniejszą i najważniejszą rzeczą w jego życiu. Czytał dalej:

– Mam zapisane, że dziewczynka nazywa się Tiffany Benoit. Aktualnie mieszka z Nonie i Dehrą Elliot przy Briarwood Lane pięćset czterdzieści w Round Rock w Teksasie. Zgadza się? Ci ludzie. To ta sama osoba, zgadza się? Podróżował pan w jej towarzystwie. Zgadza się?

W końcu zamilkł. Patrzyliśmy sobie prosto w oczy.

O to właśnie chodziło w tym spotkaniu. Chcieli, żebym wiedział, że wiedzą o małej. Że znają jej adres.

Chwilę później prawnik wstał i wyszedł, choć nie odpowiedziałem na żadne z jego pytań, za to domyśliłem się, że mogę wrócić do leków, bo moje zeznanie poszło się walić.

Historia uległa drastycznym zmianom. Powiedziałem tym z prokuratury, że niczego nie pamiętam.

To nie było ani moje pierwsze aresztowanie, ani pierwszy wyrok, więc się ze mną nie patyczkowali, wkurzeni zmianą zeznań.

Trzydzieści lat w Angoli.

Łyknąłem to.

Śledztwo w dokach umorzono.

I tak nie sądziłem, że dożyję końca wyroku, nie chciałem zresztą, zbyt często po zamknięciu oczu widziałem twarz Rocky, zwiotczałą i odwróconą w stronę lampy, jej ciało leżące na biurku jak na ołtarzu.

Cieszyłem się, że nie będę musiał z tym długo żyć.

Teraz kuleję po wypadku, na lewym oku noszę opaskę i mam nową, asymetryczną i poharataną twarz, niepasujące do siebie brwi i nos jak zgniły ziemniak. Moje palce nigdy się nie wyprostowały, a każdy deszcz wywołuje potworny ból w opuchniętych stawach. Od państwa dostałem nowe zęby. Z moich zostało tak niewiele, że dentysta po prostu wydłubał resztki i wstawił protezę.

W końcu przebadał mnie kolejny lekarz i stwierdził, że nie wie, jak zdiagnozować te plamy w płucach. Chciał mnie wysłać na bronchoskopię albo biopsję podczas tomografii. Podejrzał to samo co tamten konował. Istniała niewielka szansa, że to gruźlica lub ziarniak płuc. Objawy jak na razie były niegroźne, ale miały się pogorszyć. Wyjaśnił mi, że te cysty lub komórki rakowe znajdują się aktualnie w fazie zastoju, ale w każdej chwili może dojść do złośliwych przerzutów. Uznał, że należy mnie pokroić. Chciał je wyciąć, żeby im się lepiej przyjrzeć. „Takie rzeczy można leczyć na wiele sposobów”, mówił. „Na czas terapii przeniosą pana w jakieś przyjemniejsze miejsce. To tylko kwestia czasu”, dodał. „Chyba że jest pan jakąś medyczną anomalią”.

Powiedziałem, że nie chcę. Kiedy poinformował, że leczenie odbędzie się na koszt państwa, znów powiedziałem „nie”.

Przez pierwszych kilka lat dzieliłem celę z czarnoskórym gościem, Charliem Broedusem. Dobrze nam się układało i nie czułem rozgoryczenia, gdy wyszedł. Nadal czekałem na śmierć.

Po miesiącu odsiadki zajrzałem do biblioteki poszukać czegoś do czytania. Nie wiedziałem, od czego zacząć. Dwa razy w miesiącu pojawiała się bibliotekarka Jeanine i dawała mi jakieś sugestie. Tak właśnie się z nią zaprzyjaźniłem.

Nie nastąpiło żadne zauroczenie. Myślę, że po prostu cieszyła się, że ktoś wypożycza inne książki niż kodeks karny.

Czytając, dawałem się ponieść słowom i temu, co opisywały, więc nie mierzyłem czasu w zwykły sposób. Zaskakiwała mnie wolność stworzona z samych słów. Czułem, że dawno temu ominęło mnie kluczowe doświadczenie.

Zawsze miałem zwinne ręce, radziłem sobie ze spawaniem, montażem rur, naprawą silników i instalacji elektrycznych, ale zaczynałem powoli łapać, że niektóre umiejętności tylko mnie krępowały, przekształcały w użyteczne narzędzie. Do tej pory tego nie rozumiałem.

Obrażenia nie pozwalały mi pracować na farmie, od której zakład nazywano Angolą. Jeanine pomogła mi znaleźć robotę w bibliotece, zostałem jej asystentem. Miała mysiobrązowe włosy – jej fryzura wyszła z mody w latach siedemdziesiątych – pulchne ramiona trzęsące się za każdym razem, gdy podbijała karty, chodziła, powłócząc nogami. Czasem w jej oczach lśniły łzy, znikająca wtedy na tyłach swojego gabinetu i nie wychodziła do końca dnia.

Dbałem o porządek na półkach i popychając przed sobą wózek, dostarczałem książki do cel. Nikt się mnie za bardzo nie czepiał. Charlie Broedus wyszedł w dziewięćdziesiątym

drugim, kolejni przychodzili i odchodzili, a ja dość szybko wtopiłem się w wystrój wnętrza: między regałami, przy stole, zawsze z nosem w książce. Całe to czytanie dawało mi do myślenia. Potrafiłem sobie wyobrazić różne rzeczy, tak jak nigdy wcześniej nie umiałem. Ale jak mówiłem – w niczym mnie to nie zmieniło.

Wiem, kim jestem.

Zbyt często myślałem o Rocky. Myślałem również o Carmen. Zastanawiałem się, gdzie jest, czy udało jej się wyrwać. Nigdy więcej o niej nie słyszałem.

Każdego dnia zabijałem w myślach Stana Ptitkę, wymyślałem coraz to nowe sposoby, podchodziłem bliżej, aby poczuć jego drżenie i spojrzeć mu w oczy. Ciągnąłem go gdzieś do lasu i robiłem wszystko, żeby cierpiał jak najdłużej.

Co noc kładłem się do łóżka i czekałem, aż mój rak się rozsiale, ale on zwyczajnie tkwił w uśpieniu, grał na zwłokę. I tak przeżyłem prawie dwanaście lat.

Właśnie tak.

Gdy zegar wybijał północ, plątałem się samotnie po Nowym Orleanie. Zwolniono mnie za dobre sprawowanie tuż przed pierwszym Nowym Rokiem nowego tysiąclecia. Pięćdziesiąt dwa lata, bezdomny. Kolorystyka uległa zmianie, wszystko stało się ciemniejsze. Każdy miał telefon. Więcej ludzi jeździło japońskimi autami. Gdzie nie spojrzeć, elektronika, wszędzie telewizory. Dzielnica Francuska wyglądała jak zawsze, balkony z kutej stali, rzędy domów z werandami, uliczne knajpki pękające w szwach od turystów. Śmierdziało szczyną, rzygowiny w rynsztoku, zawodzący jęk dęciaków i basowy łoskot bębnów. Wszyscy mówili o tym, że w Nowy Rok cały ten sprzęt może przestać działać, coś tam z komputerami. Ale wiedziałem, że tak się nie stanie. Wiedziałem też, że po jedenastu latach wymuszonej trzeźwości nie mogę się napić. Alkohol sprawiał, że wątroba zaczynała się miotać jak owad przebity szpilką. Kolejna rzecz do kompletu.

Stojąc pod hiszpańskimi arkadami, przyglądałem się tłumom snującym się po ulicach od Dauphine i Bourbon po Royal. O północy zaczęli się całować. Obcy ludzie pociągali szampana z jednej butelki, usta przy ustach, dłonie na szyjach. Za każdym razem, gdy ktoś zauważał, że gapię się z półmroku w jego stronę, natychmiast się odwracał.

Wróciłem do Nowego Orleanu, żeby zabić Stana Ptitkę. Jego knajpa wciąż działała, wciąż miała tę samą nazwę.

Za część więziennej kasy kupiłem spluwę od jakiegoś czarnego dzieciaka przy St. Bernard i zacząłem krążyć po zaułkach okalających Miejscówkę Stana. Elewacja budynku domagała się czyszczenia, a blaszany dach był połatany niebieskim brezentem. Kilka przecznic na północ pod mostem przepływał płytki strumień, spędziłem nad nim trzy dni i dwie noce. Spałem pod starym śpiwozem w podniszczonej puchowej kurtce, bluzie z kapturem, materiałowych spodniach i tenisówkach, wszystko z darów opieki, i nie spuszczałem knajpy z oka. Myślałem o Rocky wracającej ze szkoły do domu przez tunel i o nocy, którą w nim spędziła.

Drugiego dnia zobaczyłem Stana wysiadającego z czarnego lincolna. Był zdecydowanie szerszy, zwłaszcza w pasie, miał przerzedzone włosy.

Rozejrzałem się, sprawdziłem półautomatyczną trzydziestkęósemkę i ściskając ją w kieszeni kurtki, obszedłem budynek. Zanim się spostrzegłem, stałem przed knajpą po drugiej stronie ulicy. W kapturze naciągniętym na głowę kuciałem na chodniku za drewnianym słupem telefonicznym i patrzyłem na lśniący czarny samochód i metalowe drzwi prowadzące do Miejscówki. Na parkingu stały jeszcze trzy inne auta, nie miałem pojęcia, ilu ludzi może siedzieć w środku. Widziałem, jak kilka osób weszło do knajpy przed Stanem, żadnej znajomej twarzy.

Lodowate światło, deszczowe, srebrzyste niebo. Niewielkie obłoki mojego oddechu unosiły się w zimowym powietrzu. Pociłem się mimo zimna.

Sąsiednia działka wciąż stała pusta, przecinał ją kanał zatkany szlamem i plątaniną dzikich róż, pustymi dwulitrowymi butelkami i pożółkłymi gazetami. Niski płot z siatki od-

dzielający pusty teren od parkingu porastała ściana splątanych jeżyn i innych chaszczy. Postawiłem kołnierz kurtki, żeby ochronić się przed zimnym wiatrem. Czekanie nie było łatwe. Wciąż zastanawiałem się, czy nie wrócić.

W końcu Stan znów pojawił się przed knajpą, sam. Widziałem wyraźnie jego zniszczoną, opuchniętą twarz, jeszcze wyższe czoło i podwójny podbródek. Przygarbiony, w białej koszuli i czarnych spodniach, zatrzymał się przy samochodzie, rozprostował plecy i przeciągnął się, patrząc w stronę miasta i rzeki. Omiótł mnie wzrokiem, ale nie wzbudziłem jego podejrzeń. Stary żuł przy słupie.

To powinno być łatwe. Musiałem tylko przejść przez ulicę.

Nie wiem, czy moje ciało przypomniało sobie o wszystkim, co mi zrobili, ale nagły lęk miażdżył mi jaja, serce i gardło. Czuję zimny metal gnata w dłoni, a mimo to myśl o pociągnięciu za spust wydawała się nierealna, paralizująca. Zmartwiałem, ogarnięty paniką.

Kto by pomyślał, że stałem się aż tak potulny.

Zwyczajnie nie chciałem, żeby ktoś znowu mnie skrzywdził.

W którymś momencie zrobił się ze mnie tchórz. Albo zawsze nim byłem, tylko właśnie to do mnie dotarło, a teraz, jak wszystko, czego się o sobie dowiedziałem, wypłynęło na powierzchnię, jasne jak słońce.

Stan władował się do samochodu i odpalił silnik, wóz zniknął w gęstej chmurze spalin. Wyszedłem zza słupa, gdy lincoln wyjechał z parkingu, i okutałem się szczelniej kurtką. Stałem na ulicy, nieco zaskoczony, że go puściłem. Raczej nie spojrział w lusterko wsteczne, ale może to zrobił. Może zobaczył pośrodku ulicy zmniejszającą się postać ze spluwą w ręku.

Przedarłem się przez opuszczoną działkę na chodnik po drugiej stronie knajpy. Wywaliłem pistolet do śmietnika i powlokłem się dziesięć przecznic na dworzec autobusowy.

Miałem zakaz opuszczania stanu, ale dojechałem autobusami aż do Galveston.

Zabiłem deskami okna na parterze, podobnie zrobiła większość sąsiadów. Załadowali samochody bagażami i ruszyli na północ, ciągnąc za sobą albo wielkie przyczepy kempingowe, albo prowizoryczne przyczepki na bagaż. Władze ogłosiły stan klęski żywiołowej, zarządzono przymusową ewakuację. Powiedziano, że uderzenie huraganu Ike jest nieuniknione. Żywioty się budzą, zbierają się w jednym miejscu, tworzą lej z szarych chmur. Deszcz zacina ze wszystkich stron, odpuszczam więc poranny spacer. Nie sprawdzam też, co w Pączkach. Zacząłem się pakować, ale przestałem. Siedzę na kanapie, popijam ciepłą herbatę i myślę o gościu w jaguarze, zastanawiam się, po co przeżyłem tę noc.

Zaczynam wkładać ogrodniczki, ale z powodu burzy i tego, że przesiedziałem całą noc, moja noga jest sztywniejsza niż zwykle. Zostawiam je na podłodze, a Sage zwija się w kłębek na przepoconym dzinsie. W motelu, co oczywiste, nie ma żadnych gości, a Cecilia znajduję w biurze. Wlepia wzrok w ekran komputera stojący pod kontuarem, śledzi mapy pogody i unosi brew na każdą wzmiankę o huraganie. Potężny wir chmur jest zbyt wielki, żeby go sobie wyobrazić; jego ideę musi wyrażać obrazek na ekranie, podobnie jak czas wyraża się w opowieści.

– Może jednak nie powinieneś się tu kręcić – mówi Cecil. – Chyba mogliby mnie pociągnąć do odpowiedzialności, gdyby coś ci się stało.

– Nie. Nic ci nie grozi.

– Dalej myślę, że nas minie. Najwyżej trochę ostrzej powieje. Bez fali sztormowej – dodaje, ale wiem doskonale, że podobnie jak ja, Cecil nie potrafi znaleźć dobrego powodu, żeby się stąd ruszyć.

– Jest coś do roboty? – pytam.

Potrząsa głową i macha ręką w stronę pustego parkingu.

– Wszystkich wywiało.

Stoję przy nim jakąś minutę i gapimy się na animację komputerową, mapę termiczną, na której wirująca masa pochłania stopniowo wybrzeże.

Cecil patrzy na mnie, jakbym coś przed nim ukrywał.

– I co z tą panną? – pyta.

– Z jaką panną?

– Tą ładną. Wyduś to z siebie wreszcie, staruszk.

– Ale co?

– Nie znalazła cię? Zrobiłeś się popularny. Najpierw facet w garniturku, teraz laska. Bardzo ładna dziewczyna. Młoda, brązowe włosy. Mówiła, że cię szuka. Wczoraj wieczorem, dość wcześnie. – Wyjmuje z szuflady skrawek papieru w linie. – Powiedziałem, że będziesz dziś w robocie, ale nie wspomniałem, że tu mieszkasz.

Nazwiska nie znam. Cecil zapisał również numer telefonu.

– Nie podała imienia?

– Nie. Nie pomyślałem, żeby zapytać.

Czytam kartkę raz jeszcze.

– Co mówiła?

– Że próbuje cię złapać. Prosiła, żebyś zadzwonił. Ostra laska. Powinieneś, stary. Jeśli ty nie zadzwonisz, to ja to zrobię.

– I co powiesz?

– Zaproszę ją, żebyśmy poszli wrzucić coś na ząb.

– Na ile wyglądała?

– Dwudziestka, coś tak. Słuchaj, szepnij jej miłe słowo o mnie, gdybyś zadzwonił.

– Jasne – mówię i muszę się odwrócić, bo moje zdrowe oko wezbrało piekącą wilgocią. Czuję ją nawet w drugim, martwym.

– Wiesz co – Cecil wskazuje głową ekran – myślę, że sobie odpuszczę i wyjadę. Przemysł to. Mógłbyś się ze mną zabrać.

– Nic mi nie będzie.

Wychodzę. Niebo jest bulgoczącą masą grafitu, węglowej czerni i ołowiu, wiatr smaga liśćmi palm i rozrzuca śmieci po opustoszałych ulicach. Powietrze kipi elektrycznością, napiera na mnie, jakbym był pod wodą, w zatopionym mieście. Zamykam drzwi i zaciągam zasłony. Sage skamle.

Na stole leży nóż myśliwski, przez chwilę kontempluję jego ostrze oparte o pomarszczone, pokryte plamami nadgarstki. Odkładam go do szuflady i czuję się jak krety z tym, że w ogóle go wyjmowałem.

Sięgam na półkę w wąskiej szafie po kartonową teczkę ze zdjęciem rentgenowskim zrobionym w więzieniu. Plamy na moich płucach wyglądają jak rozrzucone gwiazdy, pozostałości wybuchu, i czuję, że cofnąłem się w czasie i właśnie dotarłem do momentu, kiedy ta eksplozja nastąpiła. Czuję to w pogodzie, w nazwisku kobiety zapisanym na kartce. Nie będzie żadnych zabójców, nikt nie przyjdzie mnie wykończyć.

Odpalam końcówkę skręta i ściskam ją wargami. Po opuszczeniu zasłon robi się chłodno i przygnębiająco, Sage podkula ogon i leży z łbem między łapami u moich stóp, wiem, że czuje to samo co ja.

Ta kobieta musiała zapłacić facetowi w jaguarze, żeby mnie odnalazł. Czyli jest chyba przy forsie, a to mnie o cieszy.

Ani ja, ani pies nie ruszamy się z miejsca i obserwujemy niebo, od czasu do czasu spoglądam na zdjęcie z prześwietlenia, człapię po pokoju, roluję następnego skręta.

Ta kobieta, jak sądzę, będzie chciała opowieści. Pewnie chce, żeby ktoś opowiedział jej o jej życiu. Będzie chciała wiedzieć, co się stało w ciągu tych dwóch tygodni, kiedy miała trzy lata, kiedy zabrano ją z domu i zobaczyła ocean, bawiła się na plaży i oglądała kreskówki. A pewnego dnia zniknęła jej siostra. Zastanawiałem się, jak to musiało wyglądać z perspektywy dziecka.

Całą tę historię zaludniają sieroty.

Głaskam Sage, zaskamlała. Podnoszę opaskę, bo swędzi mnie pod nią skóra. Łzy cieką mi z martwego oka, rozmazuję je po policzku.

Czyli myliłem się, gdy powiedziałem Rocky, że można wybrać, co się czuje. To nie-

prawda. Nie można nawet wybrać chwili, kiedy się czuje. Cała przeszłość krzepnie jak ząb czy strup, strup wspomnień za oczami. Aż do dnia, gdy przebiję się przez niego światło.

Myślę o Carmen i po raz kolejny zastanawiam się, czy wszystko z nią dobrze. Mam nadzieję, że ułożyła sobie życie.

Na pukanie do drzwi reaguję bez zaskoczenia, jakbym się go spodziewał od zawsze. Dyskretne, krótkie stukanie zdenerwowanego człowieka, który nie chce przeszkadzać.

Naciskam klamkę, nie patrząc przez wizjer. W progu stoi kobieta z desperacją w oczach, prześliczna. Za jej plecami łuszczą się burzowe chmury.

Ma gęste jasnobrązowe włosy, dzinsy i dopasowaną beżową kurteczkę. Cecil miał rację, jest naprawdę piękna. Zjawiskowa. Jedną ręką trzyma torebkę, ładną, ze skóry, w drugiej ma kwadratowy skrawek papieru, może zdjęcie, i natychmiast widzę, że jest w niej jakaś elementarna pustka. To ja mam ją wypełnić.

– Pan Cady? – Patrzy na mnie nieco z ukosa.

Cofam się o krok i myślę, że wygląda na zaradną kobietę z pieniędzmi, własnym życiem, na kogoś, kto potrafi o siebie zadbać, i bardzo mnie to cieszy. Rozchyła usta, jakby czekała, aż pojawią się słowa, a jej spojrzenie przeskakuje od zdjęcia w dłoni do mojej twarzy, szuka. Z rozpaczą.

– Nie poznaję pana – mówi Tiffany. Jej głos jest głębszy, ale wciąż znajomy, naprawdę. Wciąż wodzi wzrokiem od fotografii do mojej twarzy. – Nie. To nie pan.

Wyciąga rękę i podaje mi odbitkę.

Zdjęcie jest stare, pogięte i wyblakłe. Ocean, plaża. Troje ludzi na tle fal. Mężczyzna jest wysoki, szeroki w barach, opalony, dziewczyny jasnowłose i gibkie, szczegóły nikną w białym świetle nad zatoką.

Wciąż potrafię dostrzec twarz dziecka w tej kobiecie, krótki podbródek i zuchwałe spojrzenie, dołek nad górną wargą. Pytam, czy wejdzie.

– Ja nie... – Lustruje moją twarz. Znad oceanu niesie się huk gromu. – Chyba się pomyliłam – wzdycha. – Przepraszam. Trafiłam w niewłaściwe miejsce.

Chowa zdjęcie do torebki i się odwraca.

– To było dwadzieścia lat temu. Mocno się zmieniłem – mówię.

Znów na mnie patrzy, świdruje mnie wzrokiem, unosi brwi.

– Nie znasz mnie – mówię. – Ale byłem twoim przyjacielem.

Po jej policzku spływa gruba łza. Odsuwam się na bok i zapraszam dziewczynę do środka. Sage łasi się do jej nóg, a ona pochyla się i drapie ją za uchem.

Wskazuję krzesło.

– Napijesz się kawy albo herbaty?

– Nie, dziękuję. – Milknie i z wahaniem skubie wargę. – Chciałabym... jeśli ma pan chwilę. Chciałabym porozmawiać. O ile to panu nie przeszkadza.

– Chcesz o coś spytać.

– Tak. Proszę. Ja... – Rozgląda się po pokoju, potrząsa głową, jakby nie mogła uwierzyć, że tu trafiła.

– Zrobię tej herbaty.

Podchodzę do kuchenki, uruchamiam palnik, napełniam czajnik, stawiam go na błękitnym ogniu. Położyła zdjęcie na stole, a ja płuczę zlew, żeby nie musieć wracać do pokoju. Na fotografii jestem opalony i silny, jak koń w blasku słońca. Lodowata woda spływa mi po palcach, wzbudzając ból stawów. Ledwo mogę uwierzyć w realność tej kobiety na kanapie, jej istnienie jest dla mnie niewiarygodne.

Zasługuje na coś lepszego od prawdy.

Wracam do pokoju i widzę bystrą, skupioną twarz Tiffany. Głaszczę Sage i stara się nie spoglądać na leżące na kanapie prześwietlenie. Patrzy na mój tors.

– Jak mnie znalazłaś?

– Och. Ta kobieta z hotelu? Dawno temu? Mówiła, że naprawdę nazywał się pan Roy. Że nazywałeś się Roy. Powiedziały mi o tym siostry. Wynajęłam człowieka, który znalazł twoje zdjęcia i kartotekę więzienną. Trochę zajęło, nim cię wywęszył. Musiał się długo rozglądać. Nie byliśmy pewni, czy to ty. Wyglądasz inaczej.

– Tak. Inaczej.

Patrzę, jak taksuje wzrokiem pokój, stopy tanich książek, i dostrzegam w jej oku błysk litości. Nie podoba mi się to.

– Gdzie mieszkasz? – pytam.

– W Austin.

– Co tam robisz?

– Jestem graficzką. Pracuję w reklamie.

– Musiałaś skończyć jakąś szkołę, żeby dostać tę robotę?

– O, tak. Studiowałam. Uniwersytet Stanu Teksas.

– Hmm – mówię, tłumiąc uśmiech. – A kto... Gdzie dorastałaś? Miałaś rodzinę?

– Siostry ze Zgromadzenia Świętego Józefa znalazły mi rodziców. Dorastałam w Tyler. Przekrzywiła głowę i znów zaczęła mi się przyglądać. Nosila pierścioneł na palcu, ale to mogło znaczyć wszystko.

– Wyszłaś za mąż?

– Jeszcze nie. Może niedługo. Spotykam się z kimś od dość dawna.

– Jesteś zakochana?

– Hm. Tak.

Odgarnia kosmyk włosów i spogląda w bok. Jest w tym geście tak wiele z Rocky, że muszę spuścić wzrok. Gdy spoglądam na nią ponownie, uświadamiam sobie, jak bardzo jest do niej podobna. Ścisła mnie w gardle. Ma prawie taką samą twarz i niemal do zniesienia:

– To dobrze – mówię, niezdolny spojrzeć jej w oczy. – Że jesteś zakochana.

– To on mnie do tego namówił. Zachęcał mnie. Żebym poznała prawdę.

– Czym się zajmuje?

– Jest... przepraszam...

Zacina się, wyraźnie zagubiona. Nie wie, co myśleć o tym pokoiku, ciasnocie i leżącym obok niej zdjęciu rentgenowskim. Zastania usta dłonią, rozgląda się, jakby się spodziewa-

ła, że jest tu ktoś jeszcze.

– Czy mógłbyś... Naprawdę czuję, że są rzeczy, których muszę się dowiedzieć. – Spoglądają na mnie oczy Rocky przepełnione cierpieniem, lśniące jak u świętej.

Podchodzę do kanapy i biorę Tiffany za rękę.

– Wiem. Masz rację. Co już wiesz?

– Pamiętam moją siostrę. Trochę. Pamiętam, że chodziliśmy na plażę. Ale... – Zgarbiła się nieco – ...ale pewnego dnia mnie zostawiła.

Nie potrafi powstrzymać drżenia ust.

– Nie – mówię. – To nie tak.

– Co się stało?

– Właśnie wracaliśmy do ciebie. Poszliśmy wieczorem na miasto.

– Ale potem znalazłeś się w Nowym Orleanie? Trafiełeś do więzienia.

– Zgadza się. – Wbijam wzrok we wnętrze swoich dłoni. – Wpadłem. Wypadek. Mieli na mnie nakaz.

– Ale... nic nie rozumiem. Co się stało, kiedy mnie zostawiliście?

Nie podnoszę głowy i obserwuję dłoń Tiffany gładzącą psa.

Odwraca na moment wzrok i znów na mnie patrzy.

– Dobrze ją znałeś? – Jej głos potyka się na ostatnim słowie. – Moją siostrę?

– Wydaje mi się, że tak. – Przyglądam się jej włosom o barwie wysuszonej prerii w środku lata, wystającym kościom policzkowym i szeroko rozstawionym oczom. – Co dokładnie robisz w tej reklamie?

– Słucham? P... projektuję strony internetowe, loga dla firm, takie tam.

– Byłem parę razy w Austin. Dawno temu. Barton Springs wciąż działa?

– Tak. Co mówiłeś o wypadku?

– Dużo dobrej muzyki grali w Austin. Lubisz muzykę?

Przekrzywia głowę, spogląda mi w twarz. Patrzenie na nią sprawia mi taką trudność, że czuję ulgę, gdy rozlega się gwizd czajnika,. Wycofuję się do wnęki kuchennej.

Boli mnie w piersiach. Podnoszę czajnik trzęsącymi się dłońmi i rozlewam odrobinę wrzątku na palnik.

– Słuchaj... – Zza ściany dobiega jej głos. – Muszę wiedzieć. – Kaszle, zagłuszając ból.

Wrzucam dwie torebki liptona i zostawiam, aż naciągnie.

– Masz jeszcze jakieś rodzeństwo? – pytam. – Przybrane?

Jest taka młoda, taka prawdziwa, że głos wciąż mi się łamie. Jej twarz emanuje pragnieniem rozwikłania tajemnicy.

Kiwa głową.

– Mam młodszego brata. Też adoptowany.

– Jak się nazywa?

Przykłada dłoń do czoła i wykrzywia usta.

– Przepraszam... dlaczego nie chcesz odpowiedzieć? Proszę. Nie rozumiem.

Koniec z grą na zwłokę, zrozumiałem, że jestem za słaby, żeby ukrywać przed nią tę historię.

Jeśli wyjawię prawdę, być może spadnie ze mnie ten ciężar. Przekażę ją prawowitej właścicielce, a zamrożone gwiazdy w mojej piersi wreszcie będą mogły rozbłysnąć.

Dotarło do mnie, że jej nie okłamię. Opowiem jej o wszystkim. O Rocky, jej ojcu, domu Sienkiewicza, gościach z Nowego Orleanu i tym, co zrobili.

Zacząłem się o nią bać. I pomyślałem: wypełnię tę pustkę, dziecino, ale będziesz musiała być twarda, żeby to znieść.

Lata, których nie pamiętasz. Lata jak tajemnicze siniaki.

Przez cały ten czas byłem twoim przyjacielem.

– W porządku – mówię, ocierając usta. – Ale to nie będzie miłe.

– Co? – Mierzy mnie zażawionym spojrzeniem, upartym i dzikim.

Odsuwam zdjęcie swoich płuc i siadam obok niej na kanapie.

– Opowiem ci o niej wszystko, wszystko to, co się stało. W porządku? Mam tylko jeden warunek. – Klepię Sage po głowie, żeby wskazać tok moich myśli. – Kiedy skończę, wyjeżdżesz. Nadciąga huragan i musisz wyjechać z miasta. Natychmiast. Po moim ostatnim słowie.

– Wyjeżdżasz? Mogę wrócić później.

– Nie. Teraz porozmawiamy. Powiem ci o wszystkim. Ale potem wyjeżdżasz. I wyświadczysz mi przysługę.

– Jaką?

– Zabierzesz ze sobą tego psa.

– Yyy... Ja nie...

– Taki jest układ. Innego nie będzie.

Patrzy na Sage, przechyla głowę, głaszcze ją.

– Dobra. W porządku.

– Przysięgasz?

– Tak. Zgoda. – Kiwa głową i raz jeszcze ociera oczy.

Wyrosła na wysoką kobietę, ma solidne, smukłe kości, stała się jedną z tych, za którymi oglądają się na ulicy. Pociągając nosem, czeka, aż zacznę, a jej czerwone paznokcie zagłębiają się w cytrynowe futro Sage.

– Dziewczyna na zdjęciu nie jest twoją siostrą. To twoja matka. Nie powinnaś jej obwiniać. Nie miała w życiu łatwo. – Niezgrabnie ujmuję jej dłonie. – Ale raz wykazała się odwagą.

Moje ręce wyglądają monstrualnie przy jej dłoniach, ale pozwala mi je trzymać. Wbija wzrok w moje zdrowe oko.

– Nie zostawiła cię – mówię. – To nie było tak. Nie porzucono cię.

Zakrywa usta dłonią, a jej rysy zapadają się i sypią jak zamek z piasku. Przysuwam się bliżej i kładę jedną dłoń na jej ramieniu, nie potrafię się powstrzymać. Ścisną moje palce. Czekam, aż się w niej ta fala przewali, aż jej przejdzie. Będzie potrzebowała dużo siły na całą resztę.

Kiedy zbiera się nieco w sobie, a ja przynoszę świeżą herbatę, zaczynam od początku.

Mówię jej wszystko.

Wychodzi; stoję w drzwiach i patrzę, jak pakuje Sage do samochodu, praktycznej złotej toyoty. Zatrzymuje się przed wejściem do auta, deszcz tworzy wokół niej aureolę. Odważam się spojrzeć. Muszę zamknąć drzwi, czekam, dopóki nie usłyszę warkotu silnika.

Wyobrażam sobie, jak spaceruje z Sage między białymi skałami i mija czyste strumienie w Austin, i w ogóle nie myślę o Rocky.

Myślę o wietrze marszczącym powierzchnię jeziora, o matce śpiewającej *A Poor Man's Roses*.

Mam lekką głowę, nie bolą mnie dłonie.

Wichura zmienia krople deszczu w kłujące strzały, chmury sprawiają, że popołudnie jest czarne jak wdowia suknia. Ciężkie powietrze wypełnia ozon i morską wodą. W oddali grzmi i trzaska, nad oceanem eksplodują błyskawice, jakby niebo obzarło się dynamitem. Na jego krawędzi dostrzegam jakby głębszy mrok, zwieszającą się z horyzontu gęstą czerń, która formuje się w kształt, jakiego nie umiem sobie wyobrazić.

Gałęzie ocierające się o okna zabite deskami brzmią tak, jakby ktoś próbował wdrzeć się do środka, wiatr wyje przeciągle jak ranne zwierzę

Minęło dwadzieścia lat.

Martwiłem się, że będę żył wiecznie.

PODZIĘKOWANIA

Najmocniej dziękuję Henry'emu Dunowowi i Colinowi Harrisonowi za ich wiarę, pomysły i wysiłki na rzecz tej książki.

Jestem również wdzięczny Davidowi Poindexterowi – naukowcowi, dżentelmenowi i przyjacielowi wszystkich pisarzy.